

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HELENA MNISZKÓWNA

SFINKS

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Zgnębiony, bezradny przechadzał się pan Jacek tam i na powrót po piaszczystym wybrzeżu w Port Saidzie. W oczach miał rozpacz i łzy, na czole głębokie bruzdy. W zamyśleniu nie dostrzegł nawet, że fale morskie, nadpływając łagodnymi kręgami z dalekiej przestrzeni, dotykały stóp jego, zaledwo odzianych w zrudziałe łatanne buty, szumiąc przyjaźnie bezsłowną muzyką ukojenia. Pana Jacka nic tu nie zajmowało, nie dziwiło. Wszak widział tyle krajów, przebył tyle wód, lądów, doświadczył tyle lat nędzy, opuszczenia, samotności. Wpatrzył się jeno w bezkresną dal lazuruową, gdzie zenit niebieski zlewał się z rozchwianą tonią morza, a wzrok jego wyteżony i tęskny chwytają w postrzępione załomy wód odmęty i niosły hen, ku Europie, poprzez pożogę blasków, poprzez przepychy płomieni słonecznych. Ale nie mógł tak długo patrzeć. Na zmęczone oczy starca rychło opadły nabrzmiałe czerwone powieki, na rzęsach zawisło kilka grubych łez. Wówczas ogarnął go i ścisnął mu serce jakiś żal dławiący i z piersi wypadł bezwiednie głośny okrzyk bólu.

– Ach Boże, dopiero Port Said, Śródziemne, kiedyż nareszcie...

Wtem usłyszał za sobą lekki szelest i czyjeś przyspieszone kroki. Obejrzał się. Stała przed nim młoda kobieta wysoka i smukła, w podróżnym wytworknym stroju. Uśmiechnęła się przyjaźnie, żywo i zapytała z prostotą, dzwicznym, serdecznym głosem:

– O ile wiem, pan jest Polakiem.

Podniósł na nią oczy szeroko rozwarte, zdumione, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź.

– Przepraszam, że zakłócam panu samotność i spokój, ale słyszałam mimo woli okrzyk pański w języku ojczystym, a wszak i ja jestem Polką.

– Pani Polka, Polka! – w uniesieniu zawołał starzec. – Boże mój, ja już tak dawno nie widziałem rodaków, nikogo z Polski! A pani, a pani?...

Schylił się nagle i gorąco ucałował ręce kobiety. Rozrzewniona przywarła ustami do jego ramienia, tak dziwną cześć wzbudził w niej ten starzec. On patrzył na nią uparcie z brwią namarszczoną i niepokojem w duszy.

– Skąd pani tu, skąd?...

Patrzył na nią już przez łzy.

– Jestem w podróży, jadę prosto z kraju. Czekam tu na statek, by popłynąć dalej.

– Do Polski?... – spytał bezwiednie trzęsącymi się wargami.

Zawahała się.

– Na Ocean Indyjski – odrzekła wymijająco. – A pan?
 Spojrzał na nią z wyrazem rozczerowania, ale wnet odrzekł z ożywieniem:
 – Ja wracam do ojczyzny z Syberii.
 – Z Syberii! – zawołała, obrzucając go wzrokiem zdziwionym.
 – Teraz?...

– Tak, dopiero teraz, po trzydziestu kilku latach pobytu na zesłaniu. Wyjechałem będąc człowiekiem zdrowym, silnym, wracam – próchnem już.
 – Ale czemu tak późno?...

– Rozumiem panią, niestety, nie mogłem wcześniej, chorowałem obłożnie parę lat, potem musiałem zarabiać na grosz w Chinach, w Japonii. Inni wrócili wcześniej, jam siedział przykuty nową niewolą – nędzy. Dopiero teraz rozkułem te straszne kajdany, pracowałem w pocie czoła i zarobiłem na powrót do ojczyzny. Na skrzydłach bym poleciał w jednej chwili, a oto znowu przeszkoda...

– Czeka pan także na statek.
 – Tak, zszedli mnie tu z pokładu towarowego parowca, który zamiast do Triestu popłynął wezwany nagle do Algieru. Ot, nieszczęście, mój Boże...

– Musi pan czekać parę dni na statek angielski „Batawia”, idący do Brindisi. Wypłynął już z Adenu – informowałam się w porcie. Że zaś i ja czekam na statek z Southamptonu, który będzie tu we wtorek rano, przebędziemy więc wspólnie kwarantannę. Korzystając z tego, zabieram pana na śniadanie...Gdzie pan mieszka?

– Tymczasem nigdzie, tu mnie wysadzili i tu stoję.
 Uśmiechnęła się.

– No, tak nie można. W hotelu, gdzie się ulokowałam, znajdzie się na pewno pokoik. Tu, w Port Saidzie, nie ma nic ciekawego; znudzona śmiertelnie jutro jadę do Kairu i pod piramidy. Pojedzie pan ze mną, prawda?

– Ja, pani... co ja tam będę robił?
 – Zobaczy pan Sfinksa.
 – A mój statek? Wszak muszę na niego czekać.
 Spojrzał na nią podejrzliwie, lecz ona zaśmiała się wesoło.
 – Ależ, panie kochany, „Batawia” będzie tu zaledwo we wtorek w nocy – dziś jest sobota. Przecie i pan Morza Czerwonego przez jedną dobę nie przepłynął.
 Wzięła jego ręce w swoje dłonie i rzekła poważnie:
 – Niech mi pan ufa, drogi panie, wszak jestem Polką, los pański wzruszył mię serdecznie. Chciałabym panu ułatwić, uprzyjemnić to nieznośne czekanie na lokomocję do Europy. Proszę wierzyć rodaczce. Ale ja się panu dotąd nie przedstawiłam. Halina Strzemska, z Podlasia.
 Pan Jacek wymienił swoje nazwisko i wpatrzył się z rozczuleniem w towarzyszkę. Oczy jej błysnęły zdziwieniem. Przyglądała się mu ciekawie.
 – Z Podlasia! – zawołał pan Jacek – rodzinne moje Podlasie, ukochane! Przebywałem tam dziecinne lata i młodość swoją, zanim zamknęły się nade mną mury cytadeli. Krótko konspirowałem w stolicy, a wszystkie święta i wakacje spędzałem zawsze na Podlasiu. Pamiętam tę wieś, widzę, jak na jawie, łąki prześliczne rozkwitłe w różowe smółki i żółte przytulie, i rumianki białe. A chabry w życie! Ach, Boże! Widzę rzeczkę kochaną, nazywała się Krzna, płynęła wśród olszyn mokrych, zatopionych w kwieciu i... i...
 Zachłusnął się łzami i pochylił głowę na piersi. Był krótki moment rozrzwienia, zadumy. Halina utkwiała w nim zdumione dziwnie oczy. Nagle ścisnęła jego dłoń z jakąś porywczą czułością i, nawiązując na nowo przerwana nić wspomnień, ciągnęła przyciszonym jedwabnym głosem:
 – ...i traw soczystych, wysokich, szumiących, które spływały ku rzeczulce błękitną zawieją niezapominajek i kładły się cicho na szerokich liściach wodnego rdestu. Białe kielichy nenufarów, jak duże motyle rzucone na rzekę, uśmiechały się w słońcu do ziemskich błękitnych

siostrzyczek. Gdy nastały pierwsze dni wiosny, wokół olszyn złociły się kobierce kaczeńców żółtych, stały się u ich stóp, otoczone rojem pszczół. Olszyny nad Krzną – to cud wiosny i rozkwitu, to jakby ogród zaczarowany, gdzie wszystko śpiewa i miłuje, gdzie mieszka miłość i czar, bo tam się może pierwszy urok poczyna, a pod tym urokiem płynie się potem w świat...

Umilkła zamyślona, twarz jej pobladła nieco. Pan Jacek uczuł dziwny niepokój w sercu i drzenie, jakby na widok objawionej nagle przeszłości.

– Niech pani mówi, niech pani mówi – szepnął cichutko w jakimś ekstatycznym rozmowieniu.

– I są tam borki strzeliste, gdzie seledynową powodzią płaczą brzozy na wiosnę, gdzie sosny butne wznoszą swe młode szyszki, a chrząst ich taki zwycięski a taki smutny. Tam kwiecień rozsypuje białe puchy zawilców, a czeremcha perłowymi kiśćmi się owija, niby panna młoda gotowa do ślubu, zakochana. I tu króluje miłość. Śpiewają o niej rapsody słowiki i kukulka roznosi jej głośny hymn. A gdy wieczorne zadymią opary, z olszyn, z łąk i bagienek kwitnących wznosi się hejnał gromadny żabich niesporów. Rade, rade, rade, rade, monotonnie a rytmicznie, smutnie a śpiewnie radują się wodne gminy. Ludziom wtedy coś piersi rozsadza szczęściem, skrzydła się rozwijają u ramion i serca kochania chcą...

Głos Strzemskiej załamał się. Pan Jacek podniósł rękę do czoła, zapatrzony we własne głębie czy wizję, która rozrastała się przed nim w słońcu, w tęczęch, w melodii słów błogich, pieśniowych. Zaledwo dosłyszalnym szmerem ust drżących powtarzał:

– Drogie, kochane Podlasie... Polska...

Rzewny głos Haliny zaszemrał znowu:

– I są na Podlasiu wioski ciche jak sady umajone w kwitnące wiśnie, gdzie w ogródku przy chacie błękitnieją lnu grędy, pachną lipy i stoją szeregi uli miodu i rojów pełne, gdzie wśród wiejskich strzech bieleją ściany kościoła, a z wieży sygnaturka na Anioł Pański dzwoni. Gdzie wieczorem słycać porykiwania krów wracających z pastwiska, bek owiec i głośne gęganie gęsi stad, które pędzi pastuszek, wygrywając na fujarce. A w każde święto, w każdą niedzielę drogi polne i miedze zakwitają kolorami kraśnych chust i wełniaków; to kobiety dążą do kościoła, by złożyć Stwórcy wszechrzeczy i wszechświatów modlitwę dusz prostaczych, serc miłujących. A w maju o wieczornych zorzach, w każdej wsi pod ukwieconą kapliczką lub krzyżem, gromadka ludzi śpiewa pobożnie: „Zdrowaś Maria, Boga Rodzico”...

Pan Jacek skulił się jakoś w sobie, spuścił głowę bardziej na piersi i oczy zakrył dłonią.

– Och, Boże, Boże i ja to wszystko będę znowu widział...

...I są na Podlasiu krzyże na rozstajach, wśród wierzb rosochatych, samotne, ciche krzyże, przez lud uciśniony wzniesione potajemnie, często w nocy, bo były czasy krwawe, że krzyże obalano, że lud krew swoją za wiarę przelewał, lecz krzyże przetrwały. Rozpościerają ramiona szeroko wśród pól złotych, błękitem chabrow usianych – i w chabry je stroi lud wierny. Przeszły burze i gromy i nawałnice. A one stoją, bo lud nasz wierzy szczerze, głęboko w mistyczny symbol odrodzenia.

Strzemska umilkła nagle, po twarzy jej przewinał się ostry cień smutku, usta wykrzywił niespodziewanie lekki skurcz sarkazmu; powoli, powoli misterna tkanka wspomnień, zadumy rozsunęła się, rozchwiała – pozostał tylko drażniący teraz szum fal morskich i dokuczliwa spiekota słońca.

Pan Jacek ujął w swe dłonie obie ręce młodej kobiety i szepnął gorąco:

– Teraz wierzę żeś Polka, bo odczuwasz to wszystko, co nasze serca ukochały...

Zachód słońca rozlał purpurę na żółtawe piaski pustyni. Krew płynęła na obłokach, brumując ich kłęby w jaskrawe obrzeża. Krwawy pył przesycił powietrze i przylegał do wielkich kopców piramid, że czuby ich świeciły jak rubiny, gdy cielska zwałiste pograżały się już w

mroku. Smutek przedziwny i jakaś groza szła z tej rozlanej czerwieni ku ludziom i duszę ich poiła tęsknotą, przejmowała lękiem.

Halina była zamyślona, oczy utkwiała w kolosie Sfinksa jakby w wyroczni. Może w tej twarzy przewiecznej czytała wyroki swoje, może dzieje swej duszy i uczuć zwierzała jej cicho. A Sfinks oblany szkarłatem zachodu wyłonił już tylko na ogień głowę olbrzymią i, zanurzony cały w rdzawosinym odmiecie wieczora, patrzył na ludzi obojętnie, chłodno. Za dużo ich widział, za wiele myśli i pytań ludzkich snuło się dokoła jego mistycznej postaci i zagadkę jego odgadnąć chciało; za wiele oczu, godząc w jego twarz zadumy, ironii i wzgardy pełną, pragnęło odłupać pieczęć ukrytej w nich tajemnicy wieków. Ludzie, jak szarańcza, pełzali dokoła niego, ale on nie patrzył już na nich, zatopiony w martwocie, śnił swój sen stuleci – nieśmiertelny.

Pan Jacek chodził koło piramid z zadartą głową do góry, wołając z podziwem:

– Potęgi, potęgi, kolosalne pomniki nie tyle faraonów, ile geniusza ludzkiej cierpliwości!

– I niewolniczości – dodała Halina, ocknięta z zamyślenia. – Kto by to dziś i dla jakiego monarchy budował takie gmachy?...

– Pani sądzi, że piramidy powstały tak samo, jak nasze kopce Kościuszki i Wandy?... Świ stały tu baty, znacząc pręgi na poddańczych grzbietach Egipcjan.

– Więc właśnie niewolniczość. Dziś taki system wywołałby wręcz przeciwny skutek.

– Boże mój, do niedawna jeszcze pewien władca wschodni mógłby sobie nawet na taką piramidę pozwolić po *ukazu*...

– *A bas le roi*... – szepnęła Strzemska – pękły ostatnie dzwony łańcucha niewolnictwa. Wraca pan do kraju wolnego, wkrótce legendą się staną dla nas minione przeżycia. Pan był ofiarą ucisku, już ostatnią w tym względzie. Pan jest weteranem zesłańców.

– Ach pani, było nas tylu, usiana ich kośćmi Syberia. Ja otrzymałem królewski dar powrotu, za to niech Bogu będzie chwała. Takim się czuję magnatem, że ujrzę przed śmiercią wymarzony cud i już spełniony, cud wolnej Polski. Jaką ja śniłem o niej baśń, jak ja ją widzę wspaniałą, przepiękną, bo to kraj orłów i sokołów...

Halina patrzyła na pana Jacka z zaciekawieniem, ale jego zastanowił jakiś cień na jej twarzy.

– Pani się dziwi, że ja, starzec, mam taki zapał? – spytał nieśmiało.

– To mnie tylko wzrusza, panie. Syberia nie wykorzeniła z pana ideałów, pozostał pan romantykiem dawnej epoki, więc i optymistą. Siądźmy, ot, tu na głazie, naprzeciw Sfinksa, lubię patrzeć prosto w twarz tego momentu archaizmu, czy też tej zagadki wieków.

– A ja się boję tej potwory. Zgasły zorze wieczorne, wypływa księżyc – ten kolos w tych zielonawych blaskach przeraża.

Milczeli chwilę, każde patrząc po swojemu na fizjonomię Sfinksa, na której istotnie księżyc zaczynał już odszukiwać poszczególne rysy i bruzdy. Wtem głos pana Jacka przerwał ciszę:

– Pani nazwała mnie romantykiem i optymistą, ale nie jestem wszakże utopistą, widząc ojczyznę naszą wolną od przemocy, a zatem już w aureoli wszystkich tęczy, które gasiła niewola.

Nagle zapłonął.

– Boże, Boże... Jaką powinna być teraz Polska królewską w swym majestacie, jak dostojną i wielkoduszną teraz, kiedy opadły z niej kajdany zaborców, kiedy jej duch tak długo niewolą umęczony odnalazł nareszcie przestrzeń do samodzielnego i szerokiego lotu. Toż to cud, toż to objawienie! Pani droga! Ta Polska, która, czując nogę zaborcy i kata ciemności, nie uśpiła w sobie ducha, bo on wiecznie żył, silny i zwycięski – jakże ona teraz zapewne polecą, jaką ona cudną stanie się i jaką być musi... Jakim ten duch nasz blaskiem się przyoblecze, olśni narody! Przyszedł wreszcie czas, że Mickiewiczowskie słowa: „jestem milionem, bo kocham za miliony” odnajdą echo w nas wolnych, zjednoczonych z sobą w jedną całość potężną, gdzie duch nasz już nie krępowany knutem ni siłą mocniejszego wzniesie swój hymn zwycię-

stwa i ukaże światu cały przepych naszej bohaterskiej idei i czynu. Ja to widzę jakby wizjonersko, widzę umysłem i sercem. A wszak mi nikt nie zaprzeczy, że ta wymarzona przyszłość już się stała teraźniejszością; to, o czym marzyliśmy w kopalniach, to się już przyoblekło w wyraźne kształty, to już się stało teraz, pani droga, już się spełniły sny.

Spojrzał na pochyloną twarz Haliny bladą i wzruszoną, na jej spuszczone powieki i zawołał:

– Pani wszakże stamtąd jedzie! Pani to już widziała?

Milczenie.

Pan Jacek bezwiednie rzucił wzrok na Sfinksa, oświeconego już pełnią księżycowych blasków. Wzdrygnął się.

– Czego ta bestia tak się ironicznie śmieje? Niechże pani patrzy. Okrutny potwór.

Po chwili ciągnął:

– Pani to już widziała, szczęśliwa pani. Ja dopiero jadę do naszego zmartwychwstania po Golgocie... Jakże mnie Bóg sowicie wynagrodził za trzydziestokilkuletnie wygnanie, za wszystkie męki, cierpienia i tęsknoty. Ja to uważam za nagrodę dla wszystkich, którzy krew swoją i życie oddawali Polsce. Takich szczęśliwych, jak ja jestem, który ujrzy własnymi oczami naszą glorię, jest już niewielu. Ci, co skonali na wygnaniu z wizją przyszłej Polski, w gasnących oczach...

– Są najszczęśliwsi – zaszemrał cichy głos Haliny.

– Tak, bo widzieli wizję cudu, ale stokroć szczęśliwszy jest ten, kto ujrzy w życiu jego spełnienie... Ja jestem tym wybrańcem.

Popatrzył na zamyśloną Halinę oczami pełnymi ognia.

– Pani milczy? Dlaczego?... Albo ten potwór... Dlaczego on tak się śmieje ironicznie? Nie wyobrażam sobie, że on jest tak straszny. Zupełnie jakby szydził ze świata, z ludzi. Jak on okropnie drwi...

– On widzi i teraźniejszość i to, co było i to, co być mogło, a nie jest – mówiła Strzemska.

– Patrzy tak, patrzy, czyta z gwiazd wyroki narodów i ludzi, a to, co widzi, rzuca mu na twarz stygmat mistycznej ironii. To mistyk milczący, obserwator dziejów. On widzi i to, czego my widzieć nie chcemy, albo czego nie widzimy istotnie. Niech go pan tylko zrozumie.

– Tym bardziej może bałbym się go. Czegóż on się na przykład teraz śmieje?... Czy z jego... zapału? Za stary jestem co prawda na to.

– Nie, panie, zapał to dowód głębokiej wiary i żywotnej duszy, która się nie paczy i nie zamiera. Zapał to rzecz piękna, to dźwignia wszystkiego, co wielkie i najszczytniejsze.

– Ja już, niestety, nie mogę być dźwignią niczego – z żalem przemówił pan Jacek.

– A jednak tenże zapał maluje panu idealne obrazy ojczyzny i niesie pana do niej na skrzydłach marzenia.

Halina położyła miękko dłoń na ręce starca i ciągnęła, idąc oczami za jego wzrokiem:

– Niech pan się nie dziwi ironii Sfinksa, to marzyciel innego pokroju niż my, pogrobowcy romantyzmu. On w marzeniach widzi często utopię, rzecz nieosiągalną w sferze dusz jednostek i społeczeństw, a tego rodzaju spostrzeżenia wywołać mogą zawsze i tylko wyraz bolesnej ironii-sarkazmu. Niechaj pan się dobrze wpatrzy: jest i ból w tych kamiennych rysach. A ile myśli...

– Dla mnie jest w nim coś odrażającego, czego się lękam.

Po chwili, odwracając oczy od Sfinksa, rzekł:

– Niech mi pani coś powie o Polsce, tak, jak mówiła pani o Podlasiu. Dobrze, pani droga?

– Wolałabym pana słuchać. Pan ją przedstawia w tak czarownych kolorach.

Powiedziała to z takim akcentem w głosie, że pan Jacek doznał niemiłego uczucia.

Nagle zadrżeli oboje. W ciszy pustyni zalanej powodzią opalowego światła jęknęły jakieś głosy ponure a biadające, jakby skowyt rozplakany i urągłiwy zarazem. Zdawało się, że

przemówiły piaski, bo głosy szły jakby spod ziemi. Halina poczuła na ciele przykry dreszcz, rozejrzała się trwożnie. Wtem zaśmiało się coś ponuro, zaskomlało i znowu rozległ się płaczliwy jęk podziemny, straszny.

– Co to jest, na Boga?... – szepnął starzec przerażony.

– Szakale. Ten skowyt w nocy tak mi znany. O... o... widzi pan, tam śmignął wąski długi cień.

– A, ot drugi przemknął. Jak tu jakoś straszno, gdzież jest nasz przewodnik?...

– Jego biały burnus błyszczy jak mika. Ot tam, przy powozie, rozmawia z Fellachem, stan-gretem naszym. Niech pan się nie trwoży. Wszak nieraz pana nawiedzały szakale w nocy, tam, w opuszczeniu, w samotności. Te są mniej straszne.

– Och, tak pani.

Zapadła chwila milczenia, po czym stary zesłaniec ożywił się nieco i jął mówić na nowo:

– Mamy już własną armię, polskie wojsko. Jakież ono powinno być bohaterskie, jakie orle i szlachetne, rozumiejące posłannictwo swoje, rycerzy, następców Józefa Poniatowskiego, rycerzy bez skazy, dla których honor Polaków jest wszystkim. Och, Boże mój! Na takich fundamentach oparta armia nasza postawi kraj na szczycie potęgi. Prawda, pani, prawda?...

– Tak, gdyby zdobycie owego szczytu zależało od tych, którzy są godnymi potomkami bohatera spod Raszyna, bo takich sokołów mamy, lecz czyż oni jedni... zdołają?...

– Sądzę, że jedność powinna być teraz w naszej armii, tożsamość idei przewodniej, brak wszelkiej stronnictwość i partyjności, bezmierna uczciwość, sumiennosc i solidarność. Nie karierowicze, lecący tylko na stanowiska, tytuły i honory, lecz idealisci prawdziwi o wysokiej skali duchowej. I powinno być poparcie ze strony całego społeczeństwa, ze strony wszystkich warstw, najwyższych i najniższych. Wszystko w Polsce skierowane teraz być musi do jedynej myśli: odbudowy ojczyzny. Prywatny, egoizmu nie ma, jest tylko wszechmoc i wszechidea, prawda pani?

Halina miała oczy spuszczone. Pod pytającym upartym wzrokiem starca zdrząły jej rzęsy, twarz pobrała.

– Pani milczy... Wszakże Polacy pamiętają, co zgubiło kraj nasz, co go wtrąciło w niewolę, więc teraz, więc dziś, gdy cud nad nami spełniony, Boże, Boże...

Milczenie i nowy szept zesłańca:

– Widzę w kraju spokój wewnętrzny, wspólną wytrwałą pracę i jej pragnienie. Widzę arystokrację naszą ockniętą z letargu i czynną, ofiarną, zapału i inicjatywy pełną, wyzbytą z prywaty i sybarytyzmu, a odczuwającą poważnie stanowisko swoje w kraju. Bo to filary granitowe, które dźwigać mogą państwo, gdyby chciały. Ale teraz chcą, chcą, pragną tę moc swoją oddać ojczyźnie i... oddają... O, pani, dlaczego pani milczy?... Dlaczego?... Przecie społeczeństwo nasze po ogniowej próbie niewoli inne jest i nowe. Dobro kraju jest w ręku wszystkich. Nasze ziemiaństwo i chłopci także to rozumieją, przeczuwam, że pracują intensywnie, że dążą wszystkimi siłami do ustalenia opinii narodu naszego, do podniesienia jego kultury duchowej i finansowej mocy, nie zaś tylko własnego wzbogacenia się... Pani znowu milczy... a ta bestia kamienna w poświęceniu księżycu jak się oto śmieje... Tak mi czegoś ciężko, jakieś zgrzyty słyszę, a tak bym chciał.. tak gorąco pragnę, by moje... marzenia...

Zamyślił się i znowu mówił z zapałem:

– A wieś. Ogólnie biorąc, wieś, obywatelstwo i stan kmiecy, wszak to potęga kraju, idą zapewne ręka w rękę z obopólną w siebie wiarą, ufnością, że jeden cel ich prowadzi, jedne kierują nimi ideały.

Halina podniosła głowę.

– Pan wierzy w ideały chłopca?

– Wierzę w ideał polskości, który tkwi w każdym Polaku, a teraz, gdy niewola skończona, ideały te, wzmocnione silnie spoidłem wielkiej idei, dać muszą wielkie rezultaty.

– Co pan nazywa wielką ideą?
– Pracę dla kraju ogólną, spokój, dążenie do ładu i... myśl zasadniczą, by Polska stanęła na szczycie potęgi.

– Takiej idei chce pan od chłopca teraz, w obecnym stadium?...

– Boże mój, jak pani na mnie dziwnie patrzy! Ja taką ideę chcę widzieć u wszystkich, kto mieszka na ziemi naszej i zwie się Polakiem, chcę, aby wszyscy byli godni tej nazwy, począwszy od arystokracji, ziemiaństwa, duchowieństwa i kobiety polskiej, a skończywszy na proletariacie miejskim i na chłopach. Wszyscy, bo to dopiero siła. Wpływ duchowieństwa i wpływ kobiety – to natchnienie duchowe kraju, patrycjat rodowy i szlachta ziemiańska – to jego puklerz i mężny kord, chłopcy – to jego gleba. Tak, pani droga.

Strzemska siedziała cicho zasłuchana, jakby zapatrzone w wizję, którą starzec odtwarzał.

– Kobieta, Polkę, widzę w dostojnej aureoli wychowawczyni nowych pokoleń; czystą, daleką od światowego zepsucia, czynną bojowniczkę, nie schlebującą pajacowi mody, nie szukającą tanich hołdów, flirtów i romansów, ale godną hołdu i czci własnej ojczyzny. Godną podziwu innych narodów, nie ułomną i spaczoną, przenerwowaną dekadentką, ale białą o jasnym czole i prawej duszy, silną duchem i wolą, obowiązkową i wielkoduszną obywatelkę kraju – Polkę.

Twarz pana Jacka była natchniona, w oczach gorzały mu dziwne płomienie, pierś dyszała nierówno i szybko. Porwał Halinę za rękę.

– Prawda, pani, że tak jest, prawda, że takie są obecnie wszystkie kobiety Polki w wolnej ojczyźnie, że takie jest całe społeczeństwo, wszystkie warstwy?

Halina siedziała blada ze spuszczonej oczami i głową zwieszoną na piersi. Ból jakiś i wstyd, i cień goryczy błąkał się w jej rysach zastygłych. Milczała.

– Na Boga! Niech się pani nareszcie ocknie z tej zadumy swojej, niech mi pani odpowie. Czy tak jest?...

Oczy Haliny uniosły się i spoczęły na twarzy Sfinksa. Pan Jacek rzucił wzrokiem w tym samym kierunku i nagle zakrył twarz dłonią z bolesnym okrzykiem przerażenia.

– Ach, ten kolos szydzi bezlitośnie, śmieje się ze mnie, drwi. Uciekam, patrzeć dłużej już nie mogę. Ta bestia zacznie chyba głośno rechotać.

Strzemska powstała ciężko i ujęła rękę starca.

– Chodźmy stąd, chodźmy już, istotnie dziwna groza rozsnuła się tutaj.

Poszli wolno w stronę oczekującego powozu. Po długiej minucie milczenia Halina spojrzała w twarz pana Jacka.

– Spokojnie, panie – rzekła miękko – taki pan wzruszony. Ufajmy w przyszłość.

– Tak mi ciężko, tak strasznie ciężko i tak serce boli... boli...

Oczy jego zaszyły łzami, lecz się wnet wyprostował w poczuciu siły wewnętrznej i rzekł już innym głosem:

– Tyle lat męki, tęsknoty, borykania się z nędzą, z przeciwnościami losu utrwaliły mnie w wierze, że jednak można dokonać czynów nadludzkich. A teraz wracam nareszcie, by wiarę tę krzawić, a może nawet, może...

Nie dokończył, zasłuchany w tajemną muzykę bijących w nim hejnałów.

Siedli do powozu, jechali wśród srebrno-białej powodzi księżycowego zalewiska, w którym wydłużały się i olbrzymiały potężne cienie piramid, niby okręty-widma na morskich odmetach. Kolos Sfinksa zanurzał się w piaskach i blasku opalowym, tylko głowa potwora, widoczna ciągle na tle ogólnej martwoty krajobrazu, ściagała jadących potwornym hieroglifem niedocieczonych zagadek. Spokój rozlany dokoła łączył się tu z jakimś mglistym niepokojem niby pył deszczowy z słonecznym blaskiem. Coś tu koło i coś trwożyło.

Po długim milczeniu odezwała się Halina głosem cichym, wskazując panu Jackowi przestrzeń zamgloną:

– W tych perłowych mgłach, w tej jaśni srebrnomatowej, w cieniu piramid przechadzają się wieki. Czy pan słyszy ich kroki dostojne? Tu może parki mityczne mają swe siedlisko i tu może wyrocznia delficka przeniosła swój trójnóg z Hellady, by wróżyć nowoczesnym ludom, narodom. Tu odbywają się sady, zapadają wyroki, a może snują się tu nakazy dla całego świata i... i... dla nas.

Zadrżała.

Pan Jacek spojrział w jej twarz uważnie i długo, i znowu uczuł silniejsze bicie serca.

– Na Boga, jakże mnie te zagadki przerażają! Pani jest trochę jak ten.. Sfinks, tylko on się śmieje, a pani ma w twarzy raczej tragizm dziwny i ból, chwilami znowu promienność niezwykłą. Tak samo teraz jak i wówczas, gdy mi pani malowała Podlasie, olszyny, rzeczkę Krznię. Mój Boże tak, jakbym widział na jawie mój ukochany Zaolchniów...

Strzemska drgnęła i nagle zwróciła się do starca z twarzą pełną zdumienia.

– Pan zna Zaolchniów?...

Pan Jacek wpił w nią swoje siwe, głębokie, zdumione oczy.

– Znam, pani, to moja wieś rodzinna.

– Boże, a ja pochodzę wszak z Borkowa!

– Z Borkowa!... – wykrzyknął wzburzony. – Tego za olszynami? – I krzyknął: – Więc kto pani jest?...

– Co panu, drogi panie! Ja tam mieszkałam i... kochałam bardzo zaolchniowskie i borkowskie olszyny i łąki, naszą rzeczkę, nasze borki... Pan płacze... Drogi panie!...

Ścisnęła serdecznie ręce starca, patrząc z uczuciem na gęste łzy, spływające po jego zwiędłej twarzy.

– Pani z Borkowa – szepnęła pan Jacek. – Pani zna Zaolchniów, mój Boże miły, cóż za spotkanie kochane. Bo już teraz pamiętam, pisano mi kiedyś, że Borkowo w innych rękach niż było za moich czasów.

Halina patrzyła na niego pytająco. Zrozumiał ją i rzekł ze słodkim uśmiechem na ustach:

– Pochodzę nie ze dworu, pani, lecz z drobnej szlachty, gęsto osiadłej na Podlasiu. Rodzice moi mieli zagrodę w Zaolchniowie i kawał ziemi. Ostatnia sadyba pod granicą borkowską. Może pani pamięta?

– Istotnie, wybornie pamiętam tę zagrodę, ale i nazwisko pańskie uderzyło mnie od razu. Więc to pan?

Halina zająknęła się.

– Są tam rodziny, nazywające się tak samo – dodała pośpiesznie.

– Tak pani, liczne familie noszą nazwy od wsi i wsie od nazwisk pochodzą, jak to wśród drobnej szlachty zwykle bywa. Rodzice moi już nie żyją, brat starszy umarł, mnie zesłali, krewni odziedziczyli zagrodę naszą. Do nich jadę, czy poznają, czy znajdę serce...

Westchnął ciężko:

– Ach czasy, czasy gdzie one są, tamte czasy, promienne młodzieńczą wiarą, gorące zapalem duchowym wzlotów, niosące płomień duszy i żar serca ponad wszelki poziom i materializm. Czasy, w których się śniły szczyty wyniosłe, oblane zorzą wschodu, cudne horoskopy i ot... te... marzenia... teraz...

Umilkł nagle, po czym, zmieniając ton, mówił znowu inaczej:

– Pani zna olszyny nasze. Było tam jedno miejsce przy kładce... nad rzeczka... Tam byłem szczęśliwy...

Żrenice nabrały mu łzami, przez twarz zwiędłą przeleciała luna zachwytu i zgasła nagle w jakiejś tragicznej chmurze, która spadła na czoło, niby cień potwornego ptaka. Usta opadły bolesną linią i drżały lekko. Odczuwało się, że zawisły na nich słowa nie wypowiedziane. Halina patrząc na spuszczone oczy pana Jacka, na jego twarz bolesną – czytała z niej jak z książki. Po chwili zaczęła mówić wolno, wyrażając melodią głosu to, co odczuła, i to, co wła-

sne wspomnienia nasunęły duszy, co ją siłą przeszłości, nagle ockniętej, zahipnotyzowało. Słowa płynęły z jej ust ciche i smutną nutą owiane:

– Zmieniły się pewno olszyny borkowskie od tamtych czasów, ale urok w nich pozostał ten sam i moc natchnień przedziwna a sugestywna. Och, jakże kochałam tę puszcę olch, to morze traw i kwiatów! Tam byłam bardzo szczęśliwa, tam nauczyłam się kochać naturę, bo w tych olszynach był zaklęty czar jakiś, który porywał i przykuwał. Były tam gęste zagaje chmielów dzikich, które oplatały miłośnie wysokie pnie olch i pięły się w górę, idąc w ramiona rozgałęzionych konarów. I były tam gibkie pręty, rozchwiane u góry pękiem rześistym białego puchu kwiecica o miodowym zapachu, co niby strusie pióra trzęsły się w upale słońca, a świeciły jasnym srebrem w poświacie księżyca. I były długie kiście różowo-pąsowych kwiatów, które łamały własne łodygi swoim ciężarem. Taka bujność rozkwitu, taka egzaltacja i pęd do życia całej roślinności! A gdy się gąszcze roztwierały na pluszowe szmaragdy łąk zdawało się, że ciemne, pogrążone w tęsknej kontemplacji głębie olszyn uśmiechały się nagle promiennym uśmiechem rozkochania i pogody. Łąki zielone, usiane barwą szczawiów, migające białymi gwiazdami margeryt, ametystowymi trzęsieniami dzwonek – to był uśmiech olszyn, ich jasna przejrzysta źrenica...

Pan Jacek zmrużył rozmarzone oczy, westchnienie z głębi duszy jakby powstałe uniosło mu starczą pierś entuzjazmem.

– Tak, pani – szepnął – tak samo było i... wtedy. A za łąkami znowu gaik olch i czeremchy na wzniesieniu, potem białe chaty Zaolchniowa, sady wiśniowe i wieża kościelna strzelista i znowu chaty, chaty... Och, jakież to cud, jaki raj na ziemi...

Zapadło milczenie. Starzec i Halina siedzieli ze zwieszonymi głowami zapatrzeni we własne wizje, zasłuchani jakby w szum olch nad Krzną, w szmery jej cichych wód.

Po długiej minucie tęsknej zadumy Halina szepnęła jakby w obawie, by nie zbudzić słodkiego snu swego i pana Jacka:

– Mam wrażenie, że dusze nasze uleciały teraz do tamtych stron kochanych i, wniknąwszy w głąb olszyn, budzą w nich echa minionych przeżyć, wywołują wizje cudowne, które już znikły niepowrotnie, ale nie zamarły. Wizje te pod mocą duchów naszych ożyły tam, w zielonych otchłaniach olszyn i kwiecica.

– Przy kładce nad rzeczką – wyszeptały blade usta starca.

– Tak, przy kładce – powtórzyła Halina jak echo – nad Krzną, wśród kęp olszowych i soczystych traw. Wizje te promienieją tam, ale widzą je tylko olszyny, kwiaty i – tak pachną, pachną... z podziwu i zachwytu...

I znowu pogrążyli się oboje w cichych rozpamiętywaniach, zapatrzeni jednym wzrokiem w majaczące przed nimi wizje wsi podlaskiej.

Stali oboje na przystani w Port Saidzie, w tłoku, w chaosie i zgiełku wśród ryku statków i przeraźliwych odgłosów gwizdawk okrętowych. Pomimo straszliwego zamętu słyszeć się dawał ciągły jednostajny, rytmiczny szum fal, uderzających o burty wybrzeża, czasem głośniejszy to znowu cichszy, ale zawsze wyraźny, jak akordy *arpeggio* w burzliwej fudze. Pełno tu słońca i błękitu, morze całe w blaskach niesie swe pienne grzywy z otchłannej dali i gada, gada wiekuistą swą gwarą.

Z daleka na modrej toni widać parę statków w chmurze dymów.

Halina Strzemska wskazała panu Jackowi wielkie i długie kamienne groble w stronie Kanału Sueskiego i rzekła z ożywieniem:

– Tędy oto, gdzie leci stado pelikanów, przez to molo, popłynę za chwilę na kanał, a dziś w nocy ukaze się stąd „Batawia”, która pana zawiezie do Europy. Spotkam ten statek w drodze, będę dużo o panu myślała, przeprowadzę go myślą aż do kraju, aż do... Zaolchniowa. Rozjeżdżamy się w dwa przeciwne krańce świata, oboje niesieni zapalem, choć zupełnie różnym.

– Da Bóg, że się jeszcze kiedy spotkamy z panią w Polsce... w Borkowie. Więc i panią nie-
sie zapał? Myślałem, że tylko ciekawość.

– Nawet i tęsknota.

– Tęsknota?... Wszakże pani jedzie do Indii...

Zarumieniła się.

– Skąd pan wie?...

– Płynie pani tym oto statkiem angielskim – wskazał na olbrzymi parowiec gotowy do
drogi, kurzący czarnymi słupami dymów. – „Boston” dąży przecież do Madras. Po co pani
jedzie tak daleko?... Opuszcza pani ojczyznę teraz?...

Halina milczała. Pan Jacek spojrział uważnie w jej szczerze, śmiałe oczy, zmęczone dziwnym
smutkiem i głęboką zadumą.

– Dlaczego pani opuszcza teraz własną placówkę?... – szepnął ciszej z wyrzutem.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Bo ja jestem, drogi panie, „przenerwowaną dekadentką”, może spaczoną, może ułomną,
ale o jasnym czole – mówię to śmiało – kobietą nowoczesnej doby.

– Wszak Polką?...

– Tak, lecz, niestety, nieuleczalną w nostalgii do... do gorących stref, do... słońca.

Długo i czujnie na nią patrzył.

– A nasze Podlasie – rzekł – nasze brzozy rozwite w warkocze, nasze pachnące lipy, krzy-
że samotne przy drogach, nasze sady wiśniowe, nasze olszyny... nad Krzną... łąki borkow-
skie...

W oczach Strzemskiej, wpatrzonych w morze, zamigotało nagle wzruszenie jak refleks
słońca na zielono-szarej toni. Usta jej drżały. Rzekła, nie odrywając wzroku od morza:

– Są w Indiach takie białe smukłe dzongdze, niby nenufary, storczyki, i pachną, silnie
pachną, nęcą, przyciągają... i są także smutne, smutne jak cyprysy – drzewa wytworne, które
tęsknotą wieczną...

Gwałtownie, nerwowo uściśnęła dłoń pana Jacka i rzuciła zdławionym głosem:

– Odjeżdżam, już czas. Więc niech pan pisuje do mnie, tak jak umówiliśmy się. Dłużną nie
pozostanę. Niech Bóg ciebie, czcigodny panie, zachowa niezmiennie w tej różowej mgle ma-
rzenia i snów promiennych – rzekła serdecznie i szybko odeszła.

Siedziała już w szalupie, gdy pan Jacek zawołał, machając chustką:

– Niech pani usłyszy tam szum naszych olszyn i śpiew majowy na „Zdrowaś Maria” w ko-
ściele, w Zaolchniowie!...

Słowa jego dosięgły jeszcze szalupy, lecz odpowiedź zagłuszył słodki bełkot fal Śród-
ziemnego.

Wkrótce zaryczała zwycięsko syrena na „Bostonie” i parowiec podnosił kotwicę. Pan Ja-
cek stał bez ruchu, znowu zgnębiony i bezradny, patrzył i dumał. Nagle drgnął. Na falach
zamajaczyła wielka, błękitnawo-zielona, uśmiechnięta szydlerczy twarz Sfinksa.

II

Śnieg przestał padać. Chmury wełniste wyladowały z siebie cały zapas przepysznej bieli i okryły nią świat. Pola zasypane, drzewa ciężarne śniegiem, każdą gałązkę oblepiło szklivo lodowe, a na nim znów jeżył się świeży puch jak niepokalanie biała grzywa. Szarzało, jął ścinać mróz.

Wśród olszyn, gdzie mokry grunt skuty był lodowym pancierzem, przesuwiał się w mroku samotny cień błędzącego człowieka. To pan Jacek chodził pomiędzy olchami, zagłębiając się w gąszcze wiklin i dzikich malin, wśród których świecił lód nagły, nie zawiany jeszcze śniegiem. Spod gładkich tafli lodowych wyglądały przedziwne rysunki ziół i traw obumarłych. Koronkowe desenie bagnistej rohożki jak sploty kosmatych węzowisk, szerokie tłuste liście grzybienia i drobne listki kaczeńców nabierały pod szklanymi taflami lodu jakiegoś życia i dziwnej barwy. Mozaika ta cieszyła oczy pana Jacka, który skulony w swym nędznym ubraniu, z rękoma w rękawach letniego paltota patrzył dokoła siebie z powagą uroczystą, ze szczęściem. W oczach jego jednak, w tych oczach szarych, głębokich była otchłań zadumy i smutku, jakiś cień bolesny, mimo blasków radosnych, zachwyty i podniecenia. Cieszył się olszynami, patrzył na groty bajeczne, utworzone z gąszczów zasypanych śniegiem, bawiły go sędziwe olchy w białych futrach i – leśny drobiazg, osnuty welonami bieli. Kładł wzrok rozmodlony na czarodziejską mozaikę w dole, zanurzał spojrzenia ciekawe w kopce i nawaly śniegu dokoła pni olszowych, gdzie zapewne miały swe ciepłe leża bure zające.

Pan Jacek błędził tak już długo, odkrywając w białej martwocie natury coraz nowe cuda, niespodzianki, i unosił się dziecięcym wprost porywem nad każdym niemal drobiazgiem. Krakanie lejących nad nim wron, łopot kruczych skrzydeł i widok strąconych z gałęzi kaskad śniegowych, ćwierkanie wróbli, które zewsząd przypatrywały się niezwykle gościevi o oczkami z czarnego dżetu, drzewa, krzewy i cienie tajemne ukryte w gąszczach, i ziemia, i każde źdźbło wystające hardo spod lodu, i chwila ta jedyna, niesamowita – wszystko uświadomiło panu Jackowi, że to nie sen, tam na krańcu świata, w jurcie sybirskiej, lecz rzeczywistość żywa, dotykalna.

– Podlasie rodzime, ukochane, a nade wszystko Polska, Polska jedyna, moja – szeptał w zapamiętałym upojeniu, z radością, z nabożeństwem.

Posunął się dalej i stanął na brzegu olszyn, nad rowem pełnym lodu i śniegu, skąd widać było łąkę, a za nią dach dworu, otoczonego bujnymi kępami drzew. Z kominów wystrzelały proste siwo-niebieskie słupy dymu niby zbiorowy oddech rodziny zebranej pod dachem; dalej białały ściany budynków, a za nimi szły ogrody, zagaje, równa linia alei lipowej, młyn, wiatrak na górcie, dalej borek w mgłę śnieżnych pyłów, wynoszący się w górę rosochatymi koronami sosen ponad puszcze brzóz, a jeszcze dalej mętne sześciorożne śnieżne, przerysowana ciemną taśmą boru, zatopionego w oddechu zimy. Nad polami unosił się pył mroźny, siność wieczoru gęstniała, kontury osady dworskiej zacierały się tak, że już tylko widać było drzewa, a i te wkrótce rozpląnęły się w szarosiwej martwej zaćmie.

Borkowo – pomyślał pan Jacek z rzewnym uśmiechem, ale wnet uśmiech zgasł, bo serce ścisnęło skurcz bolesny, a do gardła nadbiegły łzy. Pan Jacek uprzytomnił sobie nagle, że jest bezdomny. Wszak nie czeka na niego ani dwór, ani wieś, obca mu jest każda zagroda, żadna pierś ciepła, bratnia nie przytuli go do siebie, nikt nie wyjdzie na jego spotkanie – nikt, nikt...

Westchnął bezradny i znowu poszedł w olszyny. Brnąc w śniegu i trzęsąc się już z zimna, przeszedł na drugi brzeg i stanął nad rzeczką Krzną, którą tak dobrze znał i tylokrotnie wspominał. W oddali, poza łąką, na wzgórzu, w biało-szarym dywanie, błyszcząły roje światełek z okien chat wiejskich. Migwały te światła wśród ośnieżonych sadów jak oczy zalotne, pełne pokusy i słodkich obietnic, radosne, uroczyste. Wyżej świeciła plebania, nad nią zaś smukła wieża kościoła, pogrążona już do połowy w odmętach nadciągających zewsząd mroków.

– Zaolchniów – szepce pan Jacek i czuje ból w piersi jakiś tępy, nieznośny, i lży coraz bardziej dokuczliwie szamocą się w ściśniętym gardle. I starzec już prawie bezwiednie zawraca w kierunku przeciwnym, i znowu staje nad rowem pełnym lodu. Patrzy na Borków, raczej widzi już tylko wizję Borkowa, mętniejącego w oddali. Oto i tam błyszczą światło w jednym z okien dworu.

Który to pokój? – usiłuje przypomnieć sobie pan Jacek. – Od olszyn na lewo był dziecinny, pośrodku stołowy, na prawo salon... Tak, światełko pali się teraz w stołowym... Tam przy stole, nakrytym białym obrusem, zebrała się rodzina... pod obrusem chrzęści siano... wszak to Wigilia Bożego Narodzenia, święto rodzinne... każdy ze swoimi spędza, każdy u siebie...

I nagle zrywa się w panu Jacku huragan wewnętrznego szloch i w jednej chwili przesuwa mu się przed oczami szlaki dróg dalekich, bezludnych, Sybir, cele więzienne, jurta, lata męki, tęsknoty, udręczeń. I – majak potworny szydzącego Sfinksa.

Sam jesteś, sam, bezdomny – przebiegają przez głowę pana Jacka myśli, słowa, błyskawice słów – wróciłeś do kraju radosny po tylu latach zesłania, tułaczki i oto znów stoisz bezradny gdzieś na odludziu, bez dachu nad głową, choć w Polsce... w Zaolchniowie, w Borkowie, na Podlasiu ukochanym – choć sam... Przytuliły cię tylko ośnieżone olszyny i te mroki, tułające się dookoła, bo z ludzi nikt cię nie zna, nikt nie pamięta. Po tamtych, którzy znali i kochali, pozostały groby zapadłe, a i te odszukać trudno; innych los wygnał z tych stron tak dawno, że już pamięć o nich zaginęła, a ci, co są... nowi, tacy dziwni, obcy... świat się zmienił, ludzie inni...

– Sam jestem! – wybuchnął pan Jacek, a echo jego głosu odbiło się jakąś żalobną nutą wśród olszyn i zagajów.

Sam, sam, sam – chrząścił śnieg pod strudzonymi stopami starca.

A przecie zaraz po przybyciu do wsi rozpytywał o rodzinę, o znajomych, o rzecz każdą, o ludzi, których zostawił tu, z którymi żył i dzielił niejedną i trud, i mękę. Ale ludzie spoglądali nań podejrzliwie, spode łba, i zbywali go niczym, inni zaś wzruszali tylko ramionami i odpowiadali niechętnie dla pozbycia się:

- Ho! Bracia w grobie, dawno pomarli...
- A ziemia ich, zagroda moja, a...
- Sprzedana, inni gospodarują od wielu już lat.
- A bratankowie?
- Kto ich tam wie, gdzie są – w świecie.

Inni jeszcze, gdy przechodził przez wieś od chaty do chaty, pokazywali go sobie wzajemnie znakami urągliwymi i mówili półgłosem:

- Ten szuka dawnych panów z Borkowa, Strzemskich niby...
- Familiant jaki?...
- Gdzie tam. Mówi, że z Sybiru wraca.
- A juścić, z Sybiru!... Jeno za co go tam wysłali...
- Pewnie! Toć włóczy się po wsi dużo takich, co kogoś zawsze szukają.
- Przecie ten stary już jest, gdzieżby tam udawał...
- Ho! Ho! A to wyście takich nie widzieli?
- Kiedy on pyta o tych, co to jeszcze ponoć przed Strzemskimi byli, widać zna...
- Przybłęda jakiś...

– Obląkany...

Pan Jacek rozumiał mowę oczu ludzkich i te słowa, które szły za nim jak osy kąśliwe. Wiedział, że ludzie unikają go, są względem niego nieufni a on jest dla nich zupełnie obcy. Chodził wśród wsi rodzinnej jak przybysz, który wśród nocy nie może znaleźć przytułku, odtrącano go zewsząd jak psa bezpańskiego – przybłądę.

Ksiądz był inny, nowy, ludzie nowi i chat wiele nowych, tylko w wielkim ołtarzu Chrystus na krzyżu ten sam, choć taki milczący, jakby nie pamiętał, że mały Jacuś wobec niego Pierwszą Komunię przyjmował, a w kilka lat potem do Mszy Świętej służył i modlił się na tych samych stopniach ołtarza, mając serce pełne miłości i duszę rwącą się do lotu...

Ech, Boże miły, i tyś Chryste zamknął ramiona – westchnął pan Jacek i żal mu się zrobiło niewymownie, bo przecie przebrnął cudze lądy i morza, ostatnimi siłami pracował na podróż, byle prędzej do kraju, byle stanąć już na drodzej ziemi podlaskiej. Leciał tu bez wytchnienia, z wiarą niezłomną, młodzieńczą i przybył, choć... raz się tylko zawahał, zwątpił... To słowa Strzemskiej tam, na pustyni... Jakieś wspomnienie... jakaś twarz roześmiana potwornie, ironicznie... Sfinks... Srebrnoblade światło księżyca i ten jęk szakali...

Dreszcz przebiegł ciałem pana Jacka. Wydało mu się, że i tu, w gąszczach, słyszy przykre żalosne skomlenie. Rozejrzał się dokoła trwożnie.

Czyżby?

Och, ból serca bywa niekiedy słyszalny...

W górze przeleciał jakiś zabłąkany, senny ptak, zakwilił, załopotał skrzydłami i zniknął w głębi olszyn.

Bezdomny...?

Pan Jacek usiadł na brzegu rzeki, na wysokiej kępie owianej śniegiem, skulił się bardziej w kołnierzu paltota i zapatrzył w migające światła wsi. Już teraz myśl jego odzyskiwała poprzedni spokój i swobodę. Nawet w pewnej chwili zaśmiał się głośno i jał szydzić z własnego niedołęstwa.

Jakże to! W Polsce jest, na Podlasiu, u siebie, a ten wieczór wigilijny ma spędzić na śniegu, w olszynach, jak żebrak? Toć przecie powinien zebrać ostatki sił i iść do wsi, i szukać, i żądać wprost od ludzi, by mu ułatwili odzyskanie dachu, wmówić w nich, przekonać, że jest on gospodarzem w Zaolchniowie, że wreszcie za wolność tego Zaolchniowa (choćaby) należy mu się coś więcej niż brak domu i głupia tułaczka wśród zarośli nocą.

Niedołęga jestem, nie oni winni, że patrzyli na mnie jak na intruza, lecz ja, moja nieśmiałość i bierne poddawanie się losowi. A oto co mi los szykuje – w samą noc Bożego Narodzenia – dzisiaj...

I znowu ogarnia pana Jacka dziwny smutek, bezwład. Głowę ma ciężką, oczy zmęczone. Powieki przymykają się, światełka w oddali nikną, zlewając się w jedną żółtą plamę kopcącego kaganka. Z szmerów nocnych wyłaniają się jakieś głosy jękliwe, przeciągłe, później głosy te cichną, odchodzą, znów wracają i znowu słabną, wreszcie panu Jackowi wydaje się, iż leży na nędznym barłogu w jurcie syberyjskiej, oświetlonej kopcącym kagankiem i słyszy uprzejme, dobre słowa: „Na, na, pej, Ku-Jama prosi”... Istotnie, jest do czego zapraszać! Taka podła herbata w pogiętej blaszance... Ale nie trzeba odmawiać. Ku-Jama jest pocziwy, bo któż by to z obcych ludzi chciał pielęgnować zesłańca-Polaka, z którym się trudno porozumieć? A Ku-Jama to robi, choć przecie nikt mu nie kazał... Przyjął go, jak brata, do swej samotnej jurty rybackiej nad brzegiem jakiegoś jeziora i dzieli się z nim wszystkim, czym może. I teraz, gdy pan Jacek zleżał na barłogu, dotknięty ciężką chorobą, stary Chińczyk opiekuje się nim i troszczy się o jego zdrowie z wyszukaną czułością. Niezliczone razy pochyla nad barłogiem swoją kanciastą twarz, a gdy widzi, że chory nie śpi, podsuwa mu kubek herbaty i mówi uprzejmie: „Na, na, pej, Ku-Jama prosi...” Po czym wydaje jakieś niezrozumiałe gardłowe dźwięki i zadowolony staje w drugim kącie jurty, rozstawiwszy szeroko nogi. Pan Jacek pije obrzydliwy płyn, herbatą zwany, i czuje, że dusi go zapach tranu, którym jest przesiąknięta

mała jurta ubogiego rybaka. Zresztą piecze go w piersiach nieznośny żar, a czaszkę rozsadza ból okropny. Chce wstać, wydostać się z tej jurty na wolną przestrzeń, ale brak mu sił. Chce rozerwać na piersi koszulę, by wyszarpnąć z wnętrza piekielny ogień, ale ręka drży tylko i opada bezwładnie. I znów Ku-Jama nachyla się nad nim i wpija w niego skośne blade oczka, jak gdyby chciał go przeszyć wzrokiem i wyczytać w duszy zesłańca wszystko, cokolwiek on przeżył. Nagle chwytą ze ściany jakiś przedmiot i wciska w rękę panu Jackowi: „Na, na, twój Bóg, twój Bóg” – mówi szybko, prostując się. „Twój Bóg” – powtarza pan Jacek i przytula do ust, jak relikwię, mały woreczek ze szczyptą ziemi zaolchniowskiej i srebrny medalik z Bogarodzicą. Jedyne skarby zesłańca!... Jakże pan Jacek jest wdzięczny Ku-Jamie za to, że zachował on te bezcenne skarby, umieszczając je nad barłogiem, gdy chory był nieprzytomny. Ale dobry Chińczyk nie wie, że w woreczku jest ukryta miniatura tej, która nie mogła być bogiem, choć była wszystkim. – „Och, Ku-Jamo – Ku-Jamo!” – wota pan Jacek i zrywa się ostatkiem sił przerażony. Oto Chińczyk rośnie, olbrzymieje, przeistacza się w bryłę kamiennego potwora, roześmianego straszliwymi ustami... A, a! Sfinks...

– On widzi to, czego my widzieć nie chcemy, albo czego nie widzimy istotnie...

– Gdzie jestem? – uprzytomnia sobie pan Jacek. Wyteża wzrok i przekonuje się z trudem, że siedzi na śniegu zziębnięty, i że jest pusto dokoła i cisza, choć w dali, we wsi, błyszczą roje światełek.

Wstrząsnął się z zimna, czy też z przykrego uczucia, wstał i poszedł w głąb olszyn. Nagle stanął. Rzeczka skręcała półkolem, a na brzegu rosła duża, stara olcha wśród gąszczu wiklin i odwiecznych spróchniałych pni po ściętych niegdyś drzewach. Pan Jacek wpatrzył się w zakręt rzeczki.

Tu była – myślał – kładka... tam dzikie maliny, porzeczki; siwa wierzбина... trawy do pasa... niezapominajki...

– Boże mój, Boże... – westchnął i znowu szedł dalej.

Tu, pod tą starą olchą stała ona... Lubiła siadać tam, na pniu i patrzeć w wodę... Tędy, przez gąszcze, biegła w białej sukni lekka jak sarna... Tam rwała niezapominajki...

Przed oczyma pana Jacka przesunęły się obrazy jasne, wizje słoneczne minionego niegdyś lata. Wydało mu się, że przywiała z dalekich dróg przeszłości jedyna w życiu jego chwila, że jest znowu – jak wówczas – pod urokiem kwiatów i miodowych zapachów ziół. Są oboje razem, przy sobie, a postacie ich oplatają szorstkie liście chmielowych pnączy... Rzeczka-powiernica chłodzi łagodnym oddechem ich pałające skronie... Te ranki urocze, gdy olszyny złociły się w słońcu, te zachody krwawe, które rzucały purpurę na białe kiście przytulii... A niezapominajki wczesnym rankiem i o zachodzie barwiły się zawsze różowo...

Lata, lata minione bezpowrotnie – czy wróca?... Przeszła po nich niedola, zesłania, wędrówka po dalekich obczyznach, przepłynęły nad nimi oceany, spiętrzyły się góry, śniegi, lodowce – cała męka trzydziestu kilku lat – cały Sybir...

A tu – któż wie, odgadnie, odczuje? Olszyny stoją jak dawniej, ze starych pni wyrastają nowe pędy i krzepną, dojrzewają, i rzeczka, dobra Krzna, przesuwa swe łagodne fale tym samym korytem jak ongiś, w dniu pierwszym i w dniu ostatnim...

– Ha! Stało się, widocznie tak trzeba – rzekł pan Jacek i przyspieszył kroku, bo mróz potężniał, dokuczając coraz bardziej.

Wtem jęknęło coś w lesie, powietrzem zakołysał jakiś głos metaliczny, dźwięczny, śpiewny, coraz bliższy...

Dzwony...

To dzwony kościelne w Zaolchniowie biją na Pasterkę, obwieszczając przyjście tego, który miał cierpieć za całą ludzkość.

Panu Jackowi krew spłynęła do serca gorącą falą, a oczy zaszklily się łzami wzruszenia, radości. Biegł już na przelaj, przed siebie, bez tchu, z oczami utkwionymi w wieży kościelnej.

Śreżoga wieczorna znikła, powietrze było przezyste, nalane seledynem i srebrem wychylającego się spoza olszyn księżyc. Dokoła biel, na szafirowej, szmelcowanej stali nieba trzęsienia gwiazd, wyspy świetliste, kolorowe.

– Noc święta, boska, mistyczna – szeptał pan Jacek wraz z odgłosem dzwonów i w pierśiach miał szczęście, przedziwną muzykę szczęścia.

Gdy dobiegł do kościoła, świątynia była rześcicie oświetlona i pełna ludu tak, że do wnętrza nie sposób było się przedostać. Ze wszystkich drzwi wylewały się tłumy, inni pchali się do środka. Przed kościołem było tłoczno. Młodzież rozmawiała głośno, chichocząc i zaczepiając się w przejściu.

Naraz mocne szarpnięcie dzwonka raz i drugi, trzeci i – nagle z wieży, jak z nieba, runął gromadny hejnał wszystkich dzwonów, a z wnętrza świątyni, od ołtarza, zagrały szczebiotliwie dyszkanty dzwonek maleńkich.

Pan Jacek oparł czoło o zimny mur szczytu kościoła w miejscu, gdzie był wielki ołtarz, ukląkł na śniegu i rozpląkał się w rozmodleniu, w którym serce i dusza ludzka przebywa niekiedy zdeptane ścieżki życia po raz wtóry, dziesiąty, setny. Klęczał tak długo, obojętny na zimno, nie widział tłoczących się gwarnie ludzi, zapomniał, że jest na dworze, na mrozie i śniegu – bezdomny.

Ale w pewnej chwili usłyszał tuż przy sobie czyjś głos i czuł, że ktoś go pociąga gwałtownie za rękaw. Ocknął się.

– Dziadku, co to wam? Zmarzliście?

Stał przy nim chłopiec może dziesięcioletni w szamerowanym kubraczku i siwej czapeczce.

– Co wy tak tu klęczycie i klęczycie? – pytał.

– Modłę się, dziecko.

– A toć Pasterka skończona. Patrzcie, jak się naród wywala z kościoła.

Pan Jacek dźwignął się do wstania, lecz uczył silny zawrót głowy i nogi się pod nim ugętyły. Głód i zmęczenie podcięło go.

Byłby upadł, ale podtrzymał go chłopiec, wołając w stronę:

– Tatku, prędzej tatku!

Gdy pan Jacek siłą woli wyprostował się, ujrzał przed sobą mężczyznę w tęgim kozuchu i baraniej czapie, nałożonej z pewną fantazją.

– Czego krzyczysz, Franuś? – rzekł mężczyzna, rzucając ciekawym okiem na starca.

– Dziadek jakowyś, myślałem, że zmarzli – tłumaczył się chłopiec.

– Nie jestem dziadkiem proszalnym, chłopcze, tylko latami zjedzony, tułaczka – rzekł pan Jacek.

– Tułaczka? – zapytał mężczyzna. A można wiedzieć skąd?

– Wracam z Syberii, a pochodzę z Zaolchniowa – odparł starzec i wymienił swoje nazwisko.

Mężczyzna uchylił czapki.

– A toście szlachcic nasz, zagrodowiec! – zawołał. – Familia tutejsza, choć ich już nie ma, wymarli, inni wyjechali. A wasza sadyba kędy? Czy nie ta była, co wedle olszyn, ostatnia za wsią?

– Ta sama. Ojciec mój był tam gospodarzem.

– No, jego to ja już nie pamiętam. Ale mój stryj będą wiedzieli. A macie tu, panie, znajomych chociażby?

– Byli kiedyś. Dziś ludzie nowi, nikt mnie nie zna...

– Jakżeż to! – zdziwił się mężczyzna. Gdzież mieszkacie, gdzie żeście wieszerali?

Pana Jacka skurcz zdławił w krtani.

– W traktierni przespałem kilka nocy – wyjąkał.

– Patrzcie, ludzie! No, to jedźcie z nami. Gość w dom. Bóg w dom, zwłaszcza w noc Narodzenia Pańskiego. Jestem z Jerzejk, Jan Jerzejski.

– Jerzejski z Jerzejk! – pochwycił radośnie pan Jacek. – To stryj, o którym pan wspominał, był na prawie w uniwersytecie?

– A jakże, mój stryj...

– Więc Ezop!

– Znacie go?

– Naturalnie, kolega mój! Ezop! Co za szczęście? – wołał uradowany naprawdę starzec i dał się już bezwolnie prowadzić do stojących przed kościołem sań.

Franek ujął lejce i, kiedy pan Jacek usadowił się wygodnie obok Jerzejskiego, strzepnął nimi, i para oszronionych koni pokłusowała żwawo przez wieś. Po krótkiej chwili rozwaliste sanie wytoczyły się na polną drózkę kopną, wysadzoną rosochatymi wierzbami w śniegowych zawałach. Mróz iskrzył się na polach i ostro skrzypiał pod płozami.

Pan Jacek milczał, gdyż dziwne jakieś obrazy przesuwały mu się w wyobraźni. Na wspomnienie o podobnej jeździe w mróz, o takim samym skrzypieniu śniegu gdzieś i kiedyś na Syberii – wzdygnął się.

Jerzejski także milczał, przynaglając tylko syna do prędszej jazdy. Raz przecie mruknął:

– Mijamy Borkowo.

Pan Jacek podniósł głowę, otworzył oczy. Ujrzał bramę, aleję wjazdową; w głębi bujnych kęp drzewnych stał cichy ośnieżony dwór.

– Jak tu dziwnie smutno – szepnął, westchnąwszy.

– Zna pan Borkowo?

– Znałem.

– Hej, nie tak tu bywało dawniej! Za Strzemskich, panie, było tu i pięknie, i wesoło. A jeszcze przedtem za Iwińskich.

Pan Jacek drgnął.

– Co z nimi... teraz?... – spytał cicho.

– W świecie są, Bóg ich wie, gdzie...

Dalej jechali w milczeniu. Wreszcie stanęli przed dworkiem okazałym. Dworek miał drewniany ganek i białe szyby zamrażniętych okien. Podobne domki stały poza dworkiem, ginąc w szeregu drzew iskrzących się od mrozu.

– Ot i Jerzejki! – rzekł szlachcic, a gdy konie stanęły, wyskoczył szybko i pomógł wygrzebać się z sań panu Jackowi.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał, prowadząc gościa do mieszkania.

Po chwili siedział pan Jacek na ławie, przy kominie, na którym palił się suty ogień, w jasnej, dobrze ogrzanej świetlicy. Obok niego stał Jerzejski z rękoma w kieszeniach. Był w szarej kurtce i długich butach. Pałac papierosa, patrzył z radością na wesołe oczy pana Jacka i na jego promiennie uśmiechniętą twarz.

Obok, w głębokim zydlu, siedział człowiek stary, zwiędły, z siwym zarostem, łysy. Miał wygląd poważny, chociaż postać jego zdradzała niezwykłą ruchliwość. W oczach, ocienionych okularami, widniała inteligencja i pogodny nastrój ducha. Prostota w ubraniu, brak w nim sezonowego kroju, tak zwanej ostatniej mody, świadczył, iż starzec ten ma zamiłowanie do pewnej swoistej wytworności. Ścisnął on co chwila pana Jacka i radośnie zacierał ręce, kręcąc się na zydlu i wołając dyszkantem:

– Ot i Jacuś wrócił! No, no, no! Gdzie, kiedy, co, jak, a ot i wrócił. Panie wielki, z Syberii wrócił do Polski! A tu już ani Moskala, ani Niemca – ni śladu, ni śladu. W tym roku byli u nas i bolszewicy, ale ich się zmogło.

Nagle krzyknął na środek świetlicy:

– Kaśka! Prędeż no dawaj z komory, co tylko po wieczery zostało. Franek, duchem samowar! A czy Ewunia śpi? – spytał bratanka.

– Przecie to noc, stryjku. Żona śpi – usprawiedliwiał się gospodarz przed gościem. – Nie budziłem kobiety, bo i po co dziś. Niech się stryjko sam nacieszy takim niespodziewanym gościem. Kaśka i Franek ugoszczą, a potem trzeba spać.

– Rozumie się – potwierdził Ezop. – Jan dobrze mówi... Oto śledź na stole, kapusta przyprażona. A racuszków tam nie zostało trochę? Ha? A barszcz z grzybami. Zwijaj się Franek! Kaśka, nie śpij, ino chleba daj, a ty Janie wódkę wyjm ze szafy – zakropić się warto. Najprzód dawać tu opłatki, żywo!... Ej, Jacuś, czemuś ty od razu nie przyszedł do nas na wieczerzę, jak Bóg przykazał?

– Nie wiedziałem, że was tu znajdę...

– Ano tak, widzisz, bo o starym Ezopie wszyscy już zapomnieli. Pamiętasz może przezwisko ze szkół? Ciebie przezywali Platonem, boś ciągle ideały snuł.

– A teraz stryjka nazywają tu Mądrakiem – wtrącił Jan. – Bo i słusznie: na wszystko zawsze znajdzie radę.

Stary Jerzejski zaśmiał się.

– Ot, to mi mądrak dopiero, pleśnią obrosły! A pamiętasz, Jacuś, grekę, jakeśmy to trzepali „Iliadę”? Jeszcze czasem przypomnę sobie kilka wierszy o Hektorze i Hekubie, ale już słabo, słabo. Nie ta głowa, co była. A potem uniwersytet... Hej, hej! Boże miły, inne życie było... Tak, tak... Koleje mego nędznego życia nieciekawe, nie. Nas obu zły wiatr wywiał z kursów. Takie losy już...

Przy opłatku obaj starzy ściskali się serdecznie i płakali rzewnie, trzęsąc się ze wzruszenia.

Nakarmiony już i napojony pan Jacek ogrzewał się nie tylko ciepłem ognia na kominie, ale i szczerą serdecznością tych ludzi. W takiej atmosferze spędzał dzieciństwo, młodość... Z rozrzewnieniem patrzył teraz na Franka i przypominał sobie, kiedy sam był takim „skrzatem” wszędobylskim i ciekawskim. Franek zaś podparty na łokciu wytrzeszczał chabrowe oczy na przybysza z Syberii jak na dziwo zamorskie i często szeptał do ojca z dumą:

– Aha! To ja go znalazłem, tatku, byłby zamarzł, żeby nie ja!

Po wieczerzy Jan przynaglał domowników do snu ze względu na spóźnioną porę, wreszcie sam odszedł z Frankiem na drugą stronę domu.

Dla gościa Kasia posłała w świetlicy na szerokiej staroświeckiej kanapie, obitej kretonem w kolorowe kwiaty, z poręczami sięgającymi połowy ściany. Nad kanapą wisiał duży Orzeł Biały na czerwonym tle, a po bokach dwa oleodruki, przedstawiające Kościuszkę i Poniatowskiego. Przed kanapą, na równie wiekowym stole, stała pękata lampa z rezerwuarem w kwiaty i ptaki, na kloszu wisiały jaskrawe motyle z bibułki, szkło zaś przykrywał włóczkowy pomarańczowy kanarek z zadartym dziobkiem. Stół był okryty szydełkową serwetą, po obu stronach lampy leżały patarafka różnych wyrobów i zgrabne koszyczki, w których piętrzyły się bajecznie kolorowe pocztówki. Małe niskie okna osłaniały firanki, robione widocznie na drutach. Za podwójnymi szybami zielenił się mech farbowany, na szybach zaś tkął przezroczyste swe desenie mróz. Na kołku wisiały skrzypce, po bokach znowu oleodruki. Pod jedną ze ścian stała skrzynia, przykryta kilimem, nieco dalej szafka z książkami, kilka krzeseł różnych, komoda rozwalista pod obrazem Bogarodzicy, na komodzie krucyfiks i święte figurki.

Pan Jacek przesuwiał oczy z przedmiotu na przedmiot z rzewnym uśmiechem, jakby witał starych znajomych i przyjaciół. Wszystko dojrzał, każdy szczegół, który przeszłość przypominał, był mu drogi, na wszystko patrzył nie tylko oczami tęsknoty, ale i sercem, miłującym bezmiernie.

Cisza zaległa świetlicę, tylko ogień syczał w kominie i szept słów ludzkich włóczył się po kątach. Czasem ćwierknął świerszcz, czasem wiatr mroźny rzucił w szyby grad kolącego śniegu i zawył w kominie, przygaszając ogień. Dwóch starców pochyliło do siebie głowy i szeptało zapamiętale, kiwając się i mrużąc niekiedy głośniejsze.

Pan Jacek opowiedział koledze dzieje swego wygnania, nostalgię i krótką historię dni

ostatnich, kiedy wrócił do wolnej niepodległej Polski. Opowiadanie swe przeplatał wyznaniem szczęścia i radości, że oto spełniły się jego sny i że sprawa, za którą tyle wycierpiał, zwyciężyła jeszcze za jego żywota.

Jerzejski potrzasał głową i, mrużąc chytrze oczy, uśmiechał się tylko pół smętnie, pół wesoło. Wreszcie w pewnej chwili klasnął w ręce i zawołał:

– Oj, Jacuś, tyś zawsze ten sam, niepoprawny!... Pamiętam, jak z uniwersytetu przyjeżdżaliśmy na święta lub wakacje do Zaolchniowa... Toś tylko gadał i gadał: „Polska, ojczyzna... złoty sen o przyszłej świetności Polski... wrogów pobijemy... rozkujemy kajdany...” Terefere! Nie tyś rozkuł kajdany, jeno tobie je nałożyli tak, żeś i zdiadział w nich przedwcześnie... Polskę rozkuł Bóg, cud ją wyzwolił z więzów, ale na ostatnią próbę... No, zobaczymy. Tyś, Jacuś, przez tyle lat męki i tęsknoty myślał sobie, myślał, aż wymyślił, że Polska to już niebieskie objawienie. A ja tymczasem tu siedzę na naszej szlachcie. Kręcę się trochę, to tam, to tu pojadę... Czytam dużo gazet i książek różnych... Ty wiesz, ile ja dawniej czytałem... Potem, jak nas wyrzucili z czwartego kursu, ciebie capnęli, a jam się wywinał, ale ot – życie złamane kulawo poszło. Nasze cele i pragnienia na nic się nie zdały. Ciebie nie stało, a ja się już... bałem. Nie wstydzę się, ale ot po prostu bałem się twego losu. Czy było mi jednak dobrze? Boże, uchowaj! Nadzory policyjne, wilczy bilet, ni nauki, ni posady dobrej. Tłukłem się po miastach, po dworach... Uczyłem dzieci – to zaraz aresztowania... doradzałem ludziom, znając prawo – to przesładowali mnie, że niech Bóg broni. Raz mi się coś lepszego trafiło: wybrali mnie na ławnika, potem oddano wiele głosów za tym, żebym był sędzią. Gdzie tam! Sami Polacy przeszkodzili... I tak oto człowiek dużo się napatrzył i nasłuchał. Teraz jeszcze więcej się słyszy i widzi. Cud nad Polską jawny się spełnił – zaiste na ostatnią próbę. Godna czyś niegodna wolności. Zresztą i czas próby ostatniej Bóg mierzy ludzką głupotą i lenistwem...

Pan Jacek podniósł powieki i utkwiał wzrok badawczy w oczach kolegi.

A Polska?... – zapytał cicho.

Polska – odrzekł Ezop – to jeszcze nie objawienie wolności...

Panu Jackowi zdawało się, że słowa wymówił ktoś inny jeszcze tam, w piaskach pustyni. I nagle zamajaczyła przed nim kamienna twarz potwora, szydząca, roześmiana straszliwie... Strzemska wówczas milczała, ale jej milczenie było tak samo wymowne, jak ten dziwny głos kolegi z lat młodych...

Zapanowała głucha cisza. Jakiś duch niepokoju wtragnał do świetlicy i przyćmił jej pogodę.

Pan Jacek siedział zgarbiony, pochłonięty wspomnieniem Strzemskiej i sfinksowej ironii.

W pewnej chwili Jerzejski dotknął jego ramienia i rzekł:

– Słuchaj, Jacuś, ocknij się, gdzieżeś się tak zapatrzył?... Tyś nie z uniwersytetu na święta przyjechał – z Syberii wracasz. Mieję rozum, ciągle śnić nie można. Zbudzić się już trzeba, za stary tyś już na sny. Starzy nie śnią, lecz widzą. Kto śni, ten szczęśliwy, ale nie bardzo pożyteczny... A ot, panie wielki, ja tobie, Jacuś, gadkę powiem...

Jerzejski zamyślił się, ale wnet podniósł czerwone powieki i spojrział wesoło na towarzysza.

– Właśnie była tu w Borkowie dziedziczka, pani Strzemska Halina. Często rozmawiałem z nią, ona chodziła na spacer, a i ja wtedy mogłem łązić więcej. Czasem i do nas zaszła, bo lubiła mnie, że to jej o dawnych czasach rozповідаłem dużo. Miła to była pani. Ale jak pogoda w marcu: to wesoła jak ptak, to smutna jak żałobnica. Lubiała brodzić po olszynach zaolchniowskich i borkowskich, kwiaty rwała pękami i zawsze była za kimś czy za czymś roz tęskniona. Wyjechała z tych stron. Otóż pewnego dnia, po długim niewidzeniu się z ową panią Strzemską odbieram od niej kartę z Rzymu z Bazyliką Świętego Piotra. Mam ją nad łóżkiem. W karcie tej pisze mi pani Strzemska, że wyjeżdża za morza, w dalekie kraje, bo takich, pisze, jak ona nie potrzeba w Polsce nowej. Ona jest egzaltowaną idealistką, niepoprawną

marzycielką, podczas gdy w Polsce potrzebni są ludzie czynu, ludzie o tęgich zimnych mózgach, ludzie pracy, poświęceń...

– Ja ją spotkałem! – wybuchnął pan Jacek drżącymi wargami.

– Kogo?... Panią Strzemską?...

– Tak, w Port Saidzie, w drodze mej do kraju.

– To chyba niemożliwe!

– Możliwe, bom ją spotkał przecie i mówiłem z nią długo, bardzo długo. Tak, ona kocha Podlasie. Prosiła, abym opisywał swoje wrażenia z Polski, z Borkowa i z Zaolchniowa. Data mi adresy poste restante.

– No, no, no – dziwił się Ezop i kręcił głową. Jakież to bywają zdarzenia... Tak, to ona. Kochała Podlasie, wiem o tym. Ileż ona choćby i w tych olszynach zostawiła tęsknot i myśli. Nie było tam grudki ziemi, trawki żdźbła, nie tkniętego jej wzrokiem miłującym.

Nagle Jerzejski przerwał i pochylił się ku panu Jackowi.

– A dlaczego – zapytał szmerem ust – ona pojechała za morza, co?... Nie wiesz, Jacuś?...

Pan Jacek wzruszył ramionami.

– Nie wiem, bo skądże! Wiem tylko, że ja stamtąd uciekałem gnany do kraju tęsknotą, pani Strzemska zaś dążyła w stronę przeciwną także pędzona tęsknotą...

Przymknął oczy, jak gdyby raził go przenikliwy wzrok Ezopa. Ten jednak długo wpatrywał się w zoraną twarz towarzysza i milczał.

Wreszcie wstał, położył mu dłoń na ramieniu i zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Jacuś... a ty... pamiętasz jeszcze... olszyny?...

Dreszcz przebiegł po ciele zesłańca. Nie odrzekł nic, skinął jeno głową.

– Bóg was tylko widział... słońce, ptaki i drzewa... kwiaty wam pachniały i Krzna szumiała słodko... Ludzie nie zbrudzili – to i w pamięci wiecznej zostanie...

– A ona... Co z nią? – spytał pan Jacek drżącym głosem końcami warg.

– Iwińska... umarła dawno już.... Opowiedziałem Strzemskiej kiedyś twoją historię... Ona cię rozumiała... A wiesz, Jacuś, czy zauważyłaś to, jak Strzemska do tamtej podobna?

Pan Jacek siedział kamienny, bez ruchu.

Zapadło długie milczenie.

III

Blady świt wpełznął przez okienka świetlicy jerzejskiej i, wnikając w mroczne jej kąty, osiadł w szarych źrenicach pana Jacka. Starzec nie spał. Utkwił nieruchomo oczy w siwiejących szybach i zapatrzył się w przestrzeń, jak gdyby tam szły dalekie, nieskończone korowody wielkich wypadków i drobnych zdarzeń, znamienych tylko dla serc dwojga. Otoczyły go i wchłonęły w siebie wspomnienia, mieniające się tęczą światłością, widział osoby, z którymi go los stykał na wszystkich szlakach odbytych pielgrzymek.

Postać ukochana, jedyna, zjawiała mu się w gaju zieleni i kwiecica. Przypomnił sobie ów moment, gdy przed opuszczeniem granic ojczystych żegnał ją z taką samą nadzieją w duszy, jak Polskę. Młodość i zapał i miłość szeptały radosne: „Wróć – odzyskam – zdobęde” – a jednak...

Trzydzieści kilka lat spędzonych w najstraszniejszej męce tęsknoty i zesłania – to wiek czasu, to otchłań, w którą musiało runąć szczęście, zapal, młodość i nadzieja. Runęło wszystko, cokolwiek młodzieńcza wyobraźnia a nade wszystko serce zapalne sprowadzić chciało z krainy snów do ogrodów pachnących rzeczywistego szczęścia.

...Ona umarła dawno...

A on – czyż ten dzisiejszy szczątek człowieka może być dawnym Jackiem, który miał dość silne ramiona, aby sięgnąć po skarb należny mu z prawa miłości?... Opadły pióra i pogruchotane lotki bolą, a przeszłość jest jeno wspomnieniem cudnym. Ale i ten wyłaniający się ze wspomnień słoneczny poranek, pełen woni i kwiecica, zagłusza burzliwy dzień i mglista, mętna śreżoga wieczora...

Więc zostały tylko nieuchwytnie nigdy wizje.

Gdzież jednak najwyższy cel człowieka, sen szczytny jego młodości?

Pan Jacek wzdrygnął się i oderwał oczy od szyb. Uczuł chłodną dłoń rzeczywistości na czole. Groza jego osamotnienia wydała mu się teraz straszniejsza niż przeżyta męka lat. Co będzie dalej? – pytał w duchu... Co ja dać mogę ojczyźnie i ludziom, co we mnie zostało jeszcze najżywoźniejszego?

Powiało dokoła pustką i głuszą ruin własnej przeszłości.

A jeśli myśl swoją, poczętą w latach młodzieńczych, rozpalić na nowo i jak z pochodnią iść naprzód, a światłem jej wypełniać resztę życia?

Dozwolił mu Bóg doczekać odrodzenia Polski i przeprowadził go poprzez grzęzawiska straszliwej nędzy, niewoli, chorób, trudów nieludzkich. Mógł on dawno rozpaść się w proch, a oto trwa i serce ma pełne wiary poprzedniej, niezłomnej.

Gdybyż jeno móc działać teraz i składać na ołtarzu ojczyzny kwiaty miłości swej i owoce znoejnej pracy!

Pan Jacek usiadł na pościeli i wbił oczy w jasne już szyby świetlicy. Słońce zimowego poranka oblało go pierwszą poźlotą i wniknęło mu do duszy radosnym promieniem. Zerwał się z łoża, wydało mu się, że ta światłość słoneczna budzi w nim jakieś szerokie uczucie szczęścia i wiosnę mu zwraca utraconą.

Wtem spoza ściany świetlicy rozległ się chór głosów dziecięcych i donośny głos Ezopa Jerzejskiego: „Kiedy ranne wstają zorze...”

Śpiew wzniosł się czystą swobodną gamą, wypełnił wkrótce cały, zda się, dom. Melodia hymnu brzmiała radością, pełna była podniosłego uczucia i siły.

Fala gwałtownego wzruszenia ogarnęła pana Jacka. Stał i słuchał. A w miarę jak pieśń wznosiła się i potężniała, skurcz jakiś rzewny jął dławić krtań jego, źrenice zapiekły żarem.

Nie potrafił opanować się i zdusić w sobie łkania – spod powiek toczyły się ciche, gorące łzy.

– Tyle lat, tyle lat i ani razu nigdzie... a to znowu słyszę... Boże, jakim ja bogacz wielki i jakiej łaski doznaję...

Długo słuchał i łkał. Gdy pieśń ucichła, do świetlicy wsunął się Ezop. Padli sobie w ramiona.

– Przeczułem łzy twoje, Jacuś – szepnął Jerzejski – bo to tak, jakbyś zmartwychwstał.

– Ale patrz! – wskazał mu nagle okno, zalane słońcem. – Wstają zorze!

Pan Jacek przebywał stale w domu Jerzejskich. Podejmowali go tak serdecznie, że czuł się wśród nich jak w rodzinie. Ale też i gdzie indziej było go pełno. Z Ezopem lub sam odwiedzał starych znajomych, zwłaszcza na plebanii bywał stałym gościem, gdyż proboszcz, ciekawy przygód, lubił słuchać opowiadania starego zesłańca. Gdy rozeszła się wieść o nim po okolicy, szlachta i chłopci odwiedzali często Jerzejki, otaczając przy lada sposobności miłego Sybira i wypytując go bez końca. Wywiady takie męczyły pana Jacka, tym bardziej, że unikał

on publicznych wynurzeń. Raczej wolał pytać niż być pytany, więc udało mu się niejednokrotnie zwrócić rozmowę na taki temat, jaki w danej chwili najbardziej go zajmował. Z rozmów takich wyprowadzał wnioski częstokroć ciekawe i bolesne. Stwierdzał bowiem, że ludzie, z którymi się stykał, nie doceniali znaczenia chwili dziejowej i że ideologia zmartwychwstałej ojczyzny jest im daleka i nieomal obca. Ci ludzie – myślał – nie wyzwolili się jeszcze z pęt egoizmu pierwotnego i sprawa Polski, sprawa całego narodu nie zajmuje ich wcale, a przynajmniej patrzą na nią przez dziwne jakieś pryzmaty. Czy reszta, która tworzy społeczeństwo polskie, taka sama?

Walczył ze sobą, aby nie poddać się apatii i nie dopuścić do serca zwątpienia. Starał się wmówić w siebie, że przecie ta garstka z Jerzejk, Zaolchniowa, Borkowa i innych okolic nie reprezentuje całego narodu, mimo to jednak doznawał uczuć niemiłych i stawał się coraz bardziej ponury, skupiony w sobie. Zaczął powoli unikać ludzi, a potem nawet unikał towarzystwa Ezopa.

Wśród długich i samotnych rozmyślań doszedł do wniosku, że ostatecznie musi się zająć sobą i resztę swego życia odpowiednio ułożyć. Przede wszystkim pragnął wydobyć się ze wsi na szerszą przestrzeń, która pozwoliłaby mu odetchnąć pełną piersią i czynić coś bardziej pożytecznego niż zbieranie obserwacyjnego materiału do smutnych rozmyślań. Nie chcąc nadużywać gościnności Jerzejskich, wybierał się do Warszawy w celu poszukiwania zajęcia, czekał na odpowiednią chwilę. Pragnął jeszcze przed wyjazdem ze wsi otrzymać list od Strzemskiej i niecierpliwił się tym, że list nie nadchodzi.

Tymczasem wypoczywał, zbierał siły do przyszłej pracy, patrzył i słuchał. Po pewnym czasie spostrzegł z prawdziwą radością, że wśród drobnej szlachty, z której pochodził, tkwią głęboko patriarchalne zwyczaje, nawet swego rodzaju patriotyzm, nabyty tu po ojcach razem z zagrodami. Znał dawniej rodaków swoich wybornie, a teraz widział, że pod wieloma względami nie zmienili się zupełnie. Po dawnemu pozostała w nich, obok pieniactwa i chciwości nawet, obawa Boga i – poczucie własnego szlachectwa. Szlachectwem swym szczycił się każdy wpisany w heraldyczne księgi i to było jego dumą, ambicją, patriotyzmem, a często wędzidłem złych instynktów. Właśnie ta tradycja odgradzała szlachtę od chłopów i budziła w niej pragnienia i idee chłopom nieznane i niedostępne. Dlatego pan Jacek zaczął wierzyć w szlachtę i posiadał dla zagrodowców pewien kult odmienny.

Wtedy znowu zbliżył się do Ezopa i przypominał z nim czasy, kiedy obaj młodzi zapaleńcy starali się wciągnąć do konspiracyjnych swych poczynań ten lud braterski silny a butny, twardy w karku i wrogi względem wrogów.

Kiedyś, podczas pogawędki o stosunku szlachty do chłopstwa, stary Jerzejski rzekł, klepiąc kolegę po ramieniu:

– Zbyt idealnie patrzysz na zagrodowców. Poprzedni ich zmysł praktyczny wyrażający się w sobkostwie i niechęci do czynów społecznych nie uległ żadnej zmianie nawet dzisiaj; przeciwnie, zaostrzył się bardziej i wyrodził w brzydką dbałość o dobrobyt własnej kieszeni.

– To starzy. Lecz młodsze pokolenie, które miało możliwość kształcić się w szkołach? – zapytał pan Jacek, strapiiony słowami Ezopa.

– Młodzi – odparł Jerzejski – wychowywali się jeszcze w pętach niewoli, najmłodszy zaś z jednej strony nie mają odpowiednich szkół w całym znaczeniu słowa, z drugiej – biorą pouczające lekcje od chłopów, którzy idą na pasku zbrodniczych przywódców i obrastają w pierze dobrobytu kosztem społeczeństwa.

– Obowiązkiem waszym było nie dopuścić do tego! – zawołał pan Jacek.

Jerzejski spuścił głowę jakby zawstydzony, po czym odparł:

– Łatwo powiedzieć. Zresztą nie wiadomo skąd i kiedy przysła zaraza i ogarnęła wszystkich. Gdyśmy oczy przetarli, już zabiegi wydałyby się zbrodnią – takie są stosunki...

Pan Jacek zmilczał, ale sądził w duchu, że jednak nie należało opuszczać rąk bezczynnie wobec nadchodzącego zła, i że nawet teraz sprawa nie stoi tak źle, by uważać ją za przegraną.

Kręcił się więc po okolicy i, korzystając ze swej popularności, usiłował słowem gorącym a dostępnym dla wszystkich pobudzić ludzi do szerszego myślenia, do zwrócenia uwagi na sprawy ogólnonarodowe. Znajdował chętnych, przyznawali mu słusność i pragnęli działać wspólnie z nim, tych jednak było niewielu. Reszta zaś, a przeważnie chłopcy spoglądali na niego spod łba, nieufnie, jak na intruza, a gdy ich napastował, usiłując przekonać i zjednać, wymykali się i wręcz oświadczyli, że osiągniętą wolność osobistą cenią nade wszystko i nie chcą słyszeć nawet o tym, aby było inaczej niż jest. Dwory natomiast, w których za czasów niewoli kultywowano ideały patriotyzmu, teraz, posądzone stale o zakusy pańszczyźniane, usunęły się na bok w biernym wyczekiwaniu. Wobec rozpanoszonej po wsiach wśród chłopstwa partyjności nieco światlejsza szlachta pochowała się po zagrodach w obawie, aby nie narażać się nikomu.

Mimo to pan Jacek nie zniechęcał się, choć doświadczenie przekonywało go, że zamierzona przez niego praca na tym gruncie byłaby co najmniej bezowocna.

W pewnym czasie urządził z proboszczem kilka zebrań w rodzaju odczytów, uświadamiających społecznie i politycznie. Na jednym z takich zebrań wyłożył popularnie historię lat porozbiorowych i opowiadał o sposobach, jakich imali się zaborcy w celu zdławienia polskości. Słuchano go ze spokojem i z zajęciem dopóki żywo i barwnie przedstawiał wypadki na tle powstania. Gdy jednak potrafił o Syberię, o cierpiących za sprawę narodową zesłańców, odezwał się z kąta głos urągliwy:

– Do ciężkich robót wysyłali Moskale złodziei, koniokradów i zbójów morderców, to i nie bardzo jest czym się chwalić.

Pan Jacek uśmiechnął się pobłaźliwie, jął wyjaśniać różnicę pomiędzy zesłańcami politycznymi a przestępcami kryminalnymi, lecz spostrzegł, że wykład jego przestał robić wrażenie na chłopach i niecierpliwił ich. Co śmielsi przerywali mowę z wyraźnymi oznakami niezadowolenia, jeden zaś spośród nich stanął tuż przed panem Jackiem i, zwracając się znaczącym ruchem ku zebranym, oświadczył:

– Wiadomo, każda myszka swój ogon chwali. A dlatego za Moskala źle nie było. Szlachta Moskali nie lubi, bo pańszczyznę znieśli.

– Przecie że tak – rozległy się potakiwania.

Jakiś stary gospodarz splunął przez zęby, ziewnął szeroko i zawołał:

– Oho! Teraz pańszczyzna nie wróci się. Chcieliby pany na nowo chłopami orać, ale już przepadło.. Dzisiaj chłop na lepszych prawach stanął niż pany i szlachta, bo rząd w naszych rękach. A jak nastanie rozdział gruntów dworskich, to my będziemy takie same pany jak teraz największe obywatela.

– Słusznie – odparł pan Jacek – ale zanim to nastąpi, trzeba się uczyć przyjaciele, ażeby potem móc rządzić się mądrze i przede wszystkim być godnymi obywatelami Polski.

Starszy gospodarz machnął lekceważąco ręką i rzekł:

– Każdy godny i mądry jak bogaty – co tu po próżnicy gadać. Dzieci przecie uczą się, i za dużo już tych szkół nafundowali za nasze pieniądze. Z nauczycielami i z nauczycielkami tylko kłopot, nic więcej. A to dla nich drzewa trzeba, a to furmanki do miasta – że człowiek spokoju wyzbył się przez to wielkie uczenie. Nasze ojciec i dziady żyły bez żadnej nauki i dlatego mądrzy byli.

Pan Jacek tłumaczył sobie poglądy chłopów jako wynik niewoli i braku odpowiedniej oświaty. Tym bardziej więc, tym serdeczniej chciał słowem swym trafić do dusz tych ludzi, oświecić ich ciemne umysły, wlać do serc swą wiarę i miłość do ojczyzny i do rodaków.

Widział to Ezop, śledząc kroki pana Jacka, ale milczał, proboszcz zaś, któremu pan Jacek opowiadał szczegóły wszczętej przez siebie sprawy – śmiał się tylko i machał ręką.

– Zniechęć się bracie – mówił. – Ja z nimi jestem dawno i najlepiej wiem, jaka wśród nich robota trudna, często niewykonalna. A teraz szczególnie, gdy do reszty ich obalamucono. Bożyszczycie ich to pieniądze i ziemie dworskie. Szczęście jeno, że dotąd wiary w Boga nie tracą,

ale u młodszych i to zaczyna się objawiać. Gdyby złe miało objąć lud cały, wówczas byłaby klęska ostateczna. Wszak są już głosy za tym, że szkoły powinny być bezwyznaniowe.

Pan Jacek przeraził się.

– Ależ to niemożliwe! – krzyknął. – Toż to zguba wszystkiego!

– Co prawda – rzekł ksiądz – istnieje dopiero taka tendencja pewnej kliki. Ale bądź co bądź już to samo świadczy o tym, że złe się rozplenia. Mam tu na oku parę okolicznych szkół podejrzanych.

Pan Jacek wkrótce stwierdził, że proboszcz miał rację. W zastępstwie Ezopa Jerzejskiego, który należał do nadzorczej rady szkolnej na gminę zaolchniowską, odwiedził razem z proboszczem szkoły okoliczne i dwie w Zaolchniowie. Jedna z nich, prowadzona przez niejaką pannę Mikulską, wywarła na panu Jacku jak najlepsze wrażenie. Panna Mikulska była pełna zapału i zamiłowania do swego zawodu, czuła się doń powołaną i oddawała szczerze swoje zdolności i siły powierzonym jej dzieciom. Toteż łatwo zyskała sobie ich miłość i przywiązanie, nawet otaczano ją niezwykłą czcią.

Szkołę panny Mikulskiej stawiał proboszcz za wzór pod każdym względem, za co znowu oburzał się nauczyciel drugiej szkoły w Zaolchniowie, pan Filip. Ten młodzieniec, nazwany przez Ezopa Filipem z konopi Ożarczyka, wykazywał niezwykłą zarozumiałość, mówił po polsku okropnie, pisał jeszcze gorzej i uważał się za ofiarę losu. Pretensjonalność i wybujałe zdolności erotyczne stały się główną treścią jego bytu, szkoła zaś była złem koniecznym, dającym wprawdzie mieszkanie i utrzymanie, bez czego nawet sztuki kochania nie udawałoby się uprawiać. Z tym się pan Filip liczyć musiał, gdyż budynek szkoły i tytuł nauczyciela były mu potrzebne. Natomiast dzieci uważał za balast nieznośny i mścił się na nich przy lada okazji za swoje rzekome krzywdy. W szkole pana Filipa panował chaos i niesłychane rozprężenie. Ponadto wyczuwało się tam wyraźnie jawne dążenia skrajne i kierunek bezwyznaniowy.

Podobnych szkół o tendencjach bezwyznaniowych pan Jacek widział jeszcze kilka, choć zauważył, że pod względem nauczania i rygoru stały daleko wyżej niż uczelnia pana Filipa. I to go zasmuciło. Zaczął więc rozmyślać nad uzdrowieniem stosunków w szkolnictwie, ale rychło przekonał się, że poparcia nie dozna od nikogo, bo duchowieństwo miało na szkołę wpływ pośredni i stosunkowo niewielki, ziemianie zaś oraz zagrodowcy inteligentniejsi albo usuwali się od szkoły, albo też byli celowo odsuwani.

W miarę jak pan Jacek badał rzeczy i ludzi, musiał z goryczą spostrzec głęboki i wyraźny rozłam między chłopstwem i inteligencją. Ujrzał przepaść między tymi warstwami nie do przebycia. Rzecznikami hasel, dzięki którym chłopci zajęli stanowisko wrogie względem ziemiaństwa, byli pan starosta i pan poseł z Zaolchniowa, chłop Ożarczyk. Ci dwaj wynieśli się na swe stanowiska w chwili przełomowej, jedynie za sprawą własnej agitacji, a wpływ swój na masę potrafili wyrzucić w ten sposób, że rozbudzili w niej nienawiść do wszystkiego, co „pańskie” oraz – pożądanie dworskich majątków. Z czasem jednak nie przeszkadzało im to dorobić się znacznej majątności i opływać w dobrobycie.

Pewnego dnia pan Jacek, bawiąc w mieście powiatowym, ujrzał pana starostę rozpartego we własnym powozie i słyszał urągliwe głosy przechodniów:

– O, patrzcie, jak se teraz parady! A kiedy się starał na starostę, to wymyślał na dwory, że powozami jeżdżą.

Stary zesłaniec był zgorszony, ale obserwował cierpliwie i wierzył w zmianę stosunków na lepsze.

Kiedyś znowu wybrał się z Ezopem do miasta powiatowego, trafiwszy kolejno na zebranie gminne, na którym wyłącznie miał głos poseł Ożarczyk, i na zebranie w sejmiku, gdzie przeważała inteligencja na czele z dziedzicem z Warnowa.

Po skończonych zebraniach pan Jacek wszczął rozmowę z kilkoma chłopami, pragnąc dowiedzieć się, jakie na nich wywarła wrażenie mowa posła i referat dziedzica z Warnowa.

– Jak młody dziedzic czytał – rzekł jeden z chłopów – to nasz poseł słuchał se zadumany, słuchał, łypał oczami pewno z niewiadomości swojej, aż i kiwnął się raz i drugi niebożę. Boć łatwiej wystroić się jak pan, niż taki refyrot napisać. Musi Ożarczyk zmiarkował, że nie równać mu się z rozumem dziedzica z Warnowa.

– Po cóż więc wybraliście Ożarczyka do sejmu i starostę na takie stanowisko? – zapytał pan Jacek.

– Ot! Kto wybierał? – sami się oni wspólnie wybrali. Swój swego znalazł. Starosta jest przebiegły: on dziś tak, a jutro inaczej. W jaki bęben najgłośniej wał, to on za tym idzie i zawsze na trzech stołkach siedzi.

– A ogląda się za czwartym, czy nie najwygodniejszy – wtrącił Ezop Jerzejski.

– Czy to Polak?

– A jakże.

– Chyba ze szkoły moskiewskich czynowników?

– I... i... skąd! Tylko ze szkoły sprytnych karierowiczów.

Pan Jacek coraz częściej zamyślał się ponuro i wtedy uciekał do olszyn nad Krzną. Już tam pęczniała ziemia. Rzeczka, wyzbyta oków zimowych, bełkotała raźnie. W powietrzu czuło się wiosnę. Nad olszynami kruczały żurawie i dzikie gęsi kreśliły klucze na niebie, a gęg ich radował słuch.

Pan Jacek pochylał się nad lusterkami wody, pozostałej po śniegach, i w bagienkach szukał pierwszych główek żółtych kaczeńców. Ale ziemia była jeszcze oporną wiosennym podmuchom, łono jej nie nabrało jeszcze słodyczą, by wykarmić kwiat. Tylko koronkowe baldachymy olch nasycaly się wątlą różowością pierwszego rumieńca pączków.

Pan Jacek poddawał się bezwolnie nadpływającym tęsknotom, marzeniom, myśl jego wyławiała wspomnienia z dawnych lat. Często zadumany posyłał swe myśli śladem pelikanów, które mu w Port Saidzie pokazywała Strzemska – na te morza upalne, podzwrotnikowe, gdzie ona teraz przebywa. Przykro mu było, że na wysłany do niej list nie otrzymał odpowiedzi i zaczął powątpiewać, czy urok wymarzonych przez Strzemską podróży nie zgłuszył w niej pamięci o starym Sybiraku. Czekał na list Strzemskiej z takim niepokojem w duszy, jakby miały go dojść tajemne słowa tamtej – lwińskiej – zza granic Nieznanego. Wiedział, że list oczekiwany doda mu otuchy, zachęci do dalszego borykania się z rzeczywistością posła Ożarczyka, starosty, ciemnego pospółstwa i utwierdzi go w wierze w zwycięstwo ideałów. Zresztą pragnął zmienić tryb życia przez usunięcie się ze wsi, ale czuł, że brakuje mu odwagi i sił, niezbędnych do wywalczenia sobie w szerszym świecie takiego stanowiska, by pozwalało mu jednocześnie zaspokajać swe osobiste potrzeby i poświęcać się wyłącznie służbie dla ojczyzny.

Kiedyś, na wiecu Ożarczyka, spotkał znajomego obywatela, ziemianina, sąsiada z Zaolch-niowa. Po dłuższej rozmowie z panem Jackiem obywatel zainteresował się jego obecnym losem. Proponował mu różne rodzaje zajęć, ale żadne z nich nie porywało pana Jacka. Najbardziej podobała mu się posada leśniczego w dobrach ziemianina, jednak chciał on czegoś szerszego, wydatniejszego, pragnął, jak się później wyraził, widoku całej Polski, nie zaś tylko polskiego lasu.

Obywatel, słysząc to, nie obraził się. Nastawił palcami suty czub na głowie i zawołał jowialnie:

– Słusznie! Praca i wiara w Chrystusa przynosi zbawienie. Bogu cześć, a diabła za kity. W Warszawie piekło nie szczędziło swego posiewu. Tu, takie diablątka, jak Ożarczyk i starosta, łatwo za nogi uchwycić i... w święconą wodę – chlup! Splucz się wisielcu, bo Chrystus nakażał budować i goić, nie zaś rozwalać i zabijać. W Warszawie są straszniejsze diabły, ale to nic. Uszy do góry! Jeśli już nie my, to dzieci nasze ich zwalczą do reszty, ale rozumnie, nie nową partyjnością, jeno Chrystusową ideą. Wierz mi bracie!

Pan Jacek lubił i szanował obywatela. Przypominał mu żywo archaiczny typ Polaka, trochę hałaśliwego, ale filozofa, znającego świat i ludzi. Poblężliwość dla ludzkich złości i wad, której obywatel dawał dowody, pan Jacek zaliczał do objawów rzadkich u ludzi nawet najrozsunniejszych, i uważał, że w sferze ducha wstrzemięźliwość w sądach jest ważnym czynnikiem sprawiedliwości i umiaru.

Zdanie obywatela o Warszawie nie stropiło pana Jacka, jał się tym bardziej rwać do stolicy. Obywatel jednak nie chciał o tym słuchać i namawiał:

– Już przebądź święto Zmartwychwstania na Podlasiu, panie Jacku, jak Bóg przykazał. A że obaj z Jerzejskim nie macie swojej niewiasty, więc zapraszam was całym sercem do nas na święcone. Niech ci się, bracie, przypomną młode lata, kiedy cię niewiasta kusiła. Wiem jaka, aleś wybrał cytadelę...

Pan Jacek poblądł i ze smutkiem pochylił głowę na pierś. Obywatel chwycił go serdecznie w ramiona.

– No, no, Sybiraku kochany... stare dzieje i za stary wróbel. Co było to wasza rzecz, jeno woli Bożej nie było i dlatego zmarnowałeś się... Niewiasta to grunt, bez niej i błogosławieństwa nie ma. A że to bestie wabne, nie nowina – Adam o tym wiedział. Poty kusi, aż skusi. Trzeba je tylko krótko trzymać, wtedy jest porządek. Pamiętaj, panie Jacku, Chrystus przykazanie boskie kazał spełniać, niewiastę pojąć, ale trzymać ją krótko, bo pryśnie.

– Myślałby kto, że Jacuś w związku małżeńskie wstępuje, tak mu pan radzi – śmiał się obecny Ezop.

– Na wszelki wypadek, na wszelki wypadek – odparł obywatel. Po czym nagle zapytał:

– A jakże tam pani Halina Strzemska, nie wraca zza morza?

Pan Jacek spojrział na niego zdumiony, ale ten zawołał:

– Dziwisz się, bracie, skąd ja wiem, że ty ją znasz? A to zapomniałeś, że Polska cała, więc i Podlasie, posiada wyjątkową akustykę. No, widzisz, spotkałeś się z nią gdzieś w Afryce... Pryśła, bo nie była krótko trzymana. Toż sąsiadka moja! Lubiliśmy się, choć często przekomarzali. Niosło ją, niosło w świat aż i poniosło. Ha, są różne natury i różne przeznaczenia... No, bracie, więc przyjeżdżajcie do mnie razem z Jerzejskim na święcone. Poznacie u mnie wiele osób z szerokiego świata, bo w domu moim różni ludzie bywają.

Pan Jacek łatwo uległ namowom. Chciał poznać ten świat, w którym będzie się wkrótce obracać.

Gdy nadeszły święta, został zaraz po rezurekcji zabrany z Ezopem do domu obywatela.

Była tu istotnie staropolska gościnność i rozszerzała ściany. Na tle różnych poglądów i ścierających się zdań, mniej lub więcej szczytnych, dominował duch patriotyczny i niezatarta patyna „szlacheckiego uczciwego gniazda”, jak swój dom i rodzinę nazywał obywatel. Mimo to pan Jacek stwierdził z zalem, że wśród reprezentowanej tam sfery ziemiańskiej optymizm na rzecz kraju wprowadzić nie wygaśł jeszcze, ale tlił się słabym płomykiem, trochę niecierpliwie i chwiejnie, jakby w obawie zupełnego zaniku.

Goście, bawiący u obywatela, nie imponowali panu Jackowi. Przeciwnie, rozmowy ich, prowadzone przeważnie na tematy polityczne i finansowe oraz okazywane przy byle jakiej sposobności zacierzenie wywarło na nim wrażenie ujemne. Widział w nich ludzi bardziej inteligentnych niż codzienne jego otoczenie, umiejących trafnymi i nieraz dosadnymi argumentami zwalczać przeciwników, ale razem wzięci nie stanowili oni tego materiału, na którym można by wynieść nawę państwową Polski i spoić ją, niby cementem, na wiecznych czasów trwanie.

Cóż w takim razie dzieje się w centrum państwa, w stolicy, jeśli tu tak? – pytał w duchu pan Jacek, usuwając się dyskretnie od ogólnej dyskusji i obserwując pilnie. – Czy ten chaos, to zwichrzenie i płatanina różnych poglądów, koterii, interesów wyłoni z siebie nowe słońce i nową uzdrowczą atmosferę? Czy w takim wirze myśli ludzkich, czy w takim odmęcie osobistych ambicji zabrzmie potężny głos Stwórcy: „Wstań, Polsko?...”

Rozmyślał nad tym długo i obliczał swoje siły, czy starczy mu ich do oparcia się fali zupełnej rezygnacji.

IV

Rozprężyło się łono ziemi i zadrżało twórczym dreszczem. Buchnęły z piersi gleby tchnienia pełne żaru, słodkiej tęsknoty i pożądania. W spazmie rozkoszy ziemia oddawała się słońcu, jego piekącym, zachłannym pocałunkom. Na ołtarzu natury, osypanym kwieciem i barwą, dokonywał się w kadzidlach odurzającej woni cud odrodzenia.

Olszyny zaolchniowskie i borkowskie rozkochały się w wiosennej światłości i w sobie, wydobyły z siebie wszystką krasę, jak dziewice, gdy stroją się na gody weselne, i otoczyły przezroczym bogactwem liści, przyprószonych kaskadą złotego pyłu słońca. U stóp ich leżał królewski kobierzec zieleni, przetkany misternie żółtymi gwiazdami jaskrów, kaczeńców. Płynnego złota pełno było w powietrzu – czarodziejska wiosna siała je przez błękitne sito, koronujące jego glorią wszystko dokoła.

Złote powietrze osypało siwą głowę pana Jacka i wsiąkało w ciemnorudą Krznę, która, jak Czarny Dunajec górski, nabrawszy wiosennych wód i wiosennego wesela, szumiała buńczucznym pędem tuż koło stóp swego ziomka i czciciela.

Pan Jacek siedział na zwałonej olszy, zwisłej częścią pnia nad wodą. Patrzył na rzeczkę z jakimś rozrzewnieniem i szeptał bezwiednie niemal, jak do kogoś bardzo kochanego, kto rozumie i odczuje:

– Tyś piękniejsza i miłsza, tyś droga i swoja... Ty rusałko podlaska. Czyż ja porzuciłbym ciebie dla tych tam cudzych mórz, oceanów – dla cudzego świata, jak ona to zrobiła?...

Pochylił się, zerwał garść kaczeńców i rzucił je na rozpędzoną falę.

To nie indyjskie dzongdze w morze – to nasze drogie kwiatuszki dla ciebie Krzno.

Popatrzył chwilę, jak na żelaznej szybie wody złote gwiazdki zadrgały, zakręciły się w kółko i posłuszne pędowi prądu popłynęły w dal, niknąc na zawrocie.

Pan Jacek wziął z kolan rozłożony list Haliny Strzemskiej, podniósł go do oczu.

Nie oderwę się chyba od niego – pomyślał i zaczął czytać.

„Tak, Panie drogi, myślą jestem bardzo często przy nim i widzę go w otoczeniu marzeń zrealizowanych. Czy istotnie marzenia pańskie spełniły się, czy też to zaledwie klisza negatywna, na której dopiero powstać mają urzeczywistnione sny?... Jakże proszę Boga, by te cudowne iluzje pańskie trzymały pana zazdrośnie w swych tęczowych oplotach... Pokochałam pański romantyzm i duszę tak pełną kryształu i złota, że blask jej promieniuje. Gdy list mój Pan nareszcie otrzyma, tam, u nas, zakwitną już gaje, pękną pąki olch miodem i czarem nasycone, a na ziemi kwietnik sułtański Seraju rozściele się w całym przepychu naszych gorących kaczeńców podlaskich. Borek będzie już biały od zawilców, brzozy się rozszlochają zielonym płaczem roz tęsknionych gałęzi i takie będzie upojne powietrze od zapachów ziemi, że... Ech, Boże... Nie mówmy o tym...

Świat posiada za wiele cudów i czarów, aby wybór był łatwy.

Niech Pan list mój czyta w olszynach. Proszę. Jeśli go Pan nawet rzuci w pasji do Krzny – popłynie, na pewno gdzieś go przytulą liście nenufarów, czy może niezapominajki na brzegu, bo je kochałam... A gdzie ja będę wtedy?...

Dziś jestem na wodach Oceanu Indyjskiego i wyobrażam sobie, że u was tam śnieg, roztopy, błoto. Brrr... Pan zna Indyjski? Prawda, jakie on ma w załamach fal tafle szmaragdu? A raz przy zachodzie słońca widziałam istną otchłań purpury, jakiś szal fal, orgię ognistych pożądań. Tam się paliło pragnienie morza, buchała z tej purpury namiętność pochłaniająca i spalająca. To był miłosny krzyk morza. Ciągnęła mnie ku sobie ta przepaść ognista i – wie Pan, co zrobiłam? Oto cisnęłam w nią pęk białych dzongdży, które lubię mieć przy sobie. Są to kwiaty indyjskie w rodzaju storczyków i lili, białe, smukłe, wytworne, lekko szarawe wewnątrz kielicha, z którego rdzenia wytryskają jak cienki strumień krwi prątki, zakończone ognistym serduszkiem, drżące nieustannie. Dżongdze są jak westalki niepokalane, których serca zapaliła miłość-szał, miłość-pragnienie, miłość... Och, może nawet miłość-grzech. Te białe niepokalane dżongdze-westalki rzuciłam w purpurę otchłani oceanu. Niech się nasycą, niech się skażą, niech spalą... Och, Panie! A one płynęły w tej purpurze, w tym ogniu gorejącym, takie czyste, białe, jak alabastrowe skrzydełka tonącego ptaka, takie niepokalane choć... spragnione. Szkarłat się ich nie imał, nie splamiła ich czerwień grzechu. A gdy słońce utonęło w oceanie, dżongdze drżały na metalowobladej fali zmęczone może walką, takie słabe i bielejsze niż zwykle. Gasły nad nimi krwawe pożary, nie splamiwszy ich alabastrowych skrzydeł.

Czasem powierzam dżongdzom moje tęsknoty i słodkie tajemnice i rzucam je po fali. Słyszę wówczas szept kwiatów i westchnienie fal, i pomruk ich, niosący mi ukojenie. Taka cicha rozmowa, poufna, daje duszy moc ożywczą i poi serce zachwytem.

Kiedyś powierzałam Krznie moje złote sny, ale ona zbyt płocha, lekka i... za ciasne ma brzegi na moją wyobraźnię, na moje uczucia, tęsknoty, pragnienia... Rozumiały mnie więcej korony olch, ale poruszał je wicher również niezbyt przestrzenny – od Zaolchniowa do Borkowa, no, jeszcze trochę do Jerzejk, do Łudowskiego Lasu i na powrót...

Więc Ezop Jerzejski wspomina mnie mile?

Pamiętam i ja tę sympatyczną postać o liniach czystych, wolnych od naleciałości przybieranego stylu. Wy obaj koledzy pasujecie do siebie: *renaissance* szlachetny, a otoczenie *barocco*. Tak Was sobie wyobrażam. Tylko Ezop na kryształ swojej duszy ma skazy poczynione przez chamstwo stosunków, w jakich się musi obracać. Pan zaś w lodach Sybiru, nawet w jurtach Chińczyka Ku-Jamy (czy może przekręcam to czcigodne miano?) zdołał oczyścić swój duchowy kryształ z kurzu cytadeli, więzień, etapów żołdackich. Jednak Jerzejski o tyle jest w lepszym położeniu, że przebył już wszystko, co miało go dotknąć i przecierpiał przykrości, Pan zaś idzie na ich spotkanie. Pamięta Pan szakale pod Sfinksem? Szakale w życiu, szakale otoczenia są straszniejsze i do tych teraz będzie się Pan przyzwyczajał...”

Pan Jacek opuścił list na kolana, rękami objął skroń pałającą.

Trzeci raz czytam – pomyślał – i to mnie zawsze przeraża. Szczególne. Jak ta kobieta mnie odczuwa i jak się w niej przedziwnie łączą subtelne kwiaty wykwintu z ostem kolczastym.

Zapatrzył się w bystry nurt Krzny i wyrzekł niemal głośno:

– Jakaś hipnoza czy telepatyczne zdolności...

Zamyślił się, przygarbiony, z brwią sfałdowaną. Wziął list i przerzucał kartki.

Dziwna, dziwna kobieta.

Zaczął znowu czytać:

„Chociaż z listu Pana niewiele jeszcze wywnioskować mogłam, lecz przeczuwam sercem, że Pan jest, tam u nas, trochę samotny. Ezop – to mało. Panu potrzeba kogoś o szerszym zakresie ducha i czynu, i Panu potrzebna jest większa perspektywa niż Jerzejski via Zaolchniów– Borkowo. Chcę dopomóc Panu, czym mogę. Posyłam Panu list do Aleksego Mglawicza, mego znajomego i sympatyka. Ma on duże stosunki w Warszawie i on skieruje Pana z pewnością na właściwe tory. Piszę do niego osobno, aby Panu możliwie ułatwić spotkanie się z nim. Jest to idealista na gruncie pozytywizmu, praktyk, natura silna i pełna skoncentrowanej energii. Przy tym jeden z tych, którzy umieją dopatrzeć się szakali nawet w apostołach cnoty i wielkiej idei, i potrafi obłudę demaskować. Przynajmniej takim był, gdy opuszczałam kraj.

On się Panu przyda jako doradca i doda Panu sił do nowych walk. Życie ich nie szczędzi. Ufam jednak, że zajaśnieją dla Pana dni dobre, jeśli zechce Pan płynąć z falą. Ale trzeba to umieć. W przeciwnym razie trwożyłabym się o Pana serdecznie. Jestem wprowadzić daleko, na przestrzeniach oceanów, lecz intuicją i wyobraźnią sięgam aż do kraju i Pana. Sprawia to moje przeczucie nerwowe. Proszę czasem wyczuć obecność moją przy sobie, gdyż jestem przy Panu często.

Widzę Pana niekiedy w perspektywie moich myśli, stojącego na pustyni i dźwigającego na ramionach Sfinksa. Dotąd nie ugina się Pan pod nim, stojąc prosto i zwycięsko, jakkolwiek Sfinks jest za ciężki na pańskie nawet bohaterskie ramiona.

Takie oto miewam wizje szczególne, o ile nie przykuwają mi wzroku i pochłaniają duszy całej odmęty moich wód drogich, wielkich rozkołysanych fal oceanu. Gdy one nade mną zapanują, wówczas jestem tylko im oddana niepodzielnie, z zachwytem duszy. Oddaję im myśl, tęsknotę i żar serca, i to wszystko, co we mnie jest mną. A ład tutaj jakież przebogaty! Ileż tu cudów nagromadzonych niby w skarbcu, niby w bajce! W dżungli na każdym kroku czai się niebezpieczeństwo i śmierć, ale w szacie tkanej z uroku. Tu musiało być siedlisko Boga zanim stworzył świat, więc tchnienie Stwórcy pozostało tu i trwa.

Czy Pan jeździł kiedy na słoniu, mając trawy prawie po jego grzbiet? Jest wówczas wrażenie, że się płynie po szumiącej, sypkiej i wonnej, szmaragdowej, kwiecistej arcyfali prabytu, że się samemu jest bogiem. A czy był Pan kiedy na brzegu skał, w które wali ocean spieniony orgią wściekłości, jakby chciał zdruzgotać ostrą potęgę kontynentu? Ja, a zdaje mi się że każdy, kto obserwuje taką walkę, doznaje uczucia sympatii dla morza i rodzi się we mnie pewnik, że morze powinno zwyciężyć, i że ten ład opancerzony w czarne poszarpane złomy skalne – to z czasem jego łup. A czy Pan był kiedy na statku podczas tajfunu, gdy odmęt bałwanów zdaje się łączyć z niebem i wszystko jest dokoła wodą, pianą, wszystko szaleńcem rozpasań, zatrata? Człowiek wówczas zapomina, że ginie, bo cała jego natura zlewa się z ogólnym szaleństwem żywiołów i szaleje z podniety nerwów, szaleje nieludzko, upija się ich grozą, przeraża straszliwie, ale nie tyle świadomością nieuniknionej katastrofy, ile potworną, godną podziwu boską zjawą odmętów?...

Po co jednak zaprzątam Panu myśli swoją idiosynkrazją? Pan tęsknił do naszych słodkich łąk i rzek, gdzie szaleństwa natury nie znane są pod żadnym względem, a gdzie spotka się je tylko wśród ludzi. Ale wówczas doznaje się innych wrażeń i uczuć. Wtedy występuje głównie instykt samoobrony i lęk bez podziwu, bez zarażenia się szaleńcem. Jeśli Pana kiedy taki odmęt ludzki otoczy i zasłoni mu niebo bluzgami swych pienistych bałwanów, że się otworzą przed Panem przepaści – proszę nie pominąć mnie i skierować do mnie to, co będzie Pan miał wówczas w duszy swojej... Przyjaźń mam dla Pana niezatartą i głęboką.”

Pan Jacek dobiegi oczyma do końca listu i opuścił ręce na kolana.

– Przeczuwa, wróży, rozumie – szeptał zamyślony. – Ale co jest w niej najistotniejszego, co głównie tworzy i porywa ducha?...

Długo siedział zamyślony, wreszcie złożył list starannie, schował go do portfela. Powstał z pnia ocieźzale. Szedł, depcząc złote kaczeńce, i szeptał do siebie:

– Ona mnie widzi przy Sfinksie... a ja widzę w niej niedościgłą dla mnie zagadkę... Sfinksa...

V

Pan Jacek był poruszony listem Strzemskiej, z doznanych wrażeń zwierzył się przyjacielowi, Jerzejskiemu. Nawet mu list przeczytał. Rozmawiali dużo o Strzemskiej i o jej tajemniczej dla obu psychice. Rozstrząsali przy tym propozycje uczynione w liście, plany pana Jacka, marząc wspólnie o przyszłości. Ezop śmiał się, że go kolega z lat szkolnych znowu przerabia na romantyka, ale z obu śmiał się proboszcz zaolchniowski, wielki sympatyk Ezopa i Sybira-ka. Niezwykle gościnnie, lubił zabierać ich do siebie na karty, dając im sposobność poznania ludzi z różnych sfer. Ezop znał tu wszystkich, ale pan Jacek miał pole do coraz ciekawszych obserwacji i odnosił wciąż nowe wrażenia.

Proboszcz wysłuchał z radością nowin o Strzemskiej, ucieszył się, że i o nim nie zapomniała w liście i obiecywał sam do niej napisać.

– To przecie była moja parafianka – powiedział. – Rywalizowaliśmy ze sobą o róże, ale ona mnie zakasowała, gdyż jej róże w Borkowie były śliczne. Wielka idealistka, kochała bardzo Podlasie, chociaż jej tęsknoty płynęły zawsze gdzieś tam, ku wyżynom duchowym. Szczęśliwa, że znajduje się teraz z dala od naszych zamętów.

– Ale tkwi wyobraźnią wśród nas i widzi zarówno dobro jak i zło – rzekł pan Jacek. – Zresztą, o ile słyszę, zamęt pochłania kraj cały, niestety.

– Będziecie na wiecu Ożarczyka i starosty w Zaolchniowie? – zapytał ksiądz.

– Znam już ich tendencje z kilku poprzednich zebrań – odrzekł pan Jacek – lecz ciekawy jestem, jakie stanowisko zajmą tutejsi chłopci.

– Na pewno Ożarczyk i starosta będą starali się dogodzić im i pobudzić ich najniższe instynkty, więc można spodziewać się tylko zachwyty i nowych zawichrzeń jako następstw.

Pomimo niepogody pan Jacek wybrał się na wiec. Ostry pył sypał na ziemię jak awangarda słoty. Dął zimny, północny wiatr, strząsając na drogę lepką od wilgoci śnieżne płatki kwitnących wiśni.

W dużej izbie gminnej, przeznaczonej na zebranie, ludzi było jeszcze mało. Ożarczyk czekał na kilku przywódców z innego powiatu i na starostę. Poseł niecierpliwił się, bo nadchodziła burza, bał się, że mogła wiele osób zatrzymać w domu. Nagle lunął deszcz rześisty i falą przysłonił świat. Potoki wody spadły na ziemię, słychać było przemożny szum ulewy i bulgot wody w rowach przydrożnych. Odezwał się głuchy grzmot, huragan wichru uderzył w okna deszczem coraz obfitszym.

Ożarczyk kłął, miotając się w bezsilnym gniewie.

– Nikt więcej nie przyjdzie na taki psi czas! – krzyczał rozzłoszczony.

W tej chwili właśnie wpadł do izby zmoknięty, cały ociekający wodą nauczyciel zaolchniowski, Filip.

– Do diabła z waszymi wiecami! – wrzasnął od progu. – Psu na budę się nie zdało! Zmokłem do nitki, a za to co? Trochę gadanych obietnic. Koszałki...

– No, no, cicho tam! – warknął Ożarczyk.

Nauczyciel otrzepywał się z wody z rozplakaną miną.

– Cicho nie cicho – odparł – każdy ma prawo mówić, co myśli. Musi nie bardzo potrzebny ten wasz wiec, kiedy i starosta nie przyjechał.

A wtem odezwał się organista:

– Starosta? Ho! ho! On modli się pod figurą, a diabła ma za skórą. Nie zawsze to samo w duszy, co w gębie. Taki starosta: dużo gada, a jak kobyłka u płota to go nie ma.

– Dycht jak nasz poseł – zawołał nauczyciel.

Ożarczyk wściekły wypadł na środek izby.

– Coś śmiał powiedzieć? Co?

– O waa! Proszę tylko bez tykania mnie. Za wielki byłby dla was honor. Rzekłem i powtarzam, że tu w Zaolchniowie toście głośni jak dzwon, potraficie gadać, dworom a księżom wymyślać, ale jak w sejmie, to stulona gęba, kufa do zębów przyrasta, tylko w pierze obrastacie z pensji poselskiej i myślicie, żeście sam rząd. Za inteligentny jestem, żeby mnie nabierać.

Zaczęła się kłótnia, która pomimo „inteligencji” Filipa i powagi posła wchodziła na tory pospolitych zwad chłopskich. Lecz w tej chwili zachlupotało coś na rozmokłej drodze. Przyjechali oczekiwani przywódcy. Zwaśnieni umilkli, patrząc na siebie rozszokowanym wzrokiem.

– Czy zaczynamy? – spytał przybysze. – Mało osób, nie ma starosty. Burza wypadła nie w porę.

– Diabeł pomagał – syknął Filip z konopi Ożarczyka.

Poseł błysnął oczami nienawistnie i wskazał go przybyszom.

– Tego trza od nas usunąć, niegodny i nieprzygotowany.

– Jak nieprzygotowany może być posłem, to ja tym bardziej partyjnakiem. A zresztą cholera na was wszystkich. Nowy garnitur, buty, krawat, kapelusz diabli wzięli. Moja władza – to nadzór szkolny, powiatowy. Nie boję się was, za inteligentny jestem, żeby z ludowcami trzymać. Do widzenia!

Wypadł z izby i trzasnął drzwiami za sobą.

– Takich rozparzeńców, jak ten frant, nam nie potrzeba – rzeki jeden z przyjezdnych. – Chwasty się zawsze usuwa, jeśli plon ma być czysty.

Oni swój plon uważają za czysty? – myślał pan Jacek, siedząc cicho w kącie.

Powoli przybywało ludzi i wreszcie wiec się rozpoczął. Przemawiali przywódcy z innych powiatów, przemawiał Ożarczyk, ale i ten i tamci zajmowali jedynie głos w sprawie reformy rolnej i wywłaszczeniu dworów z ziemi. Jeden z przyjezdnych przywódców wołał donośnie:

– Polska jest nowa i Polska musi być nasza, chłopska. Kwita z panami! Obszarników nam nie potrzeba, szlachty też, ani ich heroldów i herbów. Lud polski to grunt, nasze prawa są żelazne, bo my większość stanowimy. Polska jest ludowa, nie pańska, nie narodowa, nie księża i żydowska, tylko nasza, chłopska. Nasz musi być sejm cały, nasz rząd i władza, i kierunek nad szkołami, i panowanie. Lasy się upaństwowią, to będą także pośrednio nasze, dwory się rozparcelują między nas, bo panowie na małym nie poprzestaną i wyniosą się, a ziemia będzie dla nas. Księżom rogów się przypiluje, usunąć ich trzeba od wpływów w szkole, Żydów won! i spokój. Kto wyzwolił Polskę – my. Kto krwi za nią przelał najwięcej? My. Kto najwięcej ofiar poniósł? My. Czyja Polska powinna być?...

– Nasza! – huknął Ożarczyk, a za nim mnóstwo głosów.

– A widzicie! A jakby tylko jakie wstręty robili panowie a szlachta, to pamiętajcie, co mówił starosta kiedyś, że będzie panom tak?... ot!

Przeciągnął palcem po szyi i wskazał w górę gestem zrozumiałym.

– Wtedy porządek nastanie.

– Starosta teraz już tego nie gada – odezwał się jakiś głos. – To było dawniej, teraz ostrożniejszy.

Ożarczyk zapłonał.

– Kłamstwo. On nienawidzi obszarników, on za ludem ciągnie. Ale nie zawsze można przy wilkach mówić o ich skórkach.

– Pewnie, bo można się popaść na ich kły, a jeszcze mocne – mruknął ten sam głos.

– Nie boimy się teraz głosić naszych idei, a jak komu nie w smak, to niech przechodzi do prawicy. Dziedzice lizunów lubią. Niedługo już ich używania, to się wspólnie nacieszcie. Potem będziecie nasze pola orać, jak dworskich nie stanie. My wtedy będziemy obszarniki i dziedzice, bo taki porządek musi być. Rząd to my i Polska to my!

Pan Jacek powstał nagle i poprosił o głos. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Jego powaga i szlachetne wyniosłe czoło, pod którym paliły się oczy jasne a głębokie, dziwnie przejmujące – zrobiły mimowolne wrażenie na zebranych. Zaległa cisza. Zdumione i złowrogie oczy przywódców i posła utkwily w postaci pana Jacka. Coś było w nim, co przykuło ich wzrok. Pan Jacek przemówił. Głos jego rozbrzmiewał spokojnie i słodko, po wzburzonych krzykach poprzednich uderzyło to przede wszystkim:

– Słucham waszych hasel, panowie, i nie pierwszy raz dzisiaj, ale od czasu powrotu mego z Syberii, dokąd za sprawę polską zesłany zostałem. Słucham słów, patrzę na robotę waszą i z lękiem myślę: dokąd dążycie? – Przed chwilą słyszałem jak mówiliście, że trzeba wrywać chwasty, aby plon był czysty. Ale czyż wasz posiew, panowie, może wydać czyste i zdrowe ziarno? Zastanówcie się, wszak wy burzę siejcie i niezgodę, wszak ojczyznę pogrążacie, bo wam idzie tylko o was, o wasze prerogatywy. Ja pochodzę z drobnej szlachty podlaskiej, więc także z ludu, boć na jednych prawach i na tym samym stopniu zamożności stoimy. Wierście mi, panowie, zem ja całą duszą Polak i jeno dobra Polski pragnę. A wszak zadaniem państwa jest nie rozdzielać, lecz jednoczyć wszystkich obywateli w jedną całość, skupić ich interesy życiowe, w życiu ogółu wytworzyć wspólne cele i ideały. Tak się rodzi patriotyzm. Przez państwo człowiek przygotowuje się do życia nie dla siebie, lecz dla całości i osiągnięcia celów ogólnych. Państwo łączy ludzi siłą, nieraz krwią i żelazem, aż musi dojść kiedyś do takiego stanu, że człowiek zmieni swój egoizm osobisty na egoizm państwowy, widząc w jego celach – własne swoje cele. Teorie socjalistyczne, jeżeli je brać z nauki francuskiej, wprowadzającej te teorie z zasad ogólnej miłości, nie są mylne, ludzkość do nich przyjść musi, lecz dopiero wtedy, gdy zginie egoizm osobisty. Dopóki to nie nastąpi, socjalizm jest także utopią, i wprowadzony w czyn za wcześnie daje taki sam owoc, jak płód przed czasem wydarty z łona matki. Zrozumiała to szkoła niemiecka, jak Marks i Kautsky, pewno ich czytaliście, i oparła socjalizm na walce klasowej, na nienawiści wzajemnej ludzi; ona musi doprowadzić do ogólnego zniszczenia, wynarodowienia się, po czym jakoby już samo przez się nastąpi odrodzenie ludzkości, oparte na hasłach wspólnych i równych praw. Ale trudno wyobrazić sobie, jaką drogą to nastąpi i trzeba zakutych łbów dzisiejszych przywódców w Rosji, aby wierzyć w takie odrodzenie. Przywódcy rosyjscy dążą do zniszczenia przez anarchię i u nas już stopniowo sprowadza się społeczeństwo do nędzy i wzajemnej nienawiści. Czyż ten system może dać wymarzony rezultat?

– My nie jesteśmy socjały, my ludowcy! – zawołał Ożarczyk zły.

– Cicho, niech mówi! – rzekł przybysz z innego powiatu.

Ale Ożarczyk się upierał.

– Pan gada nam o socjalistach i przywódcach w Rosji, my ani do jednych, ani do drugich nie należymy, bo chociaż były tu bolszewiki, myśmy ich precz wymietli. Posłem jestem i wiem co mówię, i nasze programy znam. My czego innego chcemy.

W tej chwili zapanował ruch jakiś przy wejściu, kilkanaście głów obejrzało się w tę stronę. Pan Jacek spostrzegł ponad tłumem podnoszącą się ciekawie głowę starosty. Wlepił on w mówiącego zdumione oczy. Obok starosty stało kilku inteligentów z organizacji ludowej miasta powiatowego i znany demagog, nauczyciel szkoły męskiej handlowej. Pana Jacka podnieciło zjawienie się ich. Mówił dalej, zapalając się:

– Tym gorzej, że socjalizm mądry odrzucacie. Socjalizm rozumny ma ideę wyższą, a wasze dążenia są już tylko wywrotowe i ciągną tylko na stronę korzyści własnej. Chcecie szkół bez religii, więc jaka wobec tego przyszłość waszej młodzieży? Czego szlachetnego może się społeczeństwo po niej spodziewać. Chcecie skasować większą własność ziemską i podzielić

ziemię, zabierając ją zachłannie dla siebie, nie liczycie się z tym, że obniżycie jej produkcję i zniszczycie kulturę rolnictwa. Tym zuboży się kraj, ogłodzi miasta i wyludni, zahamuje handel, przemysł krajowy, rozwój sztuki itd.

Szmer zapanował w zgromadzeniu. Pan Jacek podniesionym głosem mówił:

– Jesteście panowie większością w kraju niezaprzeczenie i macie prawa do rządu, lecz jeszcze nie teraz, gdyż brak wam rzetelnego przygotowania, które daje wykształcenie, oświata, urabiająca ludzi czynu na zdalnych do rządzenia. Trzeba dbać o rozwój szkół, o ich kierunek i... nie wyrzucać Boga z tych kuźnic, wykuwających ducha i intelekt ludzki. Religia łagodzi obyczaje, bo daje etykę konieczną dla ludzkości i chroni ją od zgnilizny. A na moralność u nas trzeba położyć nacisk wielki. Oświata inna niż wasza obecnie wskaże wam jasno cele państwa, i zrozumiecie dopiero wtedy jego ustrój, w ogóle jakie działy życia wewnętrznego winno zorganizować państwo, a jakie pozostawić społeczeństwu lub jednostkom. Nauka prawa państwowego w wieku XIX stawiała za zasadę, aby sprawy ekonomiczne, jak rolnictwo, przemysł, handel pozostawić w rękach osób prywatnych, oni w interesie własnym mogą pracować z największą intensywnością i przysparzać dóbr ekonomicznych. Ład zaś wewnętrzny, ochronę prawa i zachowanie trwałości tego ładu pozostawić państwu. Stanowiło to system praworządności. W państwie praworządnym każdy obywatel winien wiedzieć, jakie są jego prawa i obowiązki i mieć pewność, że państwo nie tylko nie będzie stawiało przeszkód w jego wysiłkach do osiągnięcia celów zgodnych z prawem, lecz będzie chronić jego praw przeciw złej woli współobywateli. Istnieje też zasada, że każdy naród ma takie prawa i urządzenia państwowe, czyli rząd, na jakie zasługuje. Organizacja państwowa winna ściśle odpowiadać potrzebom państwa i jego celom, przechowywanym może podświadomie, które podczas jego rozkwitu będą wyrazem jego ideałów. W ten sposób cel zewnętrzny łączy się z wewnętrzną treścią życia, jak w każdym organizmie. Róża nie tylko dlatego jest różą, że powstała z ziarna róży, lecz że cały jej rozwój dążył ku temu celowi. Bo gdyby na gałęziach jej krzaku zaszczerpić inny kwiat, to zamiast róży mogłaby wyrosnąć jakaś odmienna roślina, mniej szlachetna...

Pomruk rozległ się wśród słuchaczy, głowy starosty i Ożarczyka pochyliły się ku sobie i zaczęły się groźne syki. Pan Jacek nie stropiony mówił dalej:

– Przy tym organizacja państwowa musi być ściśle przystosowana do stopnia rozwoju duchowego ludności. Są takie stadia, w których najlepszą formą rządu jest monarchia...

– Protestujemy!... kłamstwo!... agitacja panów! - krzyknął nagle jakiś głos ze środka izby.

– Proszę mi pozwolić skończyć – rzekł spokojnie pan Jacek.

– Cicho! Milczeć tam! – huknął przywódca z innego powiatu.

Uciszyło się.

Pan Jacek powtórzył ostatnie zdanie i ciągnął:

– ...w innych znowu lepszą jest artystokracja, na przykład w dawnej Wenecji. Wreszcie gdyby wszyscy obywatele osiągnęli jednakowy stopień uświadomienia zadań i konieczności organizacji państwowej, w której żyją, wtedy najlepszy jest ustrój demokratyczny. Jedynie Ameryka i Anglia są na tym stopniu rozwoju, na którym demokratyczny ustrój państwowy – parlamentaryzm jest odpowiednią formą ich bytu. Inne państwa, nie wyłączając Francji, dalekie są jeszcze od tego, aby forma rządu była odpowiednią do ich rozwoju. W Polsce, niestety, mamy ustrój demokratyczny z odcieniem zasad socjalistycznych, podczas gdy uświadomienie ogólnonarodowe jest jeszcze bardzo niskie i gdy naród nie chce wtrącać się i interesować sprawami państwowymi, licząc tylko na mądry i dobry rząd, który zagwarantowałby ład i spokój.

Ożarczyk, zapieniony, wyskoczył na środek izby i cisnął w pasji:

– Rozumiem. Pan nie chce rządów naszych, tylko pańskich, za nimi pan przemawia. Panom chce się być u steru. Ale to już na nic, to nie wróci. Nasz głos i rząd, nasza siła i prawa nasze. A panów – fora.

– Panie pośle, ja za ojczyznę przemawiam, nie za panami, bo jak mówiłem i co sami wiecie, pochodzę z ludu. Ale dobro Polski...

– Niech się byle przybłąda z Syberii nie turbuje o dobro Polski, bo ono jest teraz w naszym ręku.

– Ożarczyk, uspokójcie się. Niech pan mówi, słuchamy! – zawołał przybysz z innego powiatu.

Pan Jacek powiódł wzrokiem po obecnych. Oczy wszystkich były skierowane na niego, odczuł zainteresowanie, kilka głosów uciszyło Ożarczyka niecierpliwie. Ale pomimo to smutek ścisnął serce starca, głos jego zadrżał wzruszeniem.

– Jestem Polakiem, jako i wy, waszym bratem, może tylko inaczej czuję niż wy; bo chcę ładu, spokoju i szczęścia dla Polski, wy zaś zamierzacie ku zamętom, walkom wewnętrznym i... może nawet ku ruinie Polski. Ja od powrotu mego z Syberii, przez te cztery miesiące patrząc, obserwuję i widzę z żalem, że Polska, rozkuta z niewolniczych łańcuchów jest jeszcze brudna. Polska to teraz jak ten pałac, w którym były koszary wojskowe. Pałac otwarty, wojska wyszły, ale ściany i podłogi jeszcze zaplute, zanieczyszczone brudem i niechlujstwem najeźdźców. W pałacu dotąd nie ma jej ducha, jej majestatu, Polski. Nie ma nawet jej orszaku, to jest zgody, jedności, miłości i powagi. Wszystko to błąka się samotnie w narodzie jak złote iskry słońca w zalewisku bagien. Dotąd są przeważnie tylko ci, co miast oczyszczać pałac na przyjęcie jej ducha, brudzą go bardziej, rozmazują dawne śmiecie i sami zaśmiecają. Są i tacy, którzy obdzierają ściany z tego, co jeszcze zostało. Tylko już za długo ta robota trwa, za długo!

Pan Jacek odetchnął głęboko. Cisza panowała w zgromadzeniu. Starzec kończył:

– Powinno być inaczej, chcąc aby ojczyzna po zmartwychwstaniu żyła. Mówicie, że wyście wyzwolili Polskę, jakim sposobem?... Przemawia przez was pycha, lecz nie sprawiedliwość. Polskę wyzwolił kataklizm wszechświatowej wojny. Pękły okowy niewoli i Polska wyzwolona z jarzma stała się znowu jednostką narodową, dążącą do państwowości. Szranki, których piersi parły naprzód bohatersko do zwycięstwa, nie były złożone tylko z nas, z ludu, były w nich wszystkie warstwy narodowe; szlachta i najwyższa inteligencja. Ich krew zlała polskie niwy obficie, oni ponieśli olbrzymie ofiary dla ojczyzny, teraz i dawniej. Przypomnijcie sobie powstania. Krew szlachty, mózgi najwyższych inteligentów rozpryskiwały się pod kulami wrogów – za ojczyznę. Dla niej zamierały wielkie serca ludzi przebogatej myśli, ludzi pełnych uczuć dla Polski. Więc skąd zasługę główną przypisujecie ludowi?...

Dlaczego Polskę przywłaszczacie tylko sobie? Ta wasza buta niewytłumaczona i karygodna nowe nieszczęście na kraj sprowadzić może. Pan Ożarczyk, skoro posłem został, powinien dążyć do spójni narodowej, nie do rozłamu, powinien Boga o natchnienie ducha prosić, nie zaś szatańskich słuchać pokus. Pan starosta winien być Polakiem-budowniczym, nie wywrotowcem-burzycielem. Idea szczytna krzewi się w słońcu, kwitnie i wydaje słodkie owoce. Wśród burzy rodzi się piołun, rozgorycza, truje i w końcu niszczy. O, bracia, ocknijcie się! W waszych rękach spoczywa teraz dużo sił, użyjcie je na cele moralne. Nie odcinajcie lekko-myślnie z organizmu Polski członków, które mogą jej dać twórczość i potęgę. Bądźcie mądrym narodem, nie tylko otumanionym oślepyłym i pysznym tłumem – bo zginiecie!

Pan Jacek wzruszony, spłoniony rumieńcem zapału umilkł i cicho skierował się do drzwi. Nie chciał polemiki, nie miał sił na to, dławilo go uczucie, łzy czuł pod powiekami, bał się, by nie spłynęły.

W izbie panowało głuche milczenie. Rozstępowali się przed nim zebrani, tylko oczy wszystkich skierowane były na niego. Przy progu pan Jacek natknął się na starostę i Ożarczyka. Zmierzyli się wzrokiem. Była chwila, że pan Jacek przystanął, zatrzymały go ich oczy, wparte w niego. Wytrzymał ten wzrok butny, pełen jadu pana posła. Patrzyli na siebie. W izbie słychać było tylko oddech obecnych. Starosta powoli spuścił oczy, krwista łuna owiała twarz jego. Cofnął się lekko w tył, przepuszczając pana Jacka. Ożarczyk przymrużył źrenice,

zweził je w szpareczki, błysnął w nich złośliwy płomyk szatańsko-drwiący. Usta mu dygotały z wściekłości. Pan Jacek nie odwrócił oczu od niego, przeszedł obok i przestąpił próg. Wówczas Ożarczyk złożył usta w potworny lejek i gwizdnął przeraźliwie, aż zadrżeli obecni.

Z tłumu chłopów krzyknął ktoś donośnie:

– Cicho tam! On nam może mówić. To... Polak!

Ale głos ten utonął w ogólnej wrzawie, gwizdów było coraz więcej.

Gorący pot i zarazem dreszcze zimne oblały pana Jacka. Poszedł przed siebie drogą śliską od błota.

W izbie gminnej wrzało.

Wieczorem w domu Ożarczyka rojno było i głośno. Poseł przyjmował u siebie towarzyszy przywódców, gości z miasta i starostę. Chłopi podglądali przez okna, łykając ślinę na widok krążących gęsto szklanek z wódką. Do świtu trwała pijatyka i hulanka, po czym dom otuliła głucha cisza.

– Popili się i teraz śpią – mruźli chłopci, idąc w pole.

Filip, pedagog zaolchniowski, wypomadowany sumiennie, siedł przed lekcją na zwiady po wsi i zawistnie patrzył na śpiący dom posła.

– Psiakrew! Trzeba pecha. Wszystko przez tego Ożarczyka i ten przekłety deszcz, żeby nie oni, to bym sobie użył na sznapsie choć raz w życiu. Mogłem ich dziś dopiero rzucić, niekoniecznie wczoraj.

Zirytowany poszedł do szkoły.

VI

Tchnienie wiosny obudziło podlaskie łąki i zagaje, zatopione w kożuchach soczystych traw, w kolorowych wstęgach kwiecia, ożywione świergotem ptactwa i powodzią słońca młodogo. Łany podlaskie głośliły maj w przyrodzie. Maj nastał cudowny, rozwity i bujny, radosny i uroczysty, a rozkochany w sobie, śpiewający hymny do Boga. Był trzeci dzień kwiecistego miesiąca. Gdy słońce wpłynęło na wyższe szczyty lazurowego nieba i ozłociło wszystko, z kościoła w Zaolchniowie jał wynurzać się wspaniały wąż procesji. Rozwijał się coraz potężniejszy, jaskrawszy, buchający pieśnią pobożną. Na przedzie szły barwne chorągwie, niesione przez panny w krakowskich strojach, środkową, która dźwigała drzewce, otaczał niby wianek maków z amarantowych spódnic dziewcząt, trzymających białe i amarantowe szarfy. Przed chorągwiami wolno, majestatycznie płynął sztandar narodowy z Białym Orłem, rozpiętym pysznie na purpurze. Sztandar łopotał dumnie i chrzęścił, dźwigany na ramieniu starego weterana z 63 roku, młynarza z Borkowa, Buszkowskiego. Bez jednej ręki niósł on jednak godło wyzwolenia ojczyzny z powagą należną i czcią, a zarazem z tą pewnością, że wybrano go słusznie do tego zaszczytu, że jemu tylko honor ten przypadł w udziale. Biała głowa starca wzniesiona była w górę, wiatr majowy rozwiewał mu włosy i brodę, ale nią gasił zapału w siwych oczach. Była w nich buta i wiara powstańca i szczęście, że oto doczekał cudnej chwili wolności ojczyzny i że w niej udział brać jeszcze może. Niósł swój sztandar jak pomazaniec boży koronę. Wszyscy patrzyli na czoło procesji, wszystkich stary Buszkowski wzruszał i napępiał czcią niezwykłą. Nie był to już pierwszy obchód narodowy w Zaolchniowie, ale

każdy poprzedni od czasu wolności witano tu z jednakowym entuzjazmem. Ten tłum różnorodny niosła naprawdę wiara i miłość ojczyzny. Wszystkich łączył jeden duch patriotyzmu naprawdę szczerego i gorącego, wszyscy się czuli Polakami. Za sztandarem szły szeregi straży ogniowej zaolchniowskiej, w brązowych bluzach, z toporami za pasem i w kaskach błyszczących. A dalej, za księdzem, postępowały szkoły z nauczycielami, ochrona zaolchniowska i tłum ludu rozśpiewanego z nabożeństwem, i – zgraże dzieci, zapatrzonych w łopocące chorągwie.

Po śpiewach kościelnych, czysto rytualnych, wzniósł się ze wszystkich piersi hymn narodowy: „Boże coś Polskę” – i rósł, brzmiał potęgą niebywałą. Dreszcze wstrząsały ludźmi, bo to był śpiew drogi, tłumiony tak długo – teraz razem z orłem wyfrunął w przestrzenie i hejnałem swym przebijał zda się strop niebieski.

Pan Jacek śpiewał pełną pierśią i modlitwy dziękczynnej miał pełną pierś, w oczach ogień wielkiego wzruszenia, zachwytu. Za nim szło kilku obywateli z dworów i szlachta zagrodowa, więc Jerzejscy z Jerzejsk, Zaruccy z Zarucza, Kurowscy z Kurowa, Płudowscy z Płud, gromady szlachty zagonowej z różnych wsi i zagród i tłumy chłopów z okolic – wszyscy zespoleni duchem jednej wiary, obudzeni nadzieją lepszej przyszłości.

Pochód szedł pośród wsi, aż dopłynął do szkoły. Tam przemówił pan Jacek w gorących słowach, wspominając Konstytucję 3 Maja. Chciał mówić dłużej, lecz spostrzegł ruch jakiś w tłumie i usłyszał głosy niepokojące, burzliwe. A wtem do księdza, przy którym stał pan Jacek, podbiegł Ezop Jerzejski i szepnął wzruszony, zdyszany:

– Zawrócić pochód, Ożarczyk, starosta...

– Jest starosta? – spytał pan Jacek.

– Jest.

Nagle buchnął donośny okrzyk dwóch zlanych ze sobą głosów:

– Niech żyje Polska ludowa!

– Niech żyje lud!

– Precz z panami i szlachtą!

Chwila głuchej ciszy i – krzyk licznych głosów:

– Niech żyje Polska ludowa!

– Niech żyje naród polski! – huknął pan Jacek, a za nim Ezop, paru nauczycieli, cała szlachta zagrodowa i obywatele z dworów.

– Niech żyje Polska narodowa! Niech żyje cały naród! – wołano wśród szlachty.

– Niech żyje Polska ludowa! – darł się piskliwy dyszkant Ożarczyka i wrzaskliwy organ starosty.

Machali czapkami nad tłumem, widać było ponad głowami ciżby zwichrzoną czuprynę starosty, błyskające białka jego oczu i zajadłą twarz Ożarczyka, podobną do rozdrażnionego sępa.

– Niech żyje Polska ludowa! – wrzeszczeli chłopci podnieceni, skupiając się koło swoich przywódców.

– Fora z panami, fora z księżmi, fora ze szlachtą! – ktoś krzyknął.

Ksiądz zszedł z ganku szkoły i zawrócił w stronę kościoła. Zaintonował głośno pieśń nabożną. Lud jak na komendę umilkł, natomiast najpierw kobiety podchwyciły melodię śpiewu i wnet runął chór całego pochodz nutą przerywaną na razie, aż zlał się w jeden chorał zgodny i rytmiczny. Były jakieś szepty i ruchy wśród tłumy, ale na to nie zwracano uwagi. Pochód wtłoczył się w obręb muru kościelnego; nagle pieśń pobożna skonowała pod gwałtownym wybuchem innego śpiewu: „O cześć wam panowie magnaci...” huczało teraz mnóstwo głosów podnieconych, gromkich, wśród których dwa dominujące zdawały się rozrywać piersi. „Za naszą niewolę, kajdany...” grzmiało coraz donośniej, z pasją, wydzierające jakby nienawiść z trzewi tych ludzi.

Ksiądz umilkł i śpiew kościelny nie próbował już zwalczać wyjącej gromady chłopów. Na twarzy proboszcza wystąpiły czerwone plamy, oburzenie było na wszystkich twarzach, pan Jacek był blady i dźwigał nogi jak z żelaza. A pieśń płynęła już wezbraną rzeką tryumfu, obejmując połowę pochodu. Sztandar dygotał na ramieniu Buszkowskiego, weteran przyspieszył kroku i, schylając sztandar przed drzwiami kościelnymi, wszedł do środka nawy. Za nim poszły wszystkie chorągwie i tłoczyła się grupa ludzi.

Ksiądz zatrzymał się chwilę i odwrócony do tłumu czekał, aż pieśń ucichnie, lecz tłum parł naprzód, śpiew potężniał. Wówczas pan Jacek nie wytrzymał; wyprostowany, groźny, krzyknął donośnie:

– Milczcie tam! Cicho! Do kościoła wchodzimy!

Głos jego dosłyszano w najbliższej grupie Ożarczyka i tym głośniejsze zawtórowały mu zawzięte słowa pieśni: „O cześć wam kapłani, panowie... łajdacy, za kraj nasz krwią naszą zbrzyżany...”

– Przekręcają słowa – mruknął Ezop Jerzejski.

Procesja wtoczyła się do kościoła, pieśń jednak nie ucichła.

Proboszcz stanął przed ołtarzem i dopiero wówczas śpiew zaczął gasnąć, chłopci milkli strwożeni jeden za drugim, słychać było tylko głosy Ożarczyka i kilku nieustępliwych, którzy nie przestawali śpiewać.

– Cicho!... cicho!... – rozlegało się po kościele.

Po chwili parę głosów tylko utrzymało melodię, wreszcie i te ucichły.

Proboszcz zakończył uroczystość, po czym odwrócił się od ołtarza i rzekł spokojnie, panując nad sobą:

– Ostrzegam i zwracam uwagę, że w obrębie kościoła i wewnątrz świątyni nie wolno śpiewać innych pieśni oprócz rytualnych, czyli pobożnych, kościelnych. Dozwala się jedynie na hymny narodowe. Proszę, żeby dzisiejszy wyskok był ostatnim.

Zaległa cisza. Ksiądz schodził ze stopni ołtarza.

– My wiemy, co śpiewać, śpiewać będziemy to, co chcemy! – zawołał nagle Ożarczyk.

Ksiądz wzburzył się.

– Milczcie! Nie odpowiada się w ten sposób księdzu w kościele.

– Teraz my rządzą, nie popy. Skończyły się wasze rządy. Precz z waszymi rządami! – ryczał Ożarczyk rozwścieczony.

Ezop i Jacek chwycili proboszcza pod ramiona i oburzonego do najwyższego stopnia wyprowadzili do zakrystii.

W kościele wrzało. Ożarczyk miotał się, krzyczał, wymyślał na księży i panów wspólnie z chłopami, znanymi we wsi ze skrajnych poglądów.

Proboszcz wybiegł z zakrystii z podniesioną do góry laską. Był straszny.

– Precz z kościoła łotry bezecne! Wynosić się! Precz!

– A dobrze, proszę bliżej, będziemy się bili! – krzyczał poseł.

Podniósł kij do góry i pchał się do proboszcza. Lud struchlał, groza straszliwa zawisła w powietrzu. Działo się coś niebywałego, niepojętego, co przerażeniem zmroziło nawet chłopów. Oni sami zatarasowali drogę Ożarczykowi, wyrwali mu kij z ręki, Jerzejski zaś i pan Jacek wyprowadzili proboszcza z kościoła. Podniosły się głosy oburzenia i zgrozy, jęki i szloch kobiety, w nawie szumiało, lud wychodził wzburzony, trwożny; ostry tupot butów dźwięczał ponuro na kamiennej posadzce. Ożarczyka wyprowadzili chłopci. Szlachta i obywatele poszli za proboszczem. Pytano o starostę, ale starosta wymknął się chyłkiem z pochodu, nie wchodząc do kościoła. Lud rozpełzał się szybko, prawie w milczeniu, jakby w trwodze śmiertelnej, jakby pod grozą przekleństwa i hańby. Oglądano się z lękiem na kościół, patrzono z cichym przerażeniem w błękitne niebo, jakby w obawie gromu. Ale kościół stał wyniosły, ozłocony słońcem, strzelający w górę majestatyczną wieżą z krzyżem u szczytu. Niebo było radosne, błękitne, majowe.

Lud pochował się wkrótce po chatach. Cisza zaległa wieś i kościół. Tylko w pustej świątyni klęczał przed wielkim ołtarzem skulony pan Jacek i modlił się żarliwie:

Ratuj Panie kraj, Ducha swego ześlij, odwróć karę... Boże, bądź miłościw...

VII

W Warszawie pan Jacek nie mógł się zdecydować, aby z listem Strzemskiej przedstawić się jej znajomemu, któremu go poleciła. Tytuł ekscelencji, jakim był ozdobiony obecnie Aleksy Mglawicz, zdumiał niezmiernie pana Jacka. Z dnia na dzień odkładał audiencję. Zmęczony śmiertelnie podróżą i szeregiem perypetii, jej towarzyszących, najpierw z bezprzykładną cierpliwością szukał mieszkania w hotelach. Odwracano się od niego z arogancją, nie odpowiadając zupełnie na pytania lub w sposób ordynarny. Kilka nocy przewalał się po dworcach kolejowych i po kawiarniach bez swego kąta. Nareszcie trafił na kompetentnego towarzysza i ten go objaśnił jak trzeba się wdzierać w łaski portierów hotelowych, aby dostać pokój. Ale pana Jacka oburzyło to. Postanowił zdemaskować i ukarać łapownictwo portierów. Zbadał istotnie, że w hotelach, gdzie mu odmawiano, były wolne pokoje, ale bezpośrednio po stwierdzeniu tego faktu zaarrestowano go jako włóczęgę. Ocaliły go dokumenty, które miał w porządku, głównie zaś list polecający Strzemskiej. Nazwisko Mglawicza, umieszczone na kopercie, podziało w magiczny sposób i uwolniło go z przykrew sytuacji. Pan Jacek stukany, ogłuszony brutalnością, potem od razu traktowany prawie z honorami, przecierał oczy ze zdumienia, patrząc szeroko na nowe dla siebie, niepojęte stosunki. Po kilku dniach znalazł nareszcie pokoik ciemny i nieproporcjonalnie mały, jakby więzienny, w najpodrzedniejszym hotelu za sumę bardzo dużą, niemal niedostępną dla niego. Ulokowawszy się tam ze swoją skromną walizką podróżną, mógł wreszcie wypocząć i zebrać myśli, pogubione w chaosie wrażeń. Odpoczywał i zwiedzał Warszawę. Odszukiwał w niej dawne, pamiętne dla siebie miejsca.

Oczy starca płonęły ekstazą, że to już stolica wyzwolona, że owe lata czarne i straszne przeszły jak sen okrutny bezpowrotnie. Potężne wrażenie wywarła na nim cytadela. Przeżył rok w jej murach. Przy krzyżu za poległych stary zesłaniec przeżywał chwile wielkiego wzruszenia. Na ustach miał modlitwę, w sercu ogrom wdzięczności za cudowny odwet dla tych potężnych duchów, których ból i łzy przedostały się do ponurych kazamat, by oto teraz zajaśniało nad kośćmi pogrzebanych męczenników słońce wolności. Inaczej w owych latach niewoli wyglądała cytadela, inaczej Warszawa. Więc starzec pochłaniał oczami znajome obwarowania cytadeli i stolicę, wyobraźnią swą sięgał daleko, dokąd ojczyzna dojść powinna. Często jednakże, pomimo promiennych myśli, czoło jego posepniało, lecz przypisywał to własnemu przeculeniu. Jakoś zdawało mu się, że inaczej powinno być tutaj teraz niż jest. Miał wrażenie, że czegoś brak w ojczyźnie, co byłoby jej powagą i treścią, czego się spodziewał i nie mógł doszukać. To go niepokoiło.

To, co widział i słyszał przez tych kilkanaście dni błądzenia po ulicach, dworcach, różnych spelunkach i przygodnych znajomych, zastanawiało go i dręczyło. Patrzył, obserwował nastroje tłumów w cukierniach i restauracjach, przyglądał się publiczności, słyszał rozmowy i dowodzenia, z którymi nie mógł się za żadną cenę pogodzić. Uderzył go znamieny kontrast

zbytków z nędzą spotykaną na ulicach lub ukrytą, często jeszcze gorszą. Stykały się ze sobą te dwa światy rażące, dwa istnienia: biedni w łachmanach i bogacze przesyleni świetnością życia i jego ponęt.

Czyż przy nowym stroju państwa to samo będzie? – myślał pan Jacek.

Widział niezmierne rozpanoszenie się Żydów, niebywałą ich arogancję i pewność siebie.

– Zostawiłem Warszawę w łapach otwartego wroga, a zastałem w oplocie straszliwych ssawek potwora-podjadka, którego się pasie własnym organizmem bez protestu – oburzał się stary Sybirak.

Badał głosy prasy, obserwował walkę, którą wypowiadały sobie różne partie, słyszał dookoła syk ironii i nienawiści. Spotykał przeważnie ludzi użycia i maleńką garstkę ludzi zdrowej myśli. Indywidualności duchowe, zatracone w falandze wyzłacanych i pozornie świetnych ludzkich kartów. Obserwował kobiety-Polki na ulicy, w miejscach publicznych, w teatrze, patrzył na ich stroje gorszące go. Twarze pełne tynków kosmetycznych, w oczach lubieżna zmysłowość lub próżność i płytkość strojnych lalek, szukających tanich wrażeń i podniet. Tam, gdzie zauważył u mężczyzn jak i kobiet znamię myśli na czole, a tęsknotę i marzenie w oczach, gdzie duchowość przebijała się jak zorza przez mgłę smutku, tam najczęściej widział oznaki zewnętrzne: skromność lub niedostatek bytu. Wrażenia swoje zbierał skrętnie, przynosił do swej izdebki hotelowej, tam je zsumowywał i zastanawiał się nad nimi.

Postanowił wreszcie poznać Mglawicza i znaleźć sobie pracę. Bał się dalszych obserwacji. Chciał zbadać, jak jest tam, w centrum sfer, stojących na czele trybunału rządzącego. To, co sam stwierdzał, co jaskrawo uderzało go w oczy, notował sobie, lecz pragnął głębiej wniknąć w istotę rzeczy, zajrzeć poza kurtynę. Myślał o tym, co go tam czeka, z pewną bojaźnią. W chwili, gdy z listem Strzemskiej zbliżał się do gmachu instytucji, w której urzędował Mglawicz, zatarasował mu drogę tłum ludzi, nacierających na policję. Krzyk i groźby zaciekawiły pana Jacka. Dowiedział się, że był to jakiś rozruch uliczny zakończony zatargiem z policją. Wymyślano przedstawicielom władzy w ohydny sposób, jacyś młodzi ludzie ściągali policjanta z konia za nogi, a gdy ten dobył szabli, krzyki wzmożyły się, zaczęły świstać kamienie, rozległ się przeraźliwy gwizd uliczników.

– Schować broń, nie wolno! My nie bydlę, żeby nas żgać i płazować. Precz z policją! Brzuchy im poprzecinać! – wrzeszczały zaciekle głosy.

Tłum napierał na policjantów tak, że konie ich stawały dęba. Złowrogie twarze i zwinięte pięści otoczyły nieszczęsnych przedstawicieli porządku publicznego, grad kamieni spadał na nich. Konie ściągnięte silnie dały młyńca i skoczyły w bok. Rozległ się ostry tętent kopyt, policja ustąpiła.

– Ludzie, co robicie! – krzyknął pan Jacek wzburzony. – To nieposzanowanie polskiej władzy, naszej, to zbrodnia!

Zdumione i rozszrozone oczy wparły się w postać starca, obelgi skierowano na niego.

– Widzicie go! Dziedzic! Stary osioł! Jaki porządny!

Posypały się słowa wstrętne, grubiańskie. Pan Jacek czuł już na plecach razy od wrogich pięści, gdy wtem głos jakiś krzyknął:

– Umykać! Policja jedzie!

Tłum rozpadł się i jął topnieć. Z daleka słychać było sygnały gwizdawek policyjnych. Za chwilę uczestnicy zajścia rozprysli się co do jednego, zostawiając pana Jacka przy bramie gmachu.

Poruszony tym, co widział, wchodził na schody, a w duszy wołał mu jakiś groźny głos:

Takie nieposzanowanie władzy to zarodek anarchii... i to się dzieje przed gmachem rządowym, w biały dzień, przy udziale publiczności, która występuje w obronie gwałcicieli porządku, przeciwko policji.

W poczekalni było już kilka osób o twarzach zmęczonych i zniecierpliwionych, widocznie z powodu zbyt długiego wyczekiwania. Otyły woźny siedział na stołku obok drzwi do gabi-

netu i drzemał. Gdy pan Jacek wszedł, woźny podniósł oczy apatycznie, potem obejrzał go od stóp do głów i spytał sucho, tonem szorstkim:

– Jaki interes?

– Chciałbym się widzieć z panem Mgławiczem.

– Dziś się pan nie doczeka, pan Mgławicz więcej osób nie przyjmie, tylko ci wejdą, co wpiery przyszli.

– W takim razie proszę oddać tylko ten list, a po odpowiedź przyjdę jutro.

Pan Jacek podał woźnemu kopertę i rzekł uprzejmie:

– Bardzo mi na tym zależy, abym otrzymał jak najszybszą odpowiedź.

Woźny zmierzył go jeszcze raz złym wzrokiem i biorąc list burknął:

– Niech pan jutro przyjdzie.

Po czym wszedł do gabinetu.

Pan Jacek wzruszył ramionami i opuścił poczekalnię. Zaledwie jednak znalazł się w dolnym przedsionku, gdy ze schodów zbiegł woźny wołając głośno:

– Proszę pana! Proszę pana! Jego ekscelencja prosi do gabinetu.

Pan Jacek spojrzał zdziwiony.

– To nie moja kolej teraz – odrzekł – tam czeka wiele osób. Ja przyjdę jutro. Proszę powiedzieć ekscelencji, że nie chcę naruszać swoją osobą przyjętego porządku. Do widzenia.

I wyszedł na ulicę, zostawiając na schodach osłupiałego ze zdumienia woźnego.

Nazajutrz zjawił się w poczekalni Mgławicza wcześniej. Woźny na jego widok wpadł do gabinetu i zaraz wrócił, otwierając szeroko drzwi. Ukazał się Mgławicz. Wygląd miał imponujący. Obrzucił wzrokiem postać pana Jacka i wyciągnął do niego rękę uprzejmie.

– Wszak to pan znajomy pani Haliny Strzemskiej?

Na odpowiedź twierdzącą i po wymianie nazwisk Mgławicz rozpromieniony wprowadził pana Jacka do gabinetu. Usadowił go przy biurku, sam zaś usiadł na fotelu i zaczął indagację. Najpierw od Strzemskiej. Pytał szczegółowo z rosnącym ożywieniem, gdzie ją pan Jacek spotkał, dokąd jechała, jak długo byli ze sobą, kiedy wróci, jak wygląda. Pytania sypały się bez liku. Pan Jacek, który już dużo odgadł, patrzył na piękną twarz Mgławicza życzliwie i na wszystkie pytania odpowiadał serdecznie. Jednocześnie podziwiał w duchu przepych gabinetu i strojną postać ekscelencji.

Gdy w toku rozmowy Mgławicz dowiedział się, że pan Jacek otrzymał od Strzemskiej list przed paroma tygodniami, sam zaś wrócił w grudniu, zawołał z wybuchem radości:

– Ach, więc pan koresponduje z panią Haliną! Jestem zachwycony. Może mi pan łaskawie udzieli jej adresu? Proszę.

Pan Jacek zastanowił się. Skoro pyta o adres, zatem z nią nie koresponduje i ona mu adresu swego w liście nie podała... a skoro tak, tedy...

Tymczasem Mgławicz wziął notatnik, ołówek i z uprzejmym wyrazem twarzy, uśmiechnięty czekał.

– Indie, Madras, poste restante – wyrecytował pan Jacek. Sam nie wiedział czemu ukrył szczegółowy adres, podany mu przez Strzemską w ostatnim liście.

– Tylko tyle? – zdziwił się Mgławicz. – Hm, tak. Pani Halina była zawsze tajemnicza.

Po czym, zmieniając ton, rzekł:

– Otóż pani Halina poleca mi pana bardzo gorąco. Dla niej jestem gotów zrobić wszystko...

Pan Jacek zachnął się.

– Ekscelencjo, proszę nie kierować się wyłącznie prośbą pani Strzemskiej, lecz zbadać moje osobiste kwalifikacje. Prócz potrzeby pracy, mam zapał duży i pragnienie, aby stać się pożytecznym. Ponieważ obecnie nikogo tu nie znam, bo dawni przyjaciele... w grobie, przeto pani Strzemska z własnej pobudki skierowała mnie do pana, wiedziona zapewne życzliwością dla starego rodaka i dobrocią swego serca.

– Tak, tak, panie łaskawy. Ale małe zapytanie: Czy pani Strzemska wiedziała, a raczej czy wie, jakie ja stanowisko obecnie zajmuję?

- Sądząc z jej słów o panu, w liście do mnie, zdaje mi się, że nie przypuszcza, iż tak... wysokie.
- Ach, tak... Czy pan może ma ten list przy sobie?
- Nie, nie mam go w Warszawie – skłamał gładko Sybirak.

Mgławicz pomiarkował się. Zaczął indagację urzędową. Badał cenzus naukowy pana Jacka, pytał o różne szczegóły, dziwił się, chwalił, po czym obiecał obmyśleć coś dla niego i polecił mu za kilka dni zgłosić się po odpowiedź. Ale nie zwolnił jeszcze starego zesłańca. Rozpytywał go o Syberię, o Chiny, o podróż powrotną do kraju, wreszcie o Port Said, Kair. Zmierzał wyraźnie do Strzemskiej, aż właściwie ciekawość przemogła i spytał:

- Czy pan wie może, dlaczego pani Halina wyjechała do Indii?

– Dlatego, że ją gna tęsknota do tamtych stref – rzekł sucho pan Jacek.

– Możliwe. Zawsze była marzycielką o charakterze podzwrotnikowym. Nie dziwię się przeto, że ją Sfinks pociągnął. Istnieje między nimi podobieństwo – że tak powiem – duchowe. Pani Halina to także Sfinks. Jak tamten kamienny, zapatrzony wiecznie w pustynię swą i piaski, tak pani Halina, wpatrzona w swoje ideały i dogmaty osnuwa się marzeniami jak Sfinks.

– A jednak patrzy na rzeczy trzeźwo i jasno – rzekł pan Jacek z prostotą.

– Tak, lecz zbyt pesymistycznie – sarknął Mgławicz. – Zupełna dysproporcja z jej idealizmem. Chociaż... łączy się to u niej przedziwnie i godzi.

Pan Jacek wyszedł z gabinetu z nieokreślonym uczuciem niepokoju. Czy to ten sam człowiek, o którym pisze Strzemska? – rozmyślał. Zapamiętał zdanie o nim z jej listu i uwagę: „przynajmniej byt takim, kiedy wyjeżdżałam z kraju”... Czyżby więc ten dzisiejszy był tamtym?... Pan Jacek wyczuwał instynktownie, że jest coś innego w tym człowieku, którego sylwetkę odrysowała mu Strzemska krótko, ale plastycznie.

Nie chcąc narażać się Mgławiczowi i korzystać z jego dobrodziejstwa, Sybirak zaczął robić starania w celu znalezienia pracy poza instytucją Mgławicza. Szło mu to jednak niesłychanie trudno ze względu na jego wiek podeszły i brak „prezentacji”, a zwłaszcza ze względu na brak odpowiednich referencji.

W pewnej instytucji jakiś młody urzędnik zapytał go z kpiącą naiwną miną:

- Ileż też sobie szanowny pan liczy wiosen?

Pan Jacek utkwił w nim swoje głębokie jasne oczy i odrzekł ze słodkim uśmiechem:

– Liczę sobie rok cytadeli w dziesiątym pawilonie, trzydzieści zim syberyjskich na zesłaniu i trzy lata ciężkiej pracy w Chinach dla zarobku, by móc wrócić do kraju, czyli razem dużo więcej niż całe życie twoje, młodzieńcze.

W biurze zaległa cisza. Kilku urzędników podniosło głowy i spojrzało ciekawie na niezwykłego interesanta. Młody zaś urzędnik ścisnął zęby i spytał głośno:

- Czy pan łaskawy wie, z kim mówi?

Krew uderzyła do głowy pana Jacka.

– Owszem, panie, a przede wszystkim wiem, że jesteś pan źle wychowany. To mi już wystarcza.

Rzekłszy to wyszedł z biura.

W oznaczonym terminie pan Jacek został wezwany przez Mgławicza własnoręcznym jego listem. Stawił się natychmiast, widząc, że innego wyboru nie ma. Mgławicz oznajmił mu na wstępie, że mianuje go osobistym swoim sekretarzem. Mimo zadowolenia, pan Jacek zdziwił się trochę i zaniepokoił czy odpowie zadaniu, czy wydoła pracy. Ale Mgławicz zapewnił go, że wierzy w jego zdolności i żeby nie był przeładowany pracą daje mu do pomocy podsekretarza, ten zaś będzie miał również specjalnego urzędnika. Pan Jacek zaprotestował gorąco. Oświadczył, że mając wiele zamiłowania do pracy będzie polegał wyłącznie na własnych siłach i dołoży wszelkich starań, aby pomocnicy okazali się zbyteczni.

Mgławicz uśmiechnął się jakoś dziwnie i powiedział:

– Pozwoli pan jednak, że na razie pozostanie tak, jak już postanowiłem; o redukcji pomówimy później...

Po zapoznaniu się z personelem Mgławicza i wejściu w tryb pracy, pan Jacek doszedł w ciągu kilku dni do wniosku, że powierzone mu czynności nie są tak wielkie i uciążliwe, a żeby miały je wykonywać trzy osoby. Przy sposobności więc zwrócił się do Mgławicza:

– Ekscelencjo, doświadczenie kilku dni przekonało mnie, że personel sekretariatu jest zbyt liczny...

– Jak to? Trzy osoby łącznie z panem.

– Właśnie trzy osoby pobiera pensję, podczas gdy pracę może wykonać jedna osoba, a najwyżej dwie. Dlatego proponuję zredukowanie tej liczby.

– Czy pan ma co do zarzucenia tym dwu pracownikom?

– Tylko to, że z braku zajęcia są figurantami i że młody jeszcze skarb państwa nie stać na opłacenie próżniactwa.

Mgławicz zachnął się.

– Ach, o to tylko chodzi!

A po krótkim namyśle rzekł:

– Oni jednak zostaną, bo nominacja nastąpiła.

– W takim razie – odparł pan Jacek – proszę mnie przenieść do niższej kategorii. Ja potrzebuję mało. W ten sposób kredyt przyznany na sekretariat będzie wyrównany.

Mgławicz uśmiechnął się.

– Dziwny, doprawdy dziwny z pana człowiek. Gdyby nie wiek pański to sądziłbym, że mam do czynienia...

Pan Jacek przerwał mu z surowym wyrazem twarzy:

– Pana to dziwi, a mnie martwi. Bo u nas w Polsce powstało za wiele zbytecznych stanowisk i posad, za wiele różnych biur i komisji, które posiadając liczny personel obciążają budżet państwa. Ma się wrażenie, że nie pracownicy są dla urzędów, lecz urzędy powstają *ad hoc* dla falangi karierowiczów i próżniaków. Widzę to wszędzie i zgrozę mnie przejmując myśl, że zbyt szeroko, zbyt po pańsku zaczynamy budować zmartwychwstałą ojczyznę, nie licząc się ze środkami materialnymi. Trwonimy grosz skarbowy, podczas gdy na żaden zbytek nie stać nas. Rozwielmożniony nepotyzm, protekcja...

Mgławicz zmrużył oczy i spojrzał przenikliwie na pana Jacka.

– Surowy z pana sędzia, chociaż trzeba przyznać, że poznał pan nasze stosunki wybornie. Jeśli zaś chodzi o protekcję...

– To i ja z niej skorzystałem – podchwycił pan Jacek z goryczą w głosie. – Ale u nas na każdym kroku protekcja działa, kto jej nie ma, ten ginie.

– Tak, panie, protekcja to wszechwładna siła, nie wolno jej urągać, jeśli się jeszcze nie zginęło. Pan jest trochę Katon, a tu u nas życie w pełni: wolność słowa, czynu, woli... Żyjemy nareszcie swobodnie, a przed nami pełnia potęgi i bujnego rozkwitu Polski.

– Czy pan wierzy w pełnię potęgi i rozkwitu Polski już dziś?...

– Najzupełniej, panie łaskawy.

– Daj Boże, by tak było, bo ja dotąd widzę tylko płytkie brzegi i mieliznę. A wolność słowa? Większa istnieje wolność złych czynów i złej woli. Mówiono mi wczoraj o pewnym piśmie codziennym, że za umieszczenie artykułu, krytykującego obecną politykę gospodarczą i społeczną rządu, redakcja zapłaciła ogromną karę pieniężną. Więc widzę, że prawda została zdyskwalifikowana, że trzeba uprawiać błagę lub... milczeć jak za caratu.

Na twarzy Mgławicza odmalowało się niezadowolenie. Zmarszczył brwi, sącząc przez zęby:

– Przyzna pan, że są sytuacje, w których ostrożność jest wymagana. Nie można dotykać krytyką pewnych świętości bezkarnie.

– Nie, panie – zaprzeczył żywo pan Jacek – świętości, jak pan mówi, powinny mieć w sobie taki majestat, by krytyka słuszna i rzeczowa nie miała żadnych argumentów. Złośliwość i zła wola lub dowcipna satyra – to co innego. Nawet najdzielniejsi monarchowie nie reagowali na to. Edward VII z zamiłowaniem zbierał swoje karykatury. Więc tym bardziej w Rzeczypos-

spolitej, zwłaszcza przy ustroju socjalistycznym, rzecz taka uchodzić może. Ale tu mowa o krytyce poważnej i kwestiach poważnych, ach nawet bardzo poważnych. Zamyka się na nie oczy i uszy, ten zaś, kto ma odwagę przemówić, ten jest karany za... prawdę.

– Pan jest mocno niepraktyczny – sarknął Mgławicz.

– Niestety – odparł pan Jacek – jestem zbyt praktyczny i śmiały – ale nie potrafię na rozkaz zachwycać się sumem, widząc tylko... płocie.

– Hm... Zupełnie inaczej odmalowała mi pana pani Halina Strzemska: „romantyk, idealista, patrzący na świat przez promienną zorzę własnego serca, być może ostatni marzyciel naszej epoki...”. To są jej słowa o panu w liście do mnie. Nie sądziłem, aby ten sam człowiek tak pesymistycznie patrzył na nasze stosunki.

– Ach, jakże daleki był ode mnie pesymizm, gdy wracałem do kraju! Cóż zrobić, skoro silniejszą okazała się rzeczywistość. Mimo to jednak nie wyzbywam się tej ostatniej iskierki nadziei, że pan, ekscelencjo, i praca moja pod jego zwierzchnictwem odrodzi we mnie dawnego optymistę. Wierzę w to, bo tak odpowiedzialne stanowisko pana daje najlepsze gwarancje.

Mgławicz lekko drgnął. Skierował na pana Jacka badawcze oczy. Widać w nich było niepewność:

– Czy mówi szczerze, czy mi pochlebia?

– Pani Strzemska – ciągnął po krótkim milczeniu pan Jacek – wierzy w jego siłę charakteru, w jego rozum. Jest najmoralniej przekonana, że pan należy do tych, którzy budują, nie zaś idą za prądem dla...

Zawahał się, ale wnet skończył:

– ...dla wygody życia.

Łuna czerwona oblała twarz i wyniosłe czoło Mgławicza. Skurcz nerwowy zadrgał na jego rysach gwałtownie. Ze skupieniem w brwiach wolno zapalał papierosa.

Nastąpiła kłopotliwa przerwa. Pan Jacek podniósł się szybko z krzesła i zapytał:

– Więc odpowiedź na mój wniosek co do redukcji w sekretariacie mam uważać za ostateczną decyzję?

Mgławicz spuścił oczy na biurko i po krótkim namyśle odrzekł:

– Tak.

Pan Jacek wyszedł z gabinetu dziwnie przygnębiony.

VIII

Słowa pana Jacka widocznie nie przeszły bez echa, bo w dwa dni potem oznajmił mu Mgławicz:

– Najważniejszym dla mnie argumentem jest argument doświadczenia. Pracą swą przekonał mnie pan więcej niż wywodami i dlatego widzę, że istotnie personel sekretariatu należy zmniejszyć. Od jutra pozostaje pan sam na swoim stanowisku.

Pan Jacek skłonił się milcząco, ale w duchu był dumny, że powoli zaczął zjednywać sobie ekscelencję.

Spadł teraz na niego ogrom pracy i odpowiedzialności, więc całymi dniami przesiadywał przy biurku, zapominając często o zwykłym codziennym odpoczynku. Postanowił dzielnie wytrwać na stanowisku, a w miarę jak wzrastała praca, czuł w sobie większą energię i zapał. Zaczął poważnie wtajemniczać się w program działalności Mgławicza, odgrywając w niej rolę sekretarza. Rychło spostrzegł, że jego prostolinijna natura gubiła się w labiryncie polityki i zatracala w załomach krętych a ciemnych korytarzy. Zwrócił na to uwagę i Mgławicz. Szczery sąd pana Jacka o wszystkim trochę go denerwował i niepokoił. Nie chcąc jednak utracić w panu Jacku inteligentnego pracownika oraz mając na względzie niebezpieczeństwo zerwania wszelkiej łączności ze Strzemałą – milczał i tolerował z zaciśniętymi nieraz zębami śmiałość starca. Aż raz po żywej dyskusji na temat jakiejś palącej sprawy rzekł z przekąsem:

– Dziwię się, że pan jednak konspirował przez kilka lat, zanim zamknęli pana w cytadeli. Mogło to im przyjść również łatwo daleko wcześniej.

– Umiałem prowadzić podziemną robotę przeciwko wrogowi Polski – odparł z prostotą pan Jacek – lecz nie pojmuję takiej samej roboty w Polsce wolnej, między Polakami i... tego nie potrafię.

Mgławicz zmarszczył się.

– Szkoda, że nie posiada pan zdolności politycznych, bo program nasz będzie dla pana zawsze obcy. Na stanowisku pańskim...

– Program wszystkich Polaków powinien być obecnie jeden – wtrącił hamując się pan Jacek – dla wszystkich zrozumiały, otwarty i do jednego celu wiodący, bez skrytych zbroczeń, bez obłudnych haczyków.

Mgławicz uśmiechnął się ze sztuczną pobłażliwością i rzekł, patrząc na zegarek:

– Tak, ma pan słuszność, ale gdybyśmy chcieli szukać jednolitego programu, to praca nasza zaciągnęłaby się do nieskończoności.

Pan Jacek odszedł do swego biurka w milczeniu, choć wyrazy protestu cisnęły mu się na usta. Teraz wiedział, że Mgławicz to już inny człowiek, niż ten, którego znała Strzemała, i myślał: ilu też na czoło współczesnej Polski wysunęło się takich Mgławiczów? Stykając się w biurze z przedstawicielami różnych stronnictw, partii, odłamów, obserwując zacieklą walkę, wrzącą pomiędzy nimi o wpływy na losy kraju, na sejm, na rząd, na całe społeczeństwo – nie mógł za żadną cenę pogodzić się z tym, że przyszły dobrobyt Polski może być zależny od występujących przeciwko sobie przywódców, od przebiegu tej walki. Częstokroć pytał w duchu, czy Polska to rozhasana kompania megalomanów, którzy się mienią twórcami jej potęgi, czy to mafia, podkopująca fundamenty wolności narodowej, by własne na jej ruinach stawiać budowle? Czy z dostojnego tumu ojczyzny chcą wyrzucić Boga i ołtarze, aby wzniesić w nim piedestał dla własnej pychy, ustrojonej w szaty gorszące?... Mówi się i pisze wszędzie, że Polska przeżywa okres tworzenia i przetwarzania, ale czy ten czas ewolucyjnych doświadczeń nie zgubi kraju, nie cofnie nas wstecz choćby o lat pięćdziesiąt? Czy Polska obecnie nie jest jak Chrystus na skale kuszony przez szatana, który wskazuje rozległe horyzonty i bogactwa niezmiernie za cenę oddania się w jego moc? Chrystus, będąc Bogiem, odrzucił szatana, a w Polsce dzisiejszej co przeważa – Bóg czy szatan? Co jest w nowo tworzących się gmachach polskości: miłość Chrystusa czy dzikie rozpętanie instynktów, nieokiełzanych żadnym hamulcem, czy podstępna walka o byt pod szumnym hasłem altruizmu?... Czy tam są szakale, czy tam jest Bóg?

Szakale...?

Pan Jacek usłyszał nagle monotonne, jakby podziemne, skomlenie tych ponurych mieszkańców pustyni i nagle wyrosła przed nim potworna głowa szydzącego od wieków olbrzyma. Sfinks... I znowu ten Sfinks... Jak mu się twarz kamienna rozciąga w uśmiechu ironicznej wzgardy dla wszelkich walk, klęsk i zwycięstw... Sfinks... on wie, jaki jest los sztandarów ludzkości i wypisanych na nich hieroglificznych haseł. Sfinks widział powstawanie państw od zamierzchłych początków kultury i upadek tronów, które władały połową świata... Myśliciele

greccy utrzymywali, że celem istnienia państwa jest dobro jego obywateli. Platon określił to dobro jako harmonię współżycia jednostek i społeczeństw przez zachowanie wśród nich sprawiedliwości, wytwarzającej pokój i zgodę. Arystoteles, stojąc na gruncie bardziej realnym, mówił, że celem państwa jest dobro większości obywateli. Myśli te krzewili późniejsi filozofowie. Na takich pojęciach zasadzali wykształcenie narodu, a mimo to Grecja runęła. Sfinks patrzył i śmiał się tak, jak dzisiaj. Powstawał Rzym, pełen blasku i potęgi. Rzymianie, nie określając celu państwowego praktycznie, dążyli jednak do wytworzenia ładu. Rzym był napotężniejszym państwem. Za czasów cesarów obejmował cały świat, *orbis terrorum*. Sfinks widział i drugą wojnę punicką, po której Rzym osiągnął najwyższy stopień potęgi, gdyż stworzył wzorową organizację wewnętrzną i ład społeczny. Sfinks patrzył na to i uśmiechał się tak samo, bo nadszedł moment, że zginęła Roma. Za dużo było w niej pychy, za dużo wielkich haseł, nie popartych praktycznym czynem. W przekonaniu swoim Roma osiągnęła najwyższy szczyt, a zatem, gdy zabrakło horyzontów górnych, zapatrzyła się w otchłań własnej świetności – i runęła w tę przepaść, grzebiącą zawsze każdą potęgę i narody najmocniejsze, o ile nie służą one jakimś wyższym ideałom i celom wspólnym dla całego państwa. Sfinks patrzył i śmiał się. I na Napoleona wyrosłego z kaprała, gdy władca prawie pół Europy koroną cesarską na głowę wkładał, Sfinks patrzył i śmiał się. Śmiał się i wtedy, gdy wielki wygnaniec konał z tęsknoty i nudy na wyspie, wśród skał w Longwood. I rozbiory Polski Sfinks widział, szydząc z pychy jej zaborców, bo przeczuwał, że przyjdzie Nemezys dziejowa, na wagi swoje zbierze krew, łzy i tyranie zwycięzców. Ach i wielką wojnę Sfinks przeczuwał w swym uśmiechu zagadkowym, szyderczym i dlatego tak strasznym. Widział upadek krzywdzących, bo szale tyranii na wagach Nemezys przeważały i... teraz patrzy na Polskę, powstała z kaza-mat więziennych. Patrzy na to, co się teraz w niej krzewi, i... śmieje się. Jakże potwornym, jakże przygnębiającym jest ten śmiech Sfinksa... Cóż jednak on widzi w tej dali mętnej, ku której dążymy, co on nam uśmiechem swym wróży?...

Pan Jacek zakrył oczy rozpaloną dłonią i doznał wrażenia, że pędzi na oślep wraz z całym narodem, a gna go wichur szalony, jak puszczone na rozhukane morskie bałwany fregatą, bez kierunku i żagli. Serce drętwiało mu z przerażenia i niepewności, czy spoidła wątego stateczku wytrzymają napór burzliwych odmetów. Kto chwyci za rudel zbawczy, kto imia się wiosła, by skierować nawę oszołomionego narodu na spokojne wody, skąd już blisko do portu i ocalenia? Gdzie jest ten sternik jedyny? Na niego naród cały czeka raczej intuicyjnie niż świadomie? On dopiero, gdy się objawi, wniesie do Polski boskość i promienistość. On rzuci blask prawdy na wszystkich i wszystko... Zdemaskuje...

Pan Jacek zagłębiał się w takich rozmyślaniach coraz częściej i starał się wybadać dokładnie system myślowy tych, co stali u władzy. Swego szefa poznawał coraz lepiej. Lecz Mgławicz, gdy poczuł dotyk wyraźny i spojrzenie idące w głąb duszy, chował się w skorupę i zasłaniał mgłą tajemniczości. Najszerszy jednak był w rozmowie o Strzemskiej, zdradzał się często, że zaważyła poważnie w jego życiu i że nie jest mu obojętną. Nie wyjawiał żadnych faktów z przeszłości, więc czy Strzemska była mu wzajemną, pan Jacek nie wiedział, choć wątpił w to. Jej wyjazd z kraju nie robił wrażenia ucieczki przed zawodem uczuciowym albo przed natarczywością kochającego ją człowieka. Taka, jak Strzemska, łatwo by się potrafiła obronić. Poniosła ją fantazja, może nawet nie przeczuwała, że ktoś ją ściga pragnieniem serdecznym, on zaś mógł jej wyjazd inaczej zrozumieć. Pan Jacek kochał Strzemska jako wizję swego wspomnienia z lat młodych, kochał miłością przyjaciela, raczej ojca duchowego. Przeto miłość do Strzemskiej usposobiła go jak najlepiej względem Mgławicza, w którym tlił ogień uczuć dla niej, choć przecie innego zabarwienia i w imię innych celów.

Mgławicz, mówiąc o Strzemskiej, przeistaczał się zupełnie i korzystnie, ale zbyt obcesowo indagował pana Jacka, zwłaszcza o jej listy. Sybirak pokazywać ich nie chciał. Strzemska pisywała często z podzwrotnikowych mór i czyniła panu Jackowi wymówki za lakoniczność

jego listów. Pan Jacek odgadywał, że chodzi jej o wiadomości dotyczące osoby Mgtawicza, ale milczał o nim, nie chcąc za wcześnie wyjawiać swoich spostrzeżeń.

Pewnego dnia przyszedł Mgtawicz do biura wcześniej niż zwykle, i po pobieżnym przejrzaniu spraw wezwał pana Jacka do siebie.

– Od jutra przeniesie się pan do innego mieszkania – rzekł kwaśno.

Pan Jacek zdumiał się:

– Co to znaczy, dlaczego?

– To znaczy, że mój przyboczny sekretarz nie może mieszkać w takiej dziurze, jak pan. Byłem wczoraj nad wieczorem u pana i wstydziłem się własnego szofera. Wyobrażam sobie jaki pokój, skoro taki hotel i wejście.

Pan Jacek uśmiechnął się.

– Pokój wcale miły, bo utrzymuję go czysto i zresztą jedyny, Jaki znalazłem najodpowiedniejszy na moją ówczesną sytuację. Ale czemuż mam zawdzięczać, że ekscelencja pofatygował się do mnie?

– Ach, bo widzi pan jest tu list do niego od... pani Haliny, bardzo gruby pakiet. Przypuszczam, że zawiera również list do mnie. Pisałem do niej dość dawno, to zapewne odpowiedź.

Wyjął z teki grubą kopertę i, wręczywszy ją panu Jackowi, stał w pozie wyczekującej, ze wzrokiem utkwionym w liście. Zwlekać było niepodobieństwo. Pan Jacek rozciął kopertę. Mgtawicz widocznie panował nad sobą, ale podsunął się bliżej, spojrzał uważnie w rozwijane papiery. Kilka arkuszy do pana Jacka skreślonych dużym, zwartym charakterem pisma i osobna nie zaklejona koperta, pełna amatorskich zdjęć egzotycznych okolic, mórz, portów, zwierząt, statków, łodzi rybackich, skał, prerii i dżungli. Fotografie rozsypały się na biurku, pan Jacek zbierał je z pewnym zakłopotaniem.

Listu do Mgtawicza nie było. Sybirak widział drżenie ręki ekscelencji, wspartego o biurko, odczuł rumieniec na twarzy i zrobiło mu się przykro, choć nie wiedział dlaczego.

– Zapewne – zauważył miękko, aby przerwać kłopotliwe milczenie – pani Strzemska osobno napisze do pana...

Wtem Mgtawicz chwycił gwałtownym ruchem jedną fotografię. Na pokładzie statku stała Strzemska w białym kostiumie, w ceratowym białym kapelusiku, trzymając ręce w kieszonkach żakietu. Zdjęcie bardzo wyraziste i duże odtwarzało jej postać wybornie. Stała jak żywa. Szczególny wyraz jej twarzy, uśmiech ust i lekkie zmrużenie oczu, zapewne od słońca, miały w sobie plastykę niesłychaną. Cała postać, przegięta zuchwale trochę na bok i jakby kpiąco, roześmiane usta i oczy o drażniącym wyrazie robiły wrażenie, że śmieje się przekornie z Mgtawicza, wpatzonego w nią zachłannie. Widocznie nie tylko pan Jacek doznał tego wrażenia, bo i Mgtawicz przesaczył przez zęby:

– Sfinks...

Pan Jacek wstrząsnął się i bystro spojrzał na Mgtawicza.

– Sfinks? – powtórzył tonem zapytania.

– No, bo niech pan spojrzy na tę pozę, na tę minę; drwi z całego świata.

Po czym zapatrzony ciągle w fotografię szepnął znowu:

– Chociaż... robi to... wdzięcznie...

Znaleźli jeszcze kilka zdjęć z podobizną Strzemskiej; Mgtawicz chwycił je gorączkowo, zanim pan Jacek zauważył. Ale było ich mało: samotnie w łodzi rybackiej, zwanej po arabsku feluką, na słońcu w palankinie i na złomie skalnym, wstępującym w morze, oblanym dokoła pianą. Tam siedziała w białej wiotkiej sukni, z przezroczym woalem na głowie, bose jej stopy zanurzały się w burzliwych pianach. Patrzyła na brzegi, skąd ją zapewne zdejmowano, z rozbawioną serdecznie miną. Mgtawicz zagryzł usta i zsunął prawie brew z brwią.

– Nie wie pan, kto ją fotografuje? – syknął.

Pana Jacka ubawiło to pytanie.

– A Boże ty mój! – zawołał – skądże ja mogę wiedzieć?

– Prawda. No, ale ma pan list. Niechże pan czyta.

Pan Jacek nie wiedział, jak to rozumieć. Zawahał się chwilę i zaczął czytać po cichu dla siebie. Mgławicz stał oczekując, po czym nerwowo zaczął przeglądać fotografie, wreszcie z widoczną pasją zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju szybkim krokiem. Pan Jacek czytał w roztargnieniu, spieszył się, połykał słowa. Detonowała go obecność Mgławicza i jego niepokój, objawiający się niezbyt delikatnie.

W liście Strzemska opisywała szeroko swoje podróże, filozofując trochę na temat własnych przeżyć, i ogólnie. Rozpytywała o Podlasie i Warszawę. List był nerwowy, pełen jakiejś gorączki trawiającej ją, chwilami błyskotliwy, to znowu przeniknięty smutkiem i melancholią. W końcu Strzemska pisała:

„Zna Pan zapewne takie stany duszy, kiedy wszystko w człowieku omdlewa, wszystko przestaje czuć, myśleć, wszystko, prócz tej jakiejś odrobiny, którą jest podświadomość. Świadomość istotna wówczas nie działa, uległszy ogólnemu beczuciu, zostaje tylko pyłek, atom, iskierka – podświadomość. Gdyby ta iskierka zgasła, nastąpiłaby już śmierć duchowa, a może obłąd. Podświadomość trzyma ducha ludzkiego w napięciu, nie dając mu zginąć. Nie ma w tym napięciu żadnego błysku nadziei, żadnej otuchy, jest tylko jakaś władza intelektualna, odrębna, nieuchwytna i nierealna, a może jedynie... ratunkowa. Stan taki, nazywam w języku swoim Umberry, jest straszny, gorszy od zupełnego zaniku – śmierci. Śmierć jest łaskawsza od Umberry, bo nie ma już w sobie żadnego pyłku podświadomości, jest zanikiem, martwością. Gdy zapadam w Umberry, jestem jak w otchłani. Źle, jeśli w ogóle zapada w nią człowiek pojedynczy, mniej lub więcej potrzebny światu. Straszne jest, gdy mroczne sieci Umberry ogarną ludzi, luźne grupy, tłumy. Ale gdy zapada w nią naród cały, to jest już groza tragiczna. Naród taki ma w sobie tylko podświadomość i ta go trzyma nad przepaścią ostatecznej zguby, w zawieszeniu. Jestem daleko od kraju, ale modłę się po swojemu, by te iskierki podświadomości Polski rozżarzyły się i trwały... Niech trwają w dzisiejszej Umberry u nas, a może wreszcie zapłoną... obudzą. O, jakże gorąco tego pragnę, choć niczym, niczym nie mogę się przyczynić do tego ocknięcia. Ci, którzy posiadają świadomość pełni życia ducha i woli, czują się w Umberry jak ludzie wyspani, zdrowi, energiczni wśród śpiących snem neurasteników i obłąkańców w przyćmionej mrocznej izbie. Gdzież jest wyjście, jak je odszukać, by we właściwe miejsce uderzyć piersiami i na odpowiednie hasło odsunąć zapórę, jak bajkowy Ali Baba otworzył skałę Sezamu? Tłoczy mnie przecucie, że Pan jest jednym z tych trzeźwych wśród śpiących. Ale jeśli powrócić do porównania z Ali Babą, to Sezamu, w którego wnętrzu znalazł się Pan obecnie – nie otworzysz. Nie jest to nawet na twoje siły, drogi optymisto i silny człowieku. Ten „Sezam” ma w sobie za dużo żądz złotą, by dał się otworzyć... Jednakże... ekscelencji przesyłam uprzejmie pozdrowienia i dziękuję mu bardzo za łaskawe zajęcie się losem drogiego Pana. Jestem mu wdzięczna, a przy tym wieszuję mu zaszczytów, honorów, tytułów... i życzę nowych. Zapewne zajdzie wysoko, skoro początek tak świetny...”

Więcej o Mgławiczu ani słowa.

Pan Jacek składał list mocno zafrasowany.

– Cóż pisze? – rozległo się suche pytanie.

Nie było innego wyjścia, jak tylko podać Mgławiczowi list ze słowami:

– Ukłony dla pana. Może pan przeczyta, proszę.

– Owszem, dziękuję – odrzekł Mgławicz. Zaczął czytać list Strzemskiej skwapliwie.

Pan Jacek zebrał fotografie, zauważył brak tej na pokładzie, i tej siedzącej na skalnym zrębie wśród pian. Uczuł przykrość, był pewny, że szef mu ich nie odda. Nie czekając na przeczytanie listu do końca, wyszedł do swego pokoju. Zasiadł do pracy. Zaczęły się audyencje. Pan Jacek wchodził do gabinetu Mgławicza z papierami i konstatował, że ekscelencja jest zimny i ma niezwykle surową twarz. Interesanci zbywani byli krótko i lakonicznie. Kilka osób odprawiono z poczekalni. Nareszcie godziny zajęć skończyły się. Pan Jacek, zapraco-

wany, nie myślał jeszcze opuszczać biura, gdy Mgławicz wezwał go do siebie. Oddając mu list Strzemskiej, mruknął w formie komunału:

– Urodzona egzotyczka i filozofka. Dziwne miewa nastroje w tych krajach podzwrotnikowych.

Po czym, zmieniając ton, rzekł:

– Więc proszę pana spakować się dziś, bo jutro przeniesie się pan na nową kwaterę. Powtarzam: nie mogę pozwolić, aby mój sekretarz mieszkał w takiej norze.

– Ekscelencjo, ależ ja mieszkania innego nie mam, gdzie je teraz, w dzisiejszych warunkach, znajdę tak prędko. Do jutra to zupełne niepodobieństwo.

– O tym pomyślałem i mieszkanie dziś się już opróżni. Rozporządzenie wydano.

– Jak to? Komu? Jakim sposobem... opróżni się? Co to znaczy? Nie rozumiem.

– Ach, panie, to takie łatwe do zrozumienia! A oto proszę adres, dokąd ma się pan przenieść. W każdym razie będzie miał pan bliżej do biura niż dotychczas.

Sprawa przenosin dotknęła pana Jacka niemile. Postanowił zbadać, gdzie i jakim sposobem zdobyto dla niego mieszkanie. Poszedł niezwłocznie pod wskazany adres. Otworzyła mu drzwi niemłoda kobieta, biednie ubrana, ale widocznie ze sfery inteligentnej. Na widok nieznanego twarz jej zbladła silniej.

Pan Jacek wszedł i uczył od razu, że jest intruzem. Za progiem małego przedpokoju stała gromadka dzieci wystraszonych, nędznych. Wszędzie był nieład, na podłodze wałały się spakowane toboły.

– Przepraszam, że nachodzę, ale mam sprawdzić, czy ten lokal został opróżniony. Pani wyjeżdża? – spytał pan Jacek.

Kobieta zaśmiała się przykro.

– A tak, wyjeżdżam, tylko nie z własnej woli.

– Jak to? A któż panią zmusza?

– Więc pan nie wie, że to mieszkanie zarekwirovano dla jakiegoś posła z jakiegoś tam poselstwa? Dziś kazano mi się wyprowadzić bodaj na bruk, bo mieszkanie ma być jutro gotowe. Cały dzień przychodzą te figury od rekwizycji i przynaglają mnie.

Zaczęła płakać, wskazując na dzieci desperackim ruchem.

– Tyle mam drobiazgu i jestem wdową. Sama zarabiam na utrzymanie nas wszystkich, a dzieci zostawiam pod opieką poczciwej sąsiadki. A teraz trzeba będzie iść do suteryny. Tu już mieszkam dawno, płacę akuratnie i wystarcza mi. Ale nowe mieszkanie zdobyć w dzisiejszych warunkach – to nad moje siły.

Otarła oczy i surowo spojrzała na pana Jacka.

– Czy pan z biura rekwizycji?

– Nie, pani.

– Przecie pan chyba nie ten poseł, dla którego mnie wyrzucają. Zresztą słyszałam, że to mieszkanie nie dla posła żadnego, tylko dla jakiegoś urzędnika. Nie wiadomo, za co pozbawiają ludzi dachu nad głową. A czyż to jeden wypadek ze mną. Ciągle się o tym słyszy.

Westchnęła ciężko z głębi piersi.

– Takie panują u nas teraz porządki w wolnej Polsce – mówiła. – Człowiek żyje jak ptak na gałęzi i nie wie, kiedy go i jaki wiatr zwieje.

Nagle spojrzała badawczo na pana Jacka.

– Ale właściwie czego pan sobie życzy i... kto pan jest?

Pan Jacek skłonił się.

– Pani wybaczy, lecz poinformowano mnie mylnie. Przepraszam.

Cofnął się i wyszedł. Był przygnębiony tym, co widział i słyszał. Chciał się natychmiast rozmówić z Mgławiczem. Poszedł w stronę jego prywatnego mieszkania.

IX

Wieczór jesienny, rozżarzony mnóstwem świateł elektrycznych, ciskających w mgłę czarnego nieba snopy blasków wężowych, zastał pana Jacka przy gmachu, w którym mieszkał Mgławicz. Przed podjazdem stało kilka karet i samochodów. Z drzwi wejściowych były jasne promienie elektrycznych lamp. Ślizgały się złote ćmy drgających blasków po strojnych, lakierowanych pudłach samochodów, ciskały się w szyby kareciany okien, muskały złotym pyłem spasione grzbiety rasowych koni. Rój przechodniów gapił się na pojazdy i rozżarzone rozety okien. Szoferzy w kudłatych futrach rozmawiali ze stangretami, czyniąc głośne uwagi o zabawie.

Pan Jacek otworzył drzwi i na schodach, wysłanych dywanem, usłyszał drażniące tony muzyki. W przedpokoju znajomy służący oznajmił mu, że ekscelencja przyjmuje dziś gości i jest właśnie w salonie, gdzie tańczą. Po czym wskazał mu drzwi do gabinetu, prosząc, aby tam zaczekał.

Starzec wszedł i – stanął jak wryty.

W kącie, pod jedwabnym abazurem łososiowego koloru, na pluszowej kanapce leżała strojna kobieta półnaga w jakichś pajęczych tiulach. Nogi w cielistych pończochach i płytkich lakierkach założone miała na niskiej poręczy kanapki, w ustach trzymała papierosa. Przy niej klęczał mężczyzna w wojskowym mundurze, obrócony plecami do drzwi. Oboje nie spostrzegli wchodzącego pana Jacka. Mężczyzna o coś błagał, twarz kobiety zasnutą była dymem.

– Zlituj się, przecie on może wejść – zaśmiała się ona.

– Aleksy? Bądź spokojna...

– Ależ nie on, tylko...

– Ach, twój mąż... Już go tam utopili w szampanie, zajął się tym Aleksy... Jesteśmy zupełnie bezpieczni...

Kobieta rzuciła się na kanapie.

– Zabawna sytuacja. W domu zwierzchnika mego męża z kochankiem, który jest mężem kochanki Mgławicza. Ha, ha, ha!...

– Co cię tak bawi?

– To, że Mgławicz niezbyt dba o szczęście domowe swojej dawnej flamy, którą po nasyceńcu się oddał tobie w posiadanie.

– Przestań...

– Owszem, to ciekawe – syknęła z ironią. – Przy tym mój mąż, uwielbiający Mgławicza, ani przypuszcza, co się dzieje w gabinecie ekscelencji...

– Jeszcze się nie dzieje...

– Sądzisz?... – spytała przewlekłe.

Mężczyzna pochylił się nizej.

Pan Jacek dyskretnie wyszedł z gabinetu i zbliżył się do służącego, by mu oznajmić, że musi się widzieć z Mgławiczem koniecznie.

– Do salonu nie pójde, bo mnie ekscelencja zgromi – odparł służący.

– Ale ja mam pilną sprawę.

– Niech pan zatrzyma się w gabinecie, pan Mgławicz pewnie zaraz wyjdzie, to mu powiem..

– Tam już jest ktoś, kto sobie nie życzy mojej obecności.
Woźny zrobił naiwną minę.

– Tak?

– Powinniście byli o tym wiedzieć.

Wtem drzwi stuknęły głośno i z gabinetu wyszła kobieta z towarzyszem. Byli oboje pewni siebie, spokojni. Ona przez bogate *face á main* spojrzała na pana Jacka i przelotnie zwarta się z nim wzrokiem. Gdy przeszli, pan Jacek spytał woźnego:

– Kto to?

– O, proszę pana, to jedna z jaśnie wielmożnych... Wszystkie teraz takie nagie, bo taka moda. A żeby pan widział, jak tańczą, to jakby... i wstyd mówić – machnął ręką. A szampan, panie, leje się bez miary... Co innego gadają, a co innego robią... Im wszystko wolno, bo mają pieniądze. Oni używają, a w narodzie bieda coraz gorsza. Ale im niczego nie brak, choć takie niby wielkie dobrodzieje dla ludu...

Pan Jacek milczał. W tej chwili wyszedł z salonu Mgławicz. Był widocznie podniecony trunkiem, oczy mu błyszczały nienaturalnym blaskiem.

– Ach, to pan? – zawołał, ściskając panu Jackowi rękę.

– Przepraszam, że zakłócam zabawę, ale mam ważny interes na chwilę tylko.

– Proszę, proszę – rzekł Mgławicz, wskazując gabinet.

Nagle skoczył szybko do drzwi i ujął za klamkę zasłaniając je sobą.

– A, nie, nie. Nie tu... – rzucił przyciszonym głosem i zawahał się. – Może...

– Tam już nikogo nie ma – uśmiechnął się sztucznie pan Jacek.

Mgławicz błysnął oczami, a na twarzy odmalował mu się znak zapytania i zdziwienia razem.

– Skąd... pan wie?...

– Widziałem, jak wychodzili... zapewne bez wiedzy pana.

– Ekscelencja odetchnął swobodnie.

– A, to paradne! – rzekł – zatem chodźmy.

Otworzył drzwi i wszedł, rozglądając się dyskretnie po gabinecie. Potem padł na fotel przy biurku i wskazał panu Jackowi krzesło obok.

– Co pana do mnie sprowadza? Może pan pozwoli cygaro...

– Dziękuję, nie palę.

– A prawda. Jestem trochę roztargniony... Bo to widzi pan goście, szampan... kobiety...

– Widziałem właśnie.

– Widział pan? Tu? Ach! *Pardon*. Tak! Tych co wychodzili.

Pan Jacek skinął głową.

– Jestem tu nie w porę – rzekł – lecz sprawa pilna co do mego mieszkania...

– Na jutro będzie gotowe – podchwycił Mgławicz.

– Przyszedłem prosić pana o cofnięcie nakazu. Ja tam mieszkać nie mogę i nie będę za nic. Byłem sam na miejscu i sprawdziłem, że się wyrzuca wdowę z gromadą dzieci.

Mgławicz ruszył ramionami.

– Ach, cóż to nas obchodzi! Nie można się chyba zajmować całym światem.

– Ależ ja nie dopuszczę, aby dla mnie wyrzucano ludzi z mieszkania, to się stać nie może, ekscelencjo, to byłyby dzikie prawa.

Mgławicz zmrużył oczy.

– Pan się nie zastanawia, że ja odpowiedzialność za moje czyny biorę na siebie, choćby owe „dzikie”, jak pan powiedział, prawa...

Pan Jacek przerwał:

– Bo inaczej tego nazwać nie można, to *horrendum*, barbarzyństwo, nie do pobłażania w państwie, które chce uchodzić za konstytucyjne. Jak to? Wyrzucać ludzi, dzieci na bruk dla kaprysu, ażeby sekretarz ekscelencji zaprezentował w ten sposób jego gabinet? W państwie

kulturalnym takie bezprawie istnieć nie może. Więc gdzież jest wolność obywatelska w naszej Rzeczypospolitej, gdzież jest bezpieczeństwo, gwarancja praw?

– Mglawicz był zły. Siłąc się na spokój, rzekł dobitnie:

– Proszę pana nie robić tragedii z rzeczy tak powszedniej, która jest dziś na porządku dziennym.

– Wiem o tym, niestety, i boleję, że to się stało rzeczą powszednią. Rekwirowanie mieszkań prywatnych dozwala się wojskowym podczas stanu wojennego, ale nie dla urzędników... Ja bym tam nie mógł mieszkać jednej godziny... Proszę, niech mnie pan zwolni od tego i nakaze cofnięcie rekwizycji.

Była chwila ciszy. Mglawicz ujął z biurka ramkę ozdobną z fotografią Sfinksa w opalowym blasku księżycowej nocy. Przyglądał się fotografii ze szczególnym wyrazem twarzy i wreszcie odstawił ją nerwowym ruchem.

– Nie, panie – rzekł – tak będzie, jak postanowiłem. Przy tym ostrzegam pana, że pan w ogóle jest mało powściągliwy w wypowiedaniu swoich uwag. Ma pan swoją rolę jasno określona i radziłbym trzymać się linii wyznaczonej. Posiada pan dużą protekcję – rzucił wzrok na Sfinksa w ramce – gdyby nie ten wzgląd... ale w każdym razie nadużycia są niepożądane.

Pan Jacek podniósł głowę.

– A więc to tylko przez wzgląd na panią Strzemską jestem tolerowany – rzekł trochę drżącym głosem. – Ja milczeć nie umiem, pokorą zaś i schlebaniem brzydzę się, wbrew przekonaniom swoim nic robić nie potrafię. Wyczuwam wszędzie i we wszystkim jakąś mglistość i tajemniczość. W takich warunkach pracować nie mogę. Tym bardziej, jeśli wiem, że tylko protekcja mnie trzyma. Wobec tego musimy... rozstać się.

Mglawicz spojrzał zdumiony.

– Jak to? Pan chce dymisji... i to z powodu tej rekwizycji?

– To już tylko kropla, która przelała się przez brzeg i ukazała mi, jak mnie pan ocenia *de facto*. Pracuję szczerze i rzetelnie od pół roku, ale nie mogę dłużej przebywać w takiej atmosferze, gdzie na każdym kroku widzę i wyczuwam nie ogólne i państwowe cele, lecz osobiste i zaspokojenie własnych ambicji. Kłamać samemu sobie nie umiem i nie chcę.

Mglawicz był zaskoczony i wzburzony do tego stopnia, że nie zastanawiając się rzekł tonem niepokoju:

– A cóż powie na to pani Strzemska?...

I znów spojrzał na Sfinksa w ramce.

Pan Jacek uśmiechnął się.

– Osobiście nazbyt cenię panią Strzemską, aby narażać ją na niechęć pana z mego powodu i na to, aby się pan krepował moją osobą przez wzgląd na panią Strzemską. Zrobiła dla mnie wszystko, co było w jej mocy, lecz nawet dla niej nie mogę zmieniać swoich dogmatów. Zresztą... ona by tego nie żądała.

– Więc pan chce ustąpić?

– Tak.

Mglawicz zrozumiał, że traci zdolnego pracownika.

– Bardzo mnie dziwi, że pan tak obcesowo... ale proszę się jeszcze namyśleć, rozważyć. Ja z pracy pańskiej jestem zupełnie zadowolony. Różnimy się co do poglądów, no... tak. Lecz, panie łaskawy, dzisiejsze czasy nie odpowiadają pańskim poglądom i... pan niedaleko zajędzie stosując swoje teorie w praktyce. Dzisiejsza doba nastęrcza wiele trudności, ale trzeba się umieć orientować. Kto chce żyć, musi...

– Płynąć z falą – dokończył pan Jacek. – To są słowa pani Strzemskiej z pierwszego listu do mnie. Cóż, kiedy ta fala dzisiejsza jest za mało przejrzysta. Naród nasz obecnie jest jak wezbrana mętna woda, rzeka wolna od tamy i przeszkód, pędzona przez różne prądy, wichry wrogie, ku niepewnej przestrzeni i nieznanym krańcom. Dokąd pędzi i jakie jej dno? Tego się boję, tej strasznej zagadki, w której tkwimy.

Mgławicz milczał, patrząc na Sfinksa. Pan Jacek dojrzał na jego czole zadumę poważną, odczuł, że podniecenie hulaszcze minęło i że Mgławicz myśli. Może ostatnie słowa wniknęły do jego duszy, budząc szereg pytań czy zwątpień.

Sybirak mówił cichym, głębokim głosem:

– Widzę wśród nas dziecięcą niemal beztroskę, podczas gdy przełomowy moment w naszej historii zmusza do zagłębienia się w psychologię chwili i do wpatrzenia się z natężoną uwagą w chmurny horyzont przyszłości naszej. Dzieje się wszystko przeciwnie, jakaś maskarada święci swe orgie na naszym forum. Ludzie są albo w skórze zwierząt, albo w maskach, chociaż maski noszą w ogóle wszyscy. Maskaradę i karnawał widzi się głównie u tych, których wojna wzbogaciła; u tych zaś, których wyzuła z mienia i dobrobytu jest apatia, rozgoryczenie i niechęć do życia, do wszelkiego czynu, bierność zdanie się na los. Nikt przy tym nie wnika w jądro sprawy, nikt nie chce wiedzieć, że los kraju jest zależny od stanu moralnego obywateli, że w miarę jak słabną barki, słabnie byt i przyszłość ojczyzny.

Pan Jacek umilkł wzruszony. Mgławicz miał brwi skupione i był bladej.

Z daleka dolatywały trochę monotonne, lubieżno-zmysłowe tony muzyki. Melodia ta wydała się panu Jackowi pelzającym podstępnie, oślizgłym gadem z żądłem, pełnym obrzydłej zatrutej cieczy. Było to jakby tło do bezwstydu, do rozpasania się żądz – przygrywka i refren do jakiejś ponurej sarabandy. Kiedyś, przechodząc koło podmiejskiej traktierni, słyszał tę muzykę zmieszaną z pijackimi głosami i teraz ogarnęło go uczucie wstrętu.

Mgławicz pochylił się naprzód, zasłuchany w płynące z salonu dźwięki, snadź melodia lubieżnie drażniąca porywała go ku sobie. Po krótkiej chwili milczenia rzucił z widocznym zniecierpliwieniem:

– Po co pan z tym wszystkim zwraca się do mnie?

– Ekscelencja zajmuje tak wpływowe stanowisko w sferach rządowych, że...

Mgławicz wzruszył gwałtownie ramionami i, wstając, zawołał z wymuszonym uśmiechem:

– Pan sekretarz ode mnie zaczyna naprawę Rzeczypospolitej...

Wtem z salonu dobiegł głośny wybuch śmiechu i natrętnie wzmożona muzyka tonów. Rozbawione, przepite głosy wniknęły wrzaskliwą kakofonią do przedpokoju, ktoś szarpnął drzwi – i do gabinetu wpadło kilka par roztańczonych, roześmianych. Jedni przelewali się sobie w ramionach, snując się w szalonym a drapieżnie namiętym tańcu, inni ze wzniesionymi do góry kielichami otoczyli Mgławicza i pana Jacka tanecznym kołem, śpiewając jakąś pieśń dziką, hulaszczą. Pan Jacek ujrzał dokoła siebie twarze płonące gorączką musującej krwi, usta mokre, karminowe, nabrzmiące, chciwe, oczy pełne pożądliwości i cynizmu. Korowód ten, niby koszmar obłąkańczy, oszołomił pana Jacka i przejął zgrozą.

Mgławicz stał bezradny, zły, z nagłymi wypiekami na policzkach. Spojrzał przelotnie na swego sekretarza i... spuścił oczy. Korowód par otaczających biurko śpiewał, opryskując się szampanem z drżących w dłoniach kielichów. Błyszczały dokoła oczy i połyskiwały drapieżne zęby. Mgławicz milczał. Milczał widocznie za długo, bo jedna z kobiet w złotym zawoju okrywającym biodra, z którego opadały do kolan pozłociste trzęsienia frędzli, z tyłu zaś przezroczysty szmat złotej gazy – oplotła pachnącym ramieniem szyję Mgławicza i podsunęła mu szybko do ust pełen kielich pianistego wina.

– Masz, ocknij się!... Na razie to... – szepnęła krwawymi wargami tuż przy jego ustach.

– Potem czeka cię świetniejsza kruza... – zaśmiał się obok czyjś przepity głos.

Mgławicz ocknął się istotnie. Odsunął niecierpliwie wonne ramię kobiety z kielichem w dłoni i rzucił zduszonym głosem:

– Ależ... moi państwo... Pani Marto... jestem teraz zajęty!...

Kobieta gwałtownie wtuliła się w niego cała, wgniotła się w jego męską postać, wielka i pełna, owinęła go ramionami i przegięta zuchwale w tył, z rozchylonym szkarłatem warg, na których zawisł krzyk rozkoszy – pociągnęła go w taniec lubieżny.

– Wiwat! Brawo! – krzyknął chór głosów.

Wszyscy odplynęli na środek gabinetu w powolnym rytmie rozelkanej namiętnością sara-bandy. Jedna za drugą, jedna za drugą wypływały pary przez strojny przedpokój do salonu. Przy drzwiach stali lokaje ze szczególnym wyrazem twarzy. Był w nich śmiech satyrów, gdy spostrzegą w krzakach boginie, cudze żony i córki w objęciach bogów-uwodzicieli, i była w nich ironia pospolitaków, gdy patrzą na zabawę „wielmożnych państwa”, i był w nich sarkazm ludzi pracy, patrzących na rozpustę swych chlebobawców, i był podły, przylepiony do ich twarzy zdawkowy uśmiech służalców. A para za parą, para za parą w wyzywających przegięciach i splotach wysunęła się do ostatniej z gabinetu i wsiąkała powoli w złocono-białej perspektywie salonu. Ciągnęła je, wabiła, namawiała kuszącymi dźwiękami muzyka coraz drażliwsza, coraz bardziej denerwująca.

Pan Jacek został sam ze stygmatem bolesnego smutku na ustach. Wył mu w duszy ból straszliwy, mózg przewiercała ostra świadomość: oto Polska, Polacy, kobiety... Polki...

Oderwał się od biurka, chciał wyjść. Wtem oczy jego padły na ramkę z fotografią Sfinksa, której tak często przyglądał się Mglawicz. Zawahał się, po czym szybko podszedł do biurka, wziął fotografię i przysunął ją do oczu.

– Skąd on to ma? – zapytał bezwiednie.

Nagle spostrzegł, że fotografia jest bez szkła i odchodzi nieco od ramki. Odchylił brzeżek kartonu, spojrział wewnątrz i – zdumiał. Pod wizerunkiem Sfinksa była fotografia Strzemskiej. Pan Jacek nie znał tej podobizny. Obok na kartonie były tylko duże, energiczne litery Strzemskiej: H. S. Borkowo, po czym data i rok. Twarz kobiety miała w sobie niezwykłą promienność, jaką daje złuda czy szczęście istotne. Pan Jacek wpatrzył się uważnie w wyraz tych znanych sobie a zagadkowych oczu. Był w nich promień, ale i jakiś niepokój, jakaś lekka trwoga.

Teraz jest inna, zupełnie inna – pomyślał.

A po chwili mówił do samego siebie cichutkim szmerem ust, jak szeptem własnego serca:

– Moja wizja... wizja mojej młodości...

Szybko postawił ramkę na biurku, lecz znowu ją wziął gorączkowo do oczu z jakimś nabożeństwem. Na odwrotnej stronie fotografii Sfinksa był umieszczony ręką Mglawicza krótki napis: „Oderwij myśl moją od niej i... śmieję się.”

– Więc to nie ona przysłała mu tę podobiznę?...

Wolno odstawił ramkę i patrzył na Sfinksa.

Kamienna twarz stróża pustyni śmiała się istotnie zjadliwym uśmiechem.

X

Na usilne prośby Mglawicza pan Jacek zdecydował się pozostać. Nie był pewny, dlaczego ekscelencja go zatrzymuje, ale przeczuwał w tym tylko Strzemską. Mglawicz widocznie nie chciał utracić z nią bodaj pośredniego kontaktu. Pan Jacek miał także swój cel wytknięty i dlatego został na stanowisku. Kwestia mieszkaniowa upadła, gdyż Sybirak był niewzruszony, dzięki czemu wyrzucona na bruk rodzina zajęła na powrót swój lokal. Powiedziano jej uprzejmie, że poselstwo nie przyjechało jeszcze, a jeśli przybędzie to zajmie inny, bardziej dogodny lokal.

Pan Jacek nie przypuszczał nawet, że tak dyplomatyczne wybiegi mogą być używane przez ludzi, którzy zajmują najwybitniejsze stanowiska i mają się kierować zasadą praworządności. Wytknął to kiedyś Mgławiczowi, ale ten odparł poważnie:

– Musimy być uprzejmi i konsekwentni, a uprzejmość niekiedy opiera się na wybiegach.

Pan Jacek pracował gorliwie i wnikał we wszystkie sprawy tak ogólne, jak i te, które rozstrzygały się w gabinecie Mgławicza. Często, dzięki odmiennemu punktowi widzenia, nie mógł pogodzić się ze sposobem załatwiania spraw przez swego szefa i nie wahał się protestować gorąco, używając swego wpływu na ekscelencję. Sucha odmowa i niewzruszona postawa Mgławicza nie zrażała go, przeciwnie, trwał w przekonaniu, że i jego słowo kiedyś zwycięży.

Tymczasem zatargi następowały pomiędzy nimi coraz częstsze i gwałtowniejsze. Mgławicz nie lubił czujnego oka swego sekretarza i odwagi jego słowa. Pan Jacek zaś widział, że ekscelencja stanął na niebezpiecznym szczycie, powrót jest już trudny, grozący runięciem w otchłań własnej ambicji. Walka między nimi trwała uparta, aż wreszcie przeszła z gabinetu ekscelencji na szeroki teren jego działalności. Wpływ sekretarza nieznaczny a jednak wyraźny spostrzeżono w kołach otaczających Mgławicza i – zapadł wyrok tajny, którego mocą należało jak najrychlej pana Jacka odsunąć. Pan Jacek czuł dokoła siebie atmosferę wroga, wiedział o intrygach knowanych przeciwko niemu, widział niekiedy gwałtowną niechęć Mgławicza, jednakże taktem swoim i powagą zwalczał grożące mu niebezpieczeństwa, a nieustraszoną wrokiem bystro patrzył na sprawy i coraz nowe wykrywał tajemnice. Posiadał z natury duży zmysł przecuciowy. Po wielokrotnych odkryciach pobudzał go do żywotności, i doszedł do wyników nadzwyczajnych. Optymizm dawny zamierał w nim jak kwiat subtelny w zatechłej piwnicy, więc pan Jacek chuchał nań z gorącym pragnieniem zatrzymania go przy życiu. Ale spostrzegł ze smutkiem, że to już na nic, pesymizm brał górę, rozkwitał, bo zasiłały go potężne soki życiodajne, krążące dokoła obficie.

Pewnego razu odwiedził pana Jacka Ezop Jerzejski. Radość była obopólna. Ezopa zaciekało bardzo stanowisko kolegi, sekretarza przybocznego tak wysokiej figury, jaką był Mgławicz. Pan Jacek, szykując wodę na herbatę i krzątając się koło skromnych zapasów, opowiadał koledze wrażenia swoje. Ezop powtarzał nowinki i wiadomości wiejskie, po czym jął się skarżyć na to, że pan Jacek wyjechał z Jerzejek wtedy, gdy tam, a zwłaszcza w Zaolchniowie, byłby potrzebny. Mianowicie: Ożarczyk coraz natarczywiej narzuca chłopom swoje doktryny i podburza ciemne umysły; starosta dzielnie akompaniuje tej robocie, schowany za parawan domniemanej bezstronności zwłaszcza wobec obywateli. Ożarczyk szczególnie się rozpanoszył, gdy skarga proboszcza do sejmu za awanturę podczas pochodu i bezczelność wystąpienia posła w kościele nie dała żadnych wyników.

– Zatuszowali sprawę związkowcy i basta! – mówił Ezop. – To siła, walka z nią jest trudna.

– A ja sądzę, że to nie siła, jak mówisz, ale jad krótko żyjącej zmił; trując innych sama ginie – odrzekł pan Jacek. Na jad, wszczepiony w ludzi, znajdzie się antydot ratunkowy i ocali ich od zguby, ale bestia, zadająca truciznę, zginie z konieczności.

– Daj Boże, tylko że to nieprędko nastąpi.

– Prędzej niż przypuszczasz, bo musi przyjść przejrzenie.

Ezop uśmiechnął się smutnie.

– Widzę, Jacuś, że ty jeszcze niezupełnie wzięłeś rozbrat z optymizmem dawnym, choć już teraz patrzysz okiem czystym, mniej masz złudy poprzedniej.

– To wpływ tutejszy, ale wiary w przyszłość boję się stracić i nią podtrzymuję ducha. Wybawiciela Polski, tego wodza, który ją z mgły i mętów wywiedzie, dotąd wśród nas nie widzę, ale on przyjść musi i wtedy ta bestia zostanie zgładzona, ta bestia wszelkiego zła, co się dziś sroży.

Umilkli na długą chwilę, Ezop zapalił fajkę i siedział skurczony, patrząc na deszcz, siekący w szyby okien. Pan Jacek zapatrzył się także w okno. I była sekunda, jakby muśnięcie złego podmuchu wiatru, że zdało mu się, iż to siecze deszcz w zakratowane okna cytadeli, ongi, przed laty.

– Wówczas byłem tak młody – szepnął w zadumie pan Jacek.

– Kiedy, Jacuś?...

– Wtedy, gdy mi pierwszy raz podcięto skrzydła w kazamatach.

– Pisałeś mi raz – rzekł Ezop – że bywasz dość często na posiedzeniu w sejmie, ale nie wyczułem w twoich listach zadowolenia.

Pan Jacek machnął ręką.

– Zadowolenia? Ach, mój drogi, cieszyłem się jak dziecko, pamiętasz w Jerzejkach – że mamy sejm, istotę jego, jego treść i rząd. A wracając z posiedzeń, mogłem się cieszyć tylko gmachem sejmowym u nas, faktem, że jest sejm. Ale jaki on?... Wracałem często zdrętwiały z wewnętrznej trwogi. Odnosiłem wrażenie, że demon zła zamąca umysły, by krzewić niezgodę i straszną dysharmonię między ludźmi wprowadzić. Często powstrzymywałem się, by nie krzyknąć na galerii: „Stronność! Fałsz! Bezczelność kłamliwa”... Są tacy, co grożą rewolucją, która ma zapukać do drzwi sejmowych, a sami rewolucję i kłamstwo wprowadzają do obrad.

Pan Jacek dolał koledze herbaty i zaczął mu opowiadać o kilku posiedzeniach, przytaczając charakterystyczne fakty. Wreszcie rzekł:

– Bezład i ograniczoność jednych posłów, zagorzałość, partyjność drugich, dzikie wraski, hańbiące przeciwne obozy ze strony trzecich, niesforność, zamęt, niesprawiedliwe oszczerstwa przerażają, rodzą smutek i żal, że tak jest u nas. Każdy głos umiarkowany w sejmie nie ma posłuchu, każdy trzeźwy wniosek posłów, myślących rozumnie, bojkotowany jest z zaciekłością. Mój szef, Mgławicz, wyraża nieprzychylną opinię o posłach najbardziej godnych uznania. O, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie rodaków wyzwolonych, inne spodziewałem się zastać ideały i dążenia społeczne. Nie wolno wątpić, ale nie można ufać terażniejszości i być spokojnym.

– Czy i szefowi swojemu już nie ufasz? – spytał Ezop.

– Nie ufam od dawna. On dąży za przykładem innych do kariery i jeśli go coś trzyma jeszcze na poziomie uczciwości, to tylko Strzemska. Ona jest właśnie jego hamulcem.

– Wiec Mgławicz ciągle widzi w niej bożyszczko swoje? Słyszałem, że tak było przedtem...

– Zdaję się, że tak jest i dzisiaj.

– A... dla niej?

– Nie wiem. Ją otacza tajemnica, zatopiona w słonecznej powodzi indyjskich mórz.

– Tak, tak – potwierdził Ezop z jakimś dziwnym westchnieniem i zapatrzył się w przestrzeń.

Starzy przyjaciele nie mówili więcej o tym.

Stosunki pana Jacka z Mgławiczem psuły się coraz bardziej i zaostrzały. Obaj patrzyli na siebie z pewną rezerwą i nieufnie. Mgławicz niecierpliwił się. Sybirak posepniał, ale nie tracił nadziei.

Pewnego dnia pan Jacek, zdając Mgławiczowi relację urzędową w jego gabinecie, rzekł nagle:

– Słyszał pan o przyłapaniu przez policję tych kilku niebezpiecznych agitatorów komunistycznych, którzy...

– Owszem, wiem – rzekł szybko Mgławicz, przeglądając papiery.

– Ależ to komedia, proszę pana, daję się wyrazić w staropolskim przysłowiu: „Złapał Kozak Tatarzyna – a Tatarzyn za łeb trzyma.” Nieprawdaż?

Mgławicz podniósł głowę i spojrzał na pana Jacka wzrokiem zdumionym.

– Nie rozumiem, dlaczego pan to nazywa komedią. Wszak to czyn dodatni i pożyteczny dla kraju...

– Chyba dlatego – pochwylił pan Jacek – że pieniądze z lewej kieszeni pójdą do prawej i odwrotnie. To chyba nie tajemnica dla kancelarii ekscelencji i dla ogółu, który sowicie opłaca szerzenie wśród szerokich mas haseł komunistycznych.

Mgławicz zmarszczył się.

– Propaganda tych haseł – mruknął – ma zgoła inne cele.

– Ee... bądźmy ze sobą szczerzy, ekscelencjo. Nie obwijajmy w bawełnę prawdy. Zbadalem te rzeczy i znam je. Komunizm, a właściwie nazwijmy go bolszewizmem, głównie ma na celu walkę ekonomiczną, a wszakże dąży się u nas do zniszczenia kapitalizmu i własności bez względu na straszne skutki tego dla państwa. Tymczasem własność i inicjatywa prywatna wtedy tylko mogłyby ustąpić na rzecz chociażby kolektywizmu, gdyby każdy obywatel ztracił swój egoizm, do czego znów Polacy nieprędko dojdą. Zresztą, czyż ci, co stoją u steru władzy, nie rządzą się również egoistycznymi zasadami i nie wyrzekają się nie tylko własności prywatnej, a więc środków kapitalistycznych, lecz nawet luksusu, zbytków?

– Trochę pan szarżuje – słabo odparł Mgławicz.

– Ekscelencjo, mówmy otwarcie. Kto zajmuje u nas najwybitniejsze stanowiska? Wszak głównie karierowicze, to jest ci, którzy lecą na order, tytuły i odznaczenia, majątki i wszelkie tym podobne przywileje. A któż im na to daje? Kraj cały i protekcja z góry. Kogo wyyskują na pokrycie ich zbytków? Społeczeństwo całe. Więc czyją krzywdą żyją ci pionierzy wielkich programów i haseł? Tylko krzywdą ojczyzny.

Pan Jacek wymienił znane nazwisko ze sfer sejmowych.

– Wszak pan wie, że on kupił sobie już kilka majątków i to przez czas swego urzędowania. Za co on je nabył, ekscelencjo? Ach, wiemy obaj dużo!... A jednak ten sam człowiek gardłuje za obniżeniem kapitalizmu i za ruiną własności prywatnej. Czy jest w tym logika, czy jest sprawiedliwość i... sumienie? Takich liczymy wielu. A na Górnym Śląsku miliony, płynące z ofiarnych dłoni ludu polskiego i nie tylko ludu, bo całego narodu – czyż poszły w całości na cele przeznaczone? Ileż wsiąkło w kieszenie całkiem niepowołane... Pseudoideowcy dużo skorzystali osobiście, o tym wiemy wszyscy, ale się o tym milczy.

– Pan robi dochodzenia, nie wchodzące zupełnie w zakres jego działalności i pracy – sarknęła Mgławicz już zirytowany.

– Jestem Polakiem i szczerze kocham ojczyznę, a dobry Polak powinien wszystko widzieć, na nic nie zamykać oczu. Każdy szczegół czy szczegółik – to cegła, to grudka gliny na nowy gmach Polski. Więc gdy się te szczegóły kradnie, a w zamian daje zlepki cuchnącego błota, to już jest korupcja. U nas korupcja rozwieliżniła się i podkopuje gmach polskości.. Jeśli się tego nie ukróci, jeśli pójdzie tak dalej, to sami zabijemy powtórnie cudem zmartwychwstałą ojczyznę i wciągniemy ją do grobu ręką świętokradzką, bo jak mówi Krasiński: „drobnych podłości nie ma, najdrobniejsza już jest morzem hańby”...

Mgławicz wbił oczy w zwój papierów, leżący na biurku. Lekko drżał, na twarzy wystąpiły mu ogniste wypieki. Przeżuwał w sobie wstyd, czy toczył walkę jakąś wewnętrzną? Może słowa pana Jacka, którym w duchu przyznawał słuszość, dotknęły go i obudziły w nim uspięone uczucia, a może bał się, aby Sybirak zbyt otwarcie nie zaczął oświetlać dróg, które łatwo prowadzą do stanowiska... ekscelencji i kariery.

Ale pan Jacek milczał. Wiedział dobrze, że doszedł do progu, poza którym już tylko pozostała wymiana nazwisk i spraw, zbyt bliskich kancelarii Mgławicza.

W tej chwili wpadł do gabinetu woźny i wręczył ekscelencji dużą kopertę, starannie olakowaną. Pan Jacek zauważył na kopercie szeroki napis z prokuratury, a niżej dużymi grubymi literami: „Tajne – pilne – polecone!” Wstał i wyszedł do swego pokoju niespokojny. Napis z prokuratury zaintrygował go. Zasiadł do pracy, lecz myśl przykra trapiła go. Pod jakimś pretekstem wszedł znowu do gabinetu.

Mgławicz siedział przy biurku niezwykle wzburzony i blady. Czytał, a gdy pan Jacek zbliżył się do biurka, chwycił dokument i podając go Sybirakowi, zawołał tonem oburzenia:

– Czy pan widział coś podobnego! Patrz pan! Czytaj pan!
 I zaczął chodzić szybko po gabinecie.
 Pan Jacek spojrzął na dokument, przeczytał i wstrząsnął nim dreszcz zgrozy.
 – Ułaskawienie?!
 Mgławicz przystanął i zamiast odpowiedzi wzruszył gwałtownie ramionami.
 – I cóż pan zrobi z tym, ekscelencjo? Wszakże to byłaby...
 – Ja mam to podpisać! Podpisać! Rozumie pan? – wybuchnął Mgławicz.
 – Ależ to krok nieobliczalny w skutkach, to potworne! – krzyknął Sybirak. – Pan tego zrobić nie może!

Nagle ostro zadzwieczał telefon.
 Mgławicz rzucił gorączkowymi oczami na pana Jacka i drżącą ręką ujął słuchawkę.
 – Hallo!... Tak... Przyniesiony przed chwilą. O ułaskawienie... Konieczne?... Natychmiast... Ależ czy to definitywnie postanowione?... Tak, tak... To piekielnie ryzykowne!... Co? Co? Jak?! Nie rozumiem. Rozkaz bezwzględny?...

Mgławicz rzucił się na fotelu konwulsyjnie, twarz mu zapłonęła ogniem, powtarzał już bezwiednie słowa słyszane w aparacie i sam je komentował.
 – Bez sprawy... bez sądu... Rozkaz stanowczy... Jaki cel! Toż to jest zbrod...
 Oderwał słuchawkę od ucha i raptownie znowu ją przyłożył.
 – Tak... tak... tak...

Słuchał jakiegoś perorującego głosu z namarszczoną brwią i dziwnym wyrazem twarzy o zaciśniętych, drżących ustach. Powoli jednak twarz zaczęła mu się wygładzać w sybarytyczny wyraz spokoju, raz mignęła w oczach nuda, potem wargi okolił sarkazm. Wreszcie poruszył się niecierpliwie na krześle i, przerywając donośny w telefonie głos, rzekł głosem zimnym, suchym:
 – Dobrze. Będzie.
 Odłożył słuchawkę.

Pan Jacek nie spuszczał z niego oczu badawczych. Odczuł, że ekscelencja żałuje już teraz poniewczasie, że popchnięty pierwszym odruchem szczerości wtajemniczył w tę sprawę sekretarza.

Mgławicz siedział sekundę kamienny, po czym wolno, jakby z namysłem i wahaniem wziął pióro do ręki i wpatrzył się w dokument.
 Pan Jacek drgnął. Utkwił magnetyzujący wzrok w ekscelencję i czekał.
 Znowu przeszła sekunda okropnego niepokoju, jakby zawieszenia sytuacji. Lecz natychmiast nadpłynął z przestrzeni prąd nowej energii i – Mgławicz ocknął się. Umoczył pióro w kałamarzu i rzekł z przymuszonym uśmiechem:
 – Hipnotyzuje mnie pan, może słusznie, lecz ja... podpisać muszę.
 Pan Jacek chwycił go za rękę.
 – Nie! Nie! Pan tego nie zrobi bez poprzedniego zbadania tej sprawy!
 – Ależ ja tę sprawę nieszczęsną dziś muszę oddać załatwioną, dziś, zaraz.
 – Nie! Pan jest Polakiem i pan czuje, że byłaby to korupcja moralna. Trzeba mieć w sobie arystokratyzm duchowy, swój własny, nie zaś być biernym narzędziem partyjnego obskurantyzmu. Proszę odmówić podpisu, to pański obowiązek, ekscelencjo! Wykazać trzeba całą grozę czy omyłkę niepojętego rozkazu.
 – Pan wie, czym to pachnie? – wybuchnął Mgławicz.
 – Wiem, oświecił pan sprawę, którą trzeba zdemaskować.
 – I... dostanę dymisję.
 – To będzie tylko zaszczytne dla pana, to dowiedzie, że pan jest człowiekiem myśli i nie daje się prowadzić na pasku ich woli.

Pan Jacek wzburzony do głębi jął przedstawiać Mgławiczowi całą potworność sprawy. Mgławicz zamyślił się. Znać było, że gorące słowa starca znalazły oddźwięk w zachwianej

duszy ekscelencji. W oczach miał ból. Pan Jacek odczuł to i zaczął wyjawiać bez osłon całą genezę niszczycielską omawianego przedmiotu, wróżąc groźne konsekwencje na przyszłość.

– Przesadza pan! – ostro przerwał Mglawicz, znowu jakby ocknięty udarem jakiejś siły.

– Pan wie doskonale, że mówię prawdę! Pan to sam rozumie wybornie! – zawołał Sybirak.
– Pan się sam na to oburza!

Zaczęła się niezwykle ostra wymiana zdań. Pan Jacek używał argumentów dosadnych, groził, wreszcie błagał. Zdawało się chwilami, że Mglawicz jest już przekonany i że ustąpi. Sybirak modlił się o to w duszy i wyczerpywał dowodzenia dyskredytujące sprawę. Wiedział już, że Mglawicz rozumie jej niejasność, że i jemu nasuwa się konieczność zareagowania na nią, ale że jednocześnie uzależnia się on ze względu na swoją partię i stanowisko, jakie zajmuje. Dyskusja zaostriżyła się ostatecznie. Pan Jacek odczuł, że i tu, jak wszędzie, przeważa egoizm osobisty, niwecząc dobro ogólnopaństwowe. Zapanowała znowu chwila naprężonego oczekiwania ze strony pana Jacka i wahania ze strony Mglawicza. Zda się fale magnetyczne przepływały z oczu Sybiraka w spuszczone powieki ekscelencji.

Wtem wbiegł woźny i zameldował:

– Pan Brus.

Mglawicz pobladł gwałtownie i zerwał się z fotela.

Do gabinetu wszedł szybko osobnik, znany już dawnej panu Jackowi. Przybyły powitał Mglawicza uściskiem dłoni, skinął głową w stronę pana Jacka i rzutem ciekawego wzroku ocenił sytuację.

– Przyjechałem umyślnie po dokument. Rzecz jest bardzo pilna – rzekł głucho.

Mglawicz milczał.

Brus spojrzał na niego szeroko otwartymi mętnymi oczami i pochylił się nisko nad dokumentem.

Mglawicz stał sztywny jak z bryły lodu. Pan Jacek patrzył na obydwóch z trwogą. Uderzył go zupełnie odmienny wyraz psychiczny, wryty na twarzy każdego z nich. Bezwiedna sympatia pana Jacka przechyliła się na stronę Mglawicza.

On jest wciągnięty... może już beznadziejnie... – pomyślał.

Brus podniósł szybko głowę i spojrzał chmurnie na Mglawicza.

– Dotąd nie podpisany? Co to jest? Przecież mówiłem wam przed chwilą przez telefon!

Mglawicz milczał.

– Ha! Przeczuwam wiele od dawna i... widzę...

– Ruinę Polski! – zawołał pan Jacek surowym głosem. – Kopiecie pod nią przepaść takimi oto sprawami!

Brus wyprostował się dumnie, wpił straszne swe oczy w pana Jacka.

– Jak pan śmiesz! – krzyknął.

Zwarli się oczami jak sztyletami.

Nagle Mglawicz, nie podnosząc powiek, jakby się lękał spojrzenia swego sekretarza i korzystał z chwili, śmiałym, zdecydowanym, prędkim ruchem podpisał dokument.

Pan Jacek przerażony chwycił Mglawicza za rękę.

– Dla partii zdradza pan ojczyznę! Cofnij pan to, ekscelencjo! Jeszcze czas! Na Boga, cofnij swój podpis, zmaż go, wydrzyj, poszarp ten papier! Bądź Polakiem!

Sięgnął ręką po dokument, ale Mglawicz go uprzedził. Był już wściekły.

– Ani się pan waż! – warknął. – Dostyc mam pańskiego terroru, pańskich wpływów! Nie pozwolę się wyzuczyć ze swoich przekonań...

– Nie przekonania! Nie! Dla kariery! – wybuchnął pan Jacek. – Rozumiem. Uczciwy Polak rzuciłby ten dokument i podał się do dymisji, a pan wybiera zaszczyty... niezaszczytne...

– Milcz pan! – syknął Mglawicz strasznym, przyduszonym głosem. – Nie ma pan prawa wnikać w moje czyny!

– Jak wy możecie pozwalać na taką bezczelność swojemu podwładnemu! – zawołał Brus.

– W tej chwili nie jestem już podwładnym ekscelencji, ale nawet będąc nim, nie wyrzekalem się nigdy imienia Polaka dla kariery. Dość mam tej waszej obskurnej roboty. Szarpiecie Polskę, a mnie to zbyt boli. Zbyt rani. Służyć nie mogę i nie chcę człowiekowi, który na takie rzeczy daje swoją sankcję. Żadnego musu, żadnej presji na to nie ma. Pan chce zachować stanowisko swoje i dostojeństwa pomnożyć, ja zaś pragnę mieć czyste sumienie. Proszę o dymisję .

Zaległa cisza. Mgławicz miał oczy wbite w ziemię, mękę okrutną na twarzy. Brus rzucił się do pana Jacka z obelżywymi wyrazami, ale ten powstrzymał go surowym, przejmującym spojrzeniem. Po czym podszedł prędko do Mgławicza, ujął serdecznie w obie dłonie zwieszoną bezwładnie jego rękę i uściśnął ją gorąco.

– Żegnam pana i wierzę, że wkrótce sam pan zedrzesz bielmo z oczu swoich – rzekł z uczuciem.

Mgławicz nie odrzekł ani słowa.

Pan Jacek odstał, skinąwszy lekko głową Brusowi, a znajdując się już w progu, rzekł do obydwóch:

– Bielmo to zedrzenie wszyscy, aby tylko nie za późno dla ojczyzny!

I wyszedł cicho z gabinetu.

XI

Pan Jacek na własną prośbę przestał zajmować stanowisko sekretarza Mgławicza, ale nie przestał śledzić i bojkotować wiadomej sprawy. Pojawiło się kilka artykułów jego w jednym jedynym piśmie niezależnym, jakie znalazł w prasie stołecznej. Pan Jacek demaskował śmiało działające osoby, wykazywał szkodę wyrządzaną ojczyźnie przez ich niepraworządność, piętnował sprawców, nawoływał społeczeństwo, aby nareszcie otworzyło oczy na przepaść otwartą przed sobą.

Uogólniając wiadomą sprawę pisał:

„Władza według ostatnich teorii i zasad wiedzy prawnopaństwowej winna być niezależna od wszystkich innych władz, jakie są w państwie, a szczególnie od wszystkich innych, istniejących w państwie organizacji społecznych, gdyż cele tych ostatnich nie mogą być ogólne a tylko, jak widzimy, cząstkowe. Gdyby inna władza miała być wyższą, *eo ipso* ona stałaby się władzą państwową lub też musiałaby ustąpić na korzyść tej, która ze starcia tych władz wyłoniłaby się. A u nas co się dzieje? Czy u nas w Polsce jest władza naczelna i zwierzchnicza? Niby tak, lecz tylko nominalnie, bez powagi i właściwego znaczenia. Poszczególne instytucje rządowe wydzierają sobie tę władzę, kwestionując prawa jedne drugim. Gorzej jeszcze, że wchodzi tu w grę prawa związków, których decyzje rozmyślnie władza wykonawcza stawia przed wolą rządu, szczególnie gdy chodzi o sprawy na tle strajków. To obniżanie władzy państwowej nie wynika bynajmniej z tego, że jakoby wszystkie początki są trudne, a państwo dopiero się organizuje. Im dalej idziemy w przyszłość, tym gorzej, tym większa się chaos, deprawuje się w nim dusza urzędnika i obywatela przez wzajemną nieufność, chęć wyzysku jednych przez drugich i nienawiść.

„Im gorzej, tym lepiej” – głosi zasada wywrotowców. Plan ten wewnątrz państwa jest widoczny i jasny w bardzo wielu wypadkach.

Żadna z zasad, mająca na względzie jedność, potęgę państwa i t ad wewnętrzny nie została przez czynniki tworzące państwowość polską uwzględniona. Przeciwnie, robi się wszystko, co prowadzi do zguby państwa jako organizmu społecznego. Ignoruje się państwo polskie w jego przyszłym rozwoju jako jednostkę społeczną i uważa się ojczyznę naszą za teren do samodzielnego na niej eksperymentów socjalistyczno- bolszewickich, aż Polska stać się może efemerydą, mocą bez znaczenia.”

Mając teraz dużo wolnego czasu, pan Jacek napisał osobną broszurę, w której poruszył wszystkie znane sobie sprężyny życia społecznego, politycznego i ekonomicznego w Polsce. Od szczegółowych spostrzeżeń przechodził do syntezy ogólnej, rzucał światło na przyszłość państwa polskiego, które wyłoni się dopiero wtedy, o ile zarazki obecnej doby nie skarłowacieją go, pozostawiając Polsce tylko – narodowość. Broszurę wydał własnym kosztem, za oszczędności swoje, poczynione w ciągu ośmiomiesięcznej pracy w gabinecie Mglawicza. Dopomógł mu trochę Ezop, zainteresowany bardzo działalnością kolegi.

Broszury żadna firma księgarska wydać nie chciała: za wiele było w niej prawdy, podawanej bez ogródek. Pan Jacek badał wszelkie gałęzie i sfery, bezstronnie wykazywał partyjność grup naczelnych i panujący tam snobizm, a nawet burżujskie zakusy przy wręcz przeciwnych ideałach, jakoby zasadniczych. Marazm i bierność władzy przystosowywał do ogólnej ślepoty w społeczeństwie, będącej już niemal epidemią. Piętnował paskarstwo rozwielnione bezkarnie tak na bruku Warszawy jak i na prowincji, nie tylko wśród chłopów, lecz i pośród wielu obywateli-obszarników. Sybarytyzm ludzi bogatych, zapatrzenie się sobkowskie we własne interesy bez duchowego odczucia interesów ogólnonarodowych stawiał jako przyczynę nieufności do sfer kierowniczych, bo one rozczarowują, wytwarzając zbyt duży rozdział pomiędzy hasłami a czynami. Faworyzowanie swoich sojuszników i sympatyków, wyróżnianie ich znamienne, wzbudza niewiarę i podejrzenie, że chodzi tu głównie o cele osobiste. Pan Jacek zbadał także i wyraził w swej książce przykre stosunki na wsi między ludem a obywatelami, którzy są trapieni przez związki robotnicze, żądające często nadmiernie od właścicieli. Zły, bolszewizmem podszyty, nastrój służby dworskiej, częste strajki, ciągnięcie obywateli po sądach rozjemczych, brutalność tak robotników jak i delegatów, a przy tym kradzieże, będące powszednim chlebem robotników wiejskich i służby, niesumienność rzemieślników, nadmierne żądanie płac a mała wydajność pracy wytworzyły wzajemną niechęć i ciągłe zatargi. Dysproporcja wynagrodzenia robotników i pracy fizycznej z bezprzykładnym niedocenianiem inteligencji, wywołało znowu rozpanoszenie się chamstwa w stopniu zastraszającym i groziło ruiną kultury narodowej. Wszystko, co było związane z władzą i kierunkiem kraju, nie miało poparcia i zaufania w narodzie. W tym pan Jacek widział groźny bakcyl zła. Wyjawiał nadużycia, będące często wyraźną defraudacją, które jednakże albo nie rażą władz, albo też bywają zatuszowane zręcznie, wedle rosyjskiej znanej recepty: „końce do wody”. Pan Jacek ogłaszał kilka faktów, zatopionych w ten sposób, gdyż tyczyły rozkazów naczelnych. Strona etyczna i moralna społeczeństwa, rozluźnianie obyczajów, rozpusta jawna i tajna, upadek stopniowy a groźny powagi i znaczenia rodziny i bardzo często w sferach niższych i najwyższych legalizowana wolna miłość, zamięłowanie kobiet i mężczyzn do wyuzdanych zabaw i bezwstydu, wszystko to poruszał pan Jacek w broszurze swojej ręką śmiałą. Zwracał się przy tym do arystokracji polskiej, wzywając ją do otrząśnięcia z siebie zapleśniałej gnuśności. Bez ceremonii czynił jej gorzkie wymówki za bierność w sprawach państwowych, za oglądanie się tylko na swoje własne nieszczęścia z powodu utraty obszarów ziemskich, głównie na kre-sach.

„Nazwiska tych potentatów – pisał – znane są obecnie przeważnie z went i figurują na listach balowych, gęsto przeplecione nową litanią nazwisk, tworzących almanach typowo powojenny. Powstał on nawet nie z dawnej plutokracji, ale z paskokracji i partyjnokracji. Pa-

noszy się i rośnie w bogactwa ten nowy żywioł w Polsce, będący jej szczurami, bardzo mnożny i żarłoczny. Arystokracja, zrujnowana terytorialnie, nic już z siebie osobiście dla kraju nie daje, uważając widocznie, że poświęciła swoje dobra i pałace rozgromione przez bolszewików, a to wystarczy. Do działań ideowych ani utylitarno-rzeczowych nikt się z karmazynów nie porywa, oprócz tych kilku, którzy w kraju i w Paryżu reprezentują mniej lub więcej udolnie niedorosły jeszcze do swoich przeznaczeń intelekt państwa polskiego.”

Broszurę swoją zatytułowaną „Polska w odmęcie” Sybirak kończył słowami napomnienia i nadzieją:

„Już wielki czas, aby iść silnym chodem naprzód i powstawać, już za długo trwa ospałość o świecie naszego dnia. Obyśmy wschodu słońca nie przespali, bo wówczas nie złote południe, ale ponury wieczór nas czeka. Trzeba wzlatywać, my zaś upadamy, trzeba się odradzać, a my gnuśniejemy, trzeba pracować cicho i skromnie, my przeciwnie, za głośno gardłujemy, lubując się we wrzaskliwych hałasach bez treści, przy zaniku duchowości i moralności, przeto *zwycięstwo* nie otwiera jeszcze przed nami swej złotej bramy tryumfalnej. Jeszcze te błogosławione wierzeje zamknięte szczelnie dla nas. Nie umiemy zasłużyć sobie na ich otwarcie. Bezmyślne, hałaśliwe kołatanie do niczego nie doprowadzi. Młodzież polska, gdy się kształcić będzie i Boga z serca nie wyrzuci – wskrzesi jej ducha, ducha Polski. Ach, gdyby Polska nasza stać się mogła wyrazicielką jakiej wielkiej myśli dziejowej, o czym marzyli wieszczowie nasi. Gdybyśmy choć za dni naszego żywota widzieli, że wступujemy w okres samowiedzy ogólnonarodowej, żebyśmy zrozumieli, że byt narodowy jest niezbędną koniecznością, jak ziemia dla kwiatu, jeżeli ten kwiat ma zajaśnieć blaskiem tęczy! Te sto lat niewoli tyle pięknych myśli na ten temat wydało, tyle tęsknot, że cud się stanie i Polska będzie zbawicielem narodu. Oto przyszła rzeczywistość naszego odrodzenia i co widzimy?... jak chwasty narodowego egoizmu, partyjności, a przede wszystkim i tak często podłości, głuszają nie tylko rozwój tego kwiatu, lecz nawet jego istnienie. Czyż zielska ohydne zabijają istotnie tę wątłą roślinkę, jaką jest jeszcze ojczyzna nasza?... Czyż niszczycielskie dłonie, czynne w nawie naszego państwa, rozmyślnie te zielska rozsiewać będą, aby zatrwały ojczyznę?... A jednak dotąd wszystko idzie w tym kierunku i tylko zostaje wiara we wszechmoc Bożą, wiara, że przecież na darmo Bóg nam ojczyzny nie wrócił. A wszakże oprócz zielsk i chwastów trujących istnieją w duszy polskiej cudne rośliny marzeń, wszechludzkich ideałów, rośliny szlachetne, one mogłyby wydać plon, gdyby tylko można było stworzyć warunki ich rozwoju. Krasziński mówi (w liście do S. Małachowskiego): »Noc poprzedzająca wschód nowych słońc zwykle bywa niewymownie straszną i czarną.« Więc wierzyć nam trzeba, że słońce nowe wszędzie, ale teraz jest noc czarna i straszna. My, Polacy, nie opóźnijmy wschodu słońca. Woła ku nam duch wieszczów słowami jego: »na walkę, bracia, na jasność bez końca wyście skazani. W ciepłym świetle słońca zwierzętom igrać, lecz wam – działać trzeba. A przez czyn ziemi przychylcie nieba.«”

Kolportacją swej broszury zajął się pan Jacek sam, z pomocą kilku osób znajomych i piśma codziennego, drukującego przedtem jego artykuły. Mimo to poczytność broszury rosła.

Ezop sporo książeczek rozpowszechnił na wsi, gdzie mu dopomagał proboszcz i obywatel, sąsiad z Zaolchniowa. Ten, gdy przybył do Warszawy, odwiedził pana Jacka i jął mu wieszować.

– A co bracie! Tęgą walkę rozpocząłeś. Dobrze! Przekrop tam porządnie ich szatańską moc, a i o swoim byłym szefie nie zapominaj. To zdrowy numer! Na rękach swojej kliki wyniesie się wysoko, depcząc po karkach społeczeństwa. Ale on klapnie, zobaczysz, klapnie własnym ciężarem, bo zanadto gwałtownie rośnie i pychę się nadyma, tak, jak oni wszyscy.

– A cóż Ożarczyk i starosta? – pytał pan Jacek.

– Mówił ci pewno Ezop, że starosta już pękł. Stracił cały swój dorobek wpływowy. Krótko mówiąc, zbankrutował. A Ożarczyk? Boi się nowych wyborów do sejmu, bo jego mandat zdaje się klapnie, jak twój szef w przyszłości, panie Jacku. Już skoro go Strzemska nie nawróciła, tedy i tyś nie potrafił.

Pan Jacek zdziwił się.

– Skąd pan wie o tym?

– Toż wiadome, że on się w niej kochał, a może i jeszcze kocha. Ale ona miała w sobie ducha oraz ideę inną, nie dbała o Mgławicza. Więc się wściekł. Ona dawno już wyjechała za morza, a on się wpisał w niewielkie już szeregi mędrków-karierowiczów, trzymających się intratnej klamki... chederu. Przecież to jeszcze nie wyższa szkoła te nasze dostojne wyżyny i niezupełnie Chrystusowe ideały piastujące. Ale ty posiadasz żywotnego ducha, panie Jacku, nie gnuśniejesz, zapał twój po dawnemu młody i pełen nadziei.

– Och, zapał a nadzieja to pojęcia nieco odmienne, drogi panie. Zapał mój dzisiejszy już nie ten dawny, młodzieńczy. Ale wątpić w przyszłość nikt z nas nie ma prawa, pomimo że dotąd pełzniemy tylko ku przyszłości, niekiedy cofając się.

– Czekaj, bracie, dobrze napisałeś w broszurze swojej: „Młodzież polska jeśli pójdzie drogą idei Chrystusa, wskrzesi Polskę. Ona dzierży w rękach swoich sztandar przyszłej świetności Polski. Młodzież uczyć i ducha w nią wlewać, nadziei nie gubić. Bogu cześć, diabła za kitę i... uszy do góry. Niewiasty szanować, ale niewiasty uczciwe, bo niewiasta i dzieci to przyszłość naszego narodu i naszego państwa...”

Pan Jacek pisał do Strzemskiej o swoim ustąpieniu z gabinetu Mgławicza, lecz całej istoty jego działalności nie wyjawiał. Halina była dla niego zawsze zagadką i nie chciał jej wyjaśnienia. Pragnął ją zachować w tych mgłach przezroczych, raczej w otoczeniu tajemnicy, dla niego osobiście trochę mistycznej, niż obok Mgławicza, co zdawało mu się profanacją. O ile psychikę Mgławicza względem Strzemskiej zbadał bez trudu, o tyle z niej nic wysondować nie mógł. Fotografie jej z wielkim nakładem uporu wycofał od ekscelencji, lecz zupełnie nie chcąc dowiedzieć się, że były dawane do odbitki w powiększeniu. Napisał o tym do Strzemskiej w formie swobodnej, bez komentarzy, na co ona nie zareagowała ani słowem. Pan Jacek powiedział sobie znowu:

– Albo ją to nic nie obchodzi i machnęła ręką, albo... wzruszyło.

Na ostatnie przypuszczenie owładnęło nim nieokreślone uczucie żalu.

Zaczął się karnawał. Stolica szalała, pomimo wzmożonej drożyzny. Kobiety prześcigały się w strojach, ilustrujących dosadnie poziom intelektualny i etyczny. Młodzież bawiła się hucznie i bardzo kosztownie: zdawało się, że to czasy normalne, że to złoty wiek w państwie.

Pan Jacek patrzył na to wszystko, słyszał o skandalach na tle erotycznym w sferach jakoby najkulturalniejszych, widział szantaże, zbrodnie, cynizm bezczelny, kradzieże na małą i wielką miarę, u małych i wielkich – roztrwianie dobra publicznego. A przy tym żadnej kontroli i ostateczny jej zanik.

Pan Jacek widział przed Polską ponure horoskopy i sam stawał się coraz smutniejszy. Milczenie Strzemskiej pod Sfinksem rozumiał już teraz wybornie. Polska szła ku ruinie, ludzić się nie mógł i wiedział, że jest wielu takich, którzy tę straszną prawdę widzą. W ład i postęp ku lepszemu wierzyli tylko ci, co w jakikolwiek sposób korzystali z obecnej sytuacji lub byli naiwnymi krótkowidzami. Pan Jacek w najlepszych czasach swoich obecnych pod względem materialnym, to jest będąc na posadzie u Mgławicza, widział tak samo i orientował się dokładnie. Teraz był znowu w przykrym położeniu. Posady znaleźć nie mógł, bo nie zgadzał się na każdą, jaką mu proponowano. Pracował trochę w znajomej redakcji, ale pierwszy jego artykuł, zbyt szczery, zupełnie niespodziewanie cofnięto z drukami.

Pan Jacek, zauważywszy już poprzednio pewną zmianę w kierunku pisma, udał się do redakcji z zapytaniem o powód wycofania artykułu. Zaledwie wszedł do gabinetu, gdy redaktor, niezwykle uprzejmy, zaczął mu wieszować wspaniałego pióra, wychwalał artykuł, jego siłę argumentacji i ścisłość faktów. Nie zdziwiło to już pana Jacka.

– Dlaczego pomimo tych walorów, jakie mi pan redaktor przyznaje, artykuł został nagle wycofany?

Na pełnej twarzy redaktora pojawił się zagadkowy uśmiech. Z uśmiechem tym redaktor zdjął binokle i zaczął je wolno przecierać chusteczką. Oczy zmrużył dowcipnie, cedził słowa z rezerwą:

– Bo widzi pan, może tam jest trochę za dużo... prawdy. Tak... prawdy. A to zawsze, szczególnie teraz, nie popłaca. Pan oświetla wiele kwestii, które dyskredytują nie tylko tamte obozy z Mgławiczem, ale... i nasz kierunek. To nie zgadza się z tendencją naszego pisma. My, panie, musimy być konsekwentni. Pan rozumie, nie możemy rzucać cienia na naszą drogę, bo ona jest wszakże jedynie zbawienną i trzeźwą.

Pan Jacek spostrzegł ze zgrozą, że i tu zbaczają na partyjne tory, wprowadzie w innym kierunku, ale także krańcowym.

– Jestem zdumiony – rzekł. – Wasz organ do tej pory był niezależny. Ale zbawienna i trzeźwa byłaby wasza droga wtedy, gdyby szukano na niej prawdy, redaktorze... Wy zaś już także boicie się prawdy, jak pan sam przyznaje? Czyli że wasz nowy kierunek jest już także przystosowany? Podlegacie zarazie grasującej w Polsce i także dążycie do swego celu. Więc w waszym organie mogą być tylko rzeczy pisane w waszym duchu, nie zaś w ogólnopאי-stwowym?

– Na razie do żadnych reform nie będziemy się uciekali – sucho odparł redaktor.

– Bo reformy niweczą niekiedy egoistyczne zakusy, a często czyszczą powietrze zatęchłe partyjnością. Każda klika ma swoje labirynty i nie lubi takiej dezynfekcji. Nie sądziłem, że i redaktor należy do jednej z takich klik.

Redaktor nadał się, był zły.

– Nazywa nas pan niezbyt parlamentarnie... klika.

– Każda partia, w tym czy owym kierunku, wierząca bałwochwalczo tylko w swoje doktryny i odrzucająca myśli inne, ogólne, jest klika. Nie tylko siebie trzeba widzieć w państwie, lecz wszystkich. Napadacie z zawziętością na partię Mgławicza, ale i siebie nie pozwalacie dotknąć i was już kole w oczy.

Redaktor rozparł się na fotelu i ironicznie patrzył na pana Jacka.

– Niech pan spróbuje założyć swoje pismo, a zobaczymy, jaka będzie ta wasza... klika. U nas tymczasem musi się pan stosować do naszych poglądów i kierunków.

– I wylazłszy z jednej partii, wdepnąć w drugą – rzekł Sybirak z goryczą. – Nie, redaktorze, ja narzędziem niczym być nie potrafię, za stary jestem, by zginać kark pod nakazy stronnych żądań dla chleba i przekonania.

Pan Jacek nie mógł dojść z redaktorem do porozumienia i znowu został bez posady. Ale nie bolało go to, że cierpiał niedostatek, lecz bolał go fakt, że prawda ginęła w Polsce i śladu się jej dopatrzeć było już niezwykle trudno. Wszyscy, którzy prawdy szukali, znajdowali albo nędzę, albo miano głupców. Słabsi przechodzili na stronę biernego poddania się.

Po długich poszukiwaniach zarobku pan Jacek dostał posadę na kolei, lecz skoro tylko zaczął wykrywać różne nadużycia i łapownictwa, usunięto go natychmiast. Został potem dzięki niespodziewanej protekcji urzędnikiem sądu, lecz kilka spraw, w jakich sąd ulec musiał nakazom płynącym ze źródeł partyjno-wszechwładnych, tak go oburzyło, że nie chciał na to dłużej patrzeć. Ale los go prześladował. Dostał się potem na posadę obok magazynów, gdzie składano dary nadeszłe z Ameryki dla ubogiej ludności w Polsce. Widział, jak towary te rozkradano, albo jak je za bezcen kupowali ci, co byli wybornie uposażeni i mogli kupić te same rzeczy w sklepach, nie zaś czerpać ze źródeł utworzonych przez filantropię obcego narodu. Wiedziony uczciwością, pan Jacek zwrócił się gdzie należało, żądając sprawdzenia faktu. Patrzono na niego, udając, że nikt nie rozumie o co mu chodzi. Gdy wreszcie przemówił do sumienia jednego z wyższych funkcjonariuszy komisji kontroli i gdy syzyfowymi trudnościami dokonano w magazynach rewizji, okazało się, że składy są puste. Rezultatem dochodzeń władz wyższych stało się nieuzasadnione wydalenie gorliwego kontrolera, a w kilka dni potem wymówiono służbę i panu Jackowi. Był potem w składzie skór na buty dla wojska i bardzo prędko

wykrył różne machinacje spekulantów. Ale gdy widział, że zamiast skór dawano tekturę, specjalnie wyrabianą – wiedziony uczciwością nie umiał tego ukryć przed intendenturą i... stracił w składzie posadę. Pracował w dużym domu komisowym, handlującym zbożem i drzewem, lecz tam rozgoryczało go, że wszędzie spostrzegał oszustwa, paskarstwo i ukrytą lub jawną robotę żydowską. Gdy znowu pewnego razu zwrócił uwagę swego szefa na wyraźną defraudację ze zbożem i drzewem, wywożonym z Polski przez Żydów, został usunięty za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Pan Jacek, oszczędzając sobie na wszystkim, wycieńczył się wreszcie tak że zapadł na zdrowiu. Ale nie leczył się, gdyż lekarstwa były za drogie, niedostępne dla niego. Siłą woli, żelaznym organizmem przemógł słabość ciała i znowu stanął gotów do pracy i walki. Choroba sterła mu jednak siły, apatia jego rosła, dokoła zaś siebie widział coraz większy odmet oszustwa, ogólnej nienawiści, chęć wzajemnego obdzierania się, kłamstwo, kradzieże. Wreszcie istotna bieda zajrzała mu do oczu. Nie miał co jeść i nie miał czym opłacić mieszkania. Nie rozpaczał nad sobą, tylko głęboki smutek zawładnął jego duszą. Tracił możliwość pracy i siły do niej z wycieńczenia fizycznego i duchowej depresji. Zarobione pieniądze za broszurę odesłał w części Ezopowi, nie pisząc mu nic o swoim położeniu. Bał się litości nawet ze strony przyjaciela.

Nadeszła wiosna, pękały już drzewa. Pan Jacek udał się pewnego razu do Łazienek i zaczął chodzić w najdalszej części parku. Kwiecień rozwijał tu swoją krasę, tchnienia upojne dyssały dokoła, przesycając ciała ludzkie dreszczami rozkoszy, ogrzewając zdrętwiałe dusze światłością słoneczną. Korony starych drzew szumiały słodko. Ten szum nasunął panu Jackowi wspomnienia z olszyn zaolchniowskich. Zalśniła nagle błyskawica dalekiej przeszłości, cudu życia i już drogą analogii nadpłynęła w słonecznych prądach jakby egzotyczna postać Strzemskiej. Pan Jacek widzi ją, jak żywą, gdy go zaczepiła w Port Saidzie, widzi ją znowu pod Sfinksem. Ach, jakże się ona zrosła w pojęciu Sybiraka z tą kamienną epoką o szydzącej twarzy. Ona i Sfinks! Zmówili się jakby na niego, na Jacka. Ona mówiła, a Sfinks się śmiał... Zabrzmiały w uszach starca jej słowa melodyjne a pełne niewypowiedzianej grozy: „On widzi i to, czego my widzieć nie chcemy albo czego nie widzimy istotnie. Niech go pan tylko zrozumie”...

Pan Jacek spuścił ciężko głowę na piersi.

– Zrozumiałem go już, och, zrozumiałem – szepnął z bezdennym dramatem w duszy. – Nie widzimy i nie chcemy widzieć, nie, nie!

Cisza była dokoła, tylko czuby drzew szumiały, tych drzew prastarych, pamiętających jeszcze królów polskich i ducha polskiego. On już wówczas drzemał osłabiony ogólnonarodową anemią mózgow. Pobudzały go do życia twórczego momenty takie, jak Raclawice, Raszyn, Olszynka Grochowska, obrona Woli i kilka późniejszych złotych błyskawic ideowości na tle czarnej otchłani niewoli. I teraz jeszcze niedawno duch Polski błysnął jaskrawą gwiazdą pod Warszawą, gdy cały naród chwycił za broń, odpędzając dzikie hordy nowoczesnych Hunów sowieckich. Czyż więc tylko momenty krytyczne, kładące już topór na karku narodu, zdolne są ducha Polski ożywić? A jednakże ten duch, ten duch wielki...

Sybirak zamyślił się. Oczy jego, wpatrzone w ciemną toń stawu, widziały obrazy dawne i nowe, świetlane i ponure. I oto ujrzał wizjonersko ducha Polski, jakby plastycznie uzmysłowanego. Ujrzał go w stadium dzisiejszym, w orbicie doby obecnej... pod grozą obecną. ...

...Okowy opadły... Wolność, swoboda... Zakołysały się tłumy, szumiały hasłem zwycięstwa jak ptaki na wyraju... Powstał zgiełk. Rozwijały się lotki. Chrzęst piór porywał, unosił, pobudzał. *On* patrzył na te wzloty, lecz nie płonął... Czekał płomienia. Czekał na szczytny odzew wolnej idei, skryzalizowanej w przepychu glorii i chwały... A zgiełk rósł, ogromniał, lecz nie przeistaczał się w potęgę zgodnego rytmem hymnu, co jak dzwon dostojny dziejowego odwetu obwieszcza narodowi nowy epos. Zgiełk stawał się wrzaskiem... Chrzęst piór w łomot się przeistoczył. Tłukły skrzydła o siebie i łamały lotki. Dzioby, jak ostre dzidy, go-

dziły w piersi współbraci. Chciwe oczy szukały zera. Szpony były otwarte, gotowe do walki bratobójczej, zaborcze... *On* widział żące dymy pożogi i błękitne dymki kadzideł wonnych, które otaczały bożków, kreowanych przez egzaltację tłumu. Widział nowe pióropusze sławy i łuny krwawe słomianych ogni, podsycanych częstokroć krwią... Słyszał hasła wzniosłe i – milczał. Czekał płomienia... Wzrok mu mętniał, ból się w nim zrodził i żal, i gorycz, po czym nadeszła wzgarda, wreszcie najstraszniejsza... obojętność. Przyszła i uspiła, przyszła i wydała wyroki... *On* zasnął letargicznym snem... A tam trzask się wzmógł, namiętności buchnęły rozpiętym żywiołem... *On* już nie widzi nic, nic nie czuje. I jego nie widzą, umarł dla nich, przestał istnieć... Czas płynął wartką falą, pełną burz, piany brudnej i szalonych wirów. *On* spał... I oto wolno jął spuszczać się nad *Nim* wielki czarny pajak. Oczy okrągłe utkwiał w śpiącym i myślał chytrze swą ziarnistą, twardą głową: śpi czy czuwa?... Ostrożnie wysunął ze swego kadłuba cieniutki włos przedzi i jął muskać *Jego* ciało... *On* nie drgnął nawet. Pajak nadał się. Czarne, lepkie macki wyciągały się zaborczo, lubieżnie... Spadło drugie włókno grubsze, trzecie i czwarte już jak postronki. Włókna potworne czepiały się głowy, ramion, piersi, palców śpiącego, zsuwały się podstępnie do łokci, bioder, spętały kolana, lędźwie, stopy... Pajak czarny snuł, snuł wytrwale niewyczerpany, zajadły w swej robocie. Naprządł mnóstwo drabin, słupów i jął wiązać sieć gęstą. Osią jej była głowa śpiącego, część sieci, opadającej do ziemi, osnuwała całą postać, górna połowa okropnego niewodu ginęła w mroku, we mgle i pyłe jakiejś niedojrzałej, ponurej *Umberri*... A pajak motał i motał jak prządka trokliwa, wzmacniał spoidła, nasyczał je swym jadem i śmiał się plugawą gębą z potwornego czynu. Ślepia wypukłe błyskały żądzą, chciwe macki zakrzywiały się jak haki. Cielsko pęczniało z lubości, łaknąc krwi z *Jego* serca... Pajak czekał chwili, gdy zada śmiertelny cios... gdy zacznie ssać ofiarę... Ostatni zadzierzgnął węzeł... Wpił bestialskie ślepia w środek sieci...

... Już, już nastąpi skok morderczy...

Wtem *On* się zbudził...

Duch Polski...

XII

Dziwnie zadrżała tafła wody na stawie. Śmigwały po niej gradem purpurowe świetliki i one to zapewne rzuciły na wychudłą twarz pana Jacka lekki refleks nadziei. Przetarł oczy zmęczone straszną wizją. Odetchnął głęboko i gdzieś spod samego serca wydał ciężkie westchnienie:

– Obyź się... spełniło... choć w chwili... ostatniej.

A po długiej minucie szepnął:

– Jak zwykle... u nas.

I znowu:

– Obyź ta chwila była już... przejrzeniem i... zbawicielką naszą!...

Chodził długo zamyślony i sam się nie spostrzegł, że znowu marzył, wyczarowywał przyszłość. Nagle spoza drzew usłyszał głos męski młody i dźwięczny. Ktoś czytał. Do uszu pana

Jacka dobiegły słowa znajome, wsłuchał się uważniej. Zdumiał. Były to jego zdania z broszury. Wysunął się trochę naprzód, ujrzał młodego chłopca, studenta, w towarzystwie młodziutkiej dziewczyny, również z jakiejś szkoły. On czytał broszurę z zapalem widocznym. Ona oparta głowę na dłoni, snadź zasłuchana. Pan Jacek cofnął się za drzewo. Gdy młodzieniec doszedł do rozdziału, podniósł oczy na towarzyszkę i rzekł wesoło:

– No co, nie żałuje pani, że zamiast tamtej pornografii, która aż kapie brudem, czytałem jej tę prawdziwą ilustrację naszej smutnej doby?

– Tamto jest sztuka, a to...

– A to realność najoczywistsza: konieczna dla uświadomienia tych, co nie patrzą jasno w przyszłość naszą. Bardzo wielu mamy artystów nurzających się w bagnie lub takich, którzy w bańkach mydlanych szukają nastrojów. Nawet nie wiem, czy to już jest sztuka, gdyż tyle bagna jest teraz w naszym społeczeństwie i tyle bańek mydlanych w ogłaszanych paradoksach, że opisywanie tego to także aktualność. O, niech się starzy babrzą w brudach rozpusty i wyuzdania, oni już ojczyzny nie odbudują. Ale my młodzi powinniśmy odsuwać od siebie wszystko, co brudzi i kała, a dążyć ku ideałom, bo na nas czeka ginąca ojczyzna. Przyszłość Polski w naszym ręku. Czy ty to rozumiesz... jedyna? – szepnął głosem miękkim i pochylił się ku zamyślanej towarzyszce.

– To dobre, ale ja po obłokach latać nie potrafię – odrzekła.

– Lepszy nawet podidealizm niż pełzanie po błocie, najdroższa – mówił student gorąco. – Nam nie wolno pełzać i raczkować, my musimy iść mocno i wytrwale, by osiągnąć z czasem nasz święty cel. Powinniśmy omijać wszelkie spotkane na naszej drodze bagno, a o ile się da, osuszać je.

– Pan może jeszcze nie widział w życiu tego co ja.

Student roześmiał się serdecznie.

– Ach, dzieciaku mój! Już bądź pewna, że widziałem i doświadczyłem więcej, wszak jestem mężczyzną.

– Tak, ale żeby pan wiedział, co się u nas wśród różnych sfer dzieje, od góry do dołu! Strach myśleć i wstyd mówić. W naszej kamienicy na przykład mieszka bardzo bogata hrabina. Wdowa, piękna i już niemłoda. Salony jej wspaniałe, ale tam się schodzą panowie i panie karetami zajeżdżają. Co się tam robi... Ojej!... Takie brudy!

– To są rzeczy smutne; ogólne rozbestwienie powojenne wpłynęło i na to. Ale pani nie powinna się nad tym zastanawiać – rzekł poważnie.

– Ja o tym słyszę i patrzę od dziecka. A u nas w domu czy lepiej? Ojciec ma kochanki i traci na nie, a matka... matka także nie święta. Wiem ja dużo. A na pensji co się wyrabia? Ha, ha, żeby pan wiedział! A co moje koleżanki dokazują i uważają to za naturalne. Teraz dziewcząt niewinnych nawet duchem, jak pan chce, trudno znaleźć. Bywam u jednej koleżanki, gdzie jest przyzwoity dom rodzinny, chodzę tam jak do nieba i całowałabym po nogach takich zacnych ojców i uczciwe matki. Mnie od dziecka bagno otacza. Czyż ja mogę wierzyć w ideały?...

Łzy zabłyły w oczach dziewczęcia. Student, widocznie wzruszony, rzekł pieściwie:

– Kochanie moje, powinnaś wierzyć i możesz, skoro widzisz brud, to już dowodzi szlachetności twojej duszy. Widzisz i odczuwasz zło, zatem możesz się bronić od jego plugawej śliny. Ja cię strzec będę, byś mi była pomocą i ozdobą w życiu, bo widzisz, ty może nie doceniasz i nie ogarniasz wielkości tego zadania, jakie jest przed nami. To praca na razie syzyfowa, lecz przyjdzie moment, kiedy stać się musi ogólną. Gdyby młodzież nie miała ideałów szczytnych przed sobą i straciła nadzieję, że odrodzi ojczyznę, tedy zginęłaby Polska. Czytajmy to, tu jest szlak wytyczony dla nas. To musiał pisać człowiek młody i bardzo energiczny. Pragnąłbym go poznać.

Dziewczyna roześmiała się:

– I ja chciałabym go poznać. Powiedziałabym mu dużo szczegółów, które pominął, on dużo zbadał i odkrył, ale jeszcze mnóstwo brudu i zła zostało w cieniu.

Po chwili student zaczął znowu czytać. Pan Jacek bał się, by go nie spostrzegli. Odszedł cicho w drugą stronę. Serce jego ożywił ciepły, radosny prąd. Ale wnet zrodziło się nieufne pytanie:

– Czyżby to istotny, twórczy zapal w duchu młodzieży poczęty czy wybuchowy ogień egzaltacji?

A po chwili znowu:

– Czyżby moje słowa... budziły?...

Uczuł w sobie ogromne pragnienie tego i olbrzymi przyływ otuchy.

Na drugi dzień wiedziony ciekawością przyszedł znowu, na to samo miejsce i ujrzał czytających. Gromadka była większa, dwóch młodzieńców i dwie panny. Ten sam student czytał. Nagle przerwał i zwrócił się do drugiej pary młodych:

– Ktoś z was podobno zna autora. Czy to prawda?

Młoda panna odrzekła:

– Nie znam go osobiście, ale o nim słyszałam, podobno stary idiota.

– Jak to idiota! Jakże można o człowieku myśleć... w taki sposób!

– Ano, słyszałam, że przebywał długi czas w Tworkach, potem za jakieś tam winy był w ciupie, na ciężkich robotach, nawet słyszałam, że pije strasznie i ma *delirium tremens*.

– Ależ to kłamstwo! – oburzył się student. – Potwarz! Autor tej książki jest trzeźwym obserwatorem, myślącym i – co najdziwniejsze – bezpartyjnym. Widzi jasno i „kocha za miliony”, i cierpi za miliony, a cierpi, bo widzi otwartą przepaść przed Polską.

– Idiota można go nazwać dlatego, że za dużo wyjawia prawdy, nie oszczędza nikogo, więc się naraża. Wskazuje palcem na osoby, nawet nazwisk nie ukrywa, przepowiadam mu przeto, że umrze z głodu – odezwał się drugi student z uśmiechem.

– Ja go jednak poznać muszę – rzekł pierwszy – by mu złożyć podziękowanie za to, że jest dobrym Polakiem, nie partyjniakiem i uczciwie kocha Polskę.

Była taka błyskawiczna sekunda, że pan Jacek chciał się zbliżyć do młodych i dać się poznać. Wrodzona skromność i lęk przed ludźmi, którego zaczął doświadczać, wstrzymała go od tego zamierzenia. Gdy potem zobaczył się przypadkowo w jakimś lustrze wystawowym na ulicy, przyznał sobie, że dobrze zrobił. Był chudy, blade, mizerny, jak po ciężkiej chorobie.

Wyglądam istotnie na *delirium tremens* – myślał z goryczą.

Tego dnia napisał długi list do Strzemskiej. Nie ukrywał już w nim swoich spostrzeżeń i smutnych doświadczeń, był zupełnie szczery; o sobie tylko napisał mało i ogólnie, o Mgławiczu, przeciwnie, dużo i bezstronnie. Nawoływał ją do powrotu do kraju, przemawiał trochę jak ojciec, jak przyjaciel. Miał wrażenie pisząc, że rozmawia z Haliną, że patrzy w jej oczy głębokie, myślące, na dnie których czai się zagadka. Patrząc w nie, widział nie tylko Strzemską, ale widział tamtą – Iwińską w zaraniu młodości swojej, w otoczeniu łąk podlaskich i wonnych zagajów, olszyn nad Krzną. Strzemską widział na olbrzymich wodach Oceanu Indyjskiego. Stoi oto na pokładzie parowca, kominy kurzą słupami czarnego dymu. Dokoła odmęty zielonostalowe, rozpalone zda się do białości w pożodze słonecznej, zbufowane przepychem pian. Dokoła roztoz złotobłękitna i srebrna, dokoła przestrzeń, bezmiar wód. Strzemska czyta list od niego, czyta z zajęciem, ale czy się nim przejmie, czy go usłucha, czy wróci?... Jaki ją tam czar trzyma i czy on ją przykuje, czy się spod niego nie ocknie?... Wydało się panu Jackowi, że widzi Strzemską na falach, ale jednocześnie jakby pod Sfinksem, który również unosi się i opada na olbrzymich górach wód. Strzemska stoi zapatrzona w twarz opoki ni to kamienną, ni to z wód i piany złożoną, a w oddali, na krańcu oceanu, jakieś gmachy płyną czy stoją, jakieś twierdze-kolosy. Czy to piramidy, czy olbrzymie czarne skały na morzu? Ona zapatrzona w tamtą stronę jak w oczarowaniu, w ekstazie. Gmachy się zbliżają, zaciemniają horyzont swoją potęgą, tylko biała postać Strzemskiej widna wyraźnie. Co to?...

Ona pochyła się naprzód, rzuca coś białego w morze, jakby do stóp płynącej potęgi. Ach, nie, to ona sama rzuca się w odmet sino srebrny pienisty, jej biała postać tonie w falach, tonie jak biały kwiat u stóp tej jakiejś tajemnej mocy. Wicher straszny uderzył w morze i wszystko pokrył tumanem, zawieją wód, dymów, czernią otchłani.

Pan Jacek wzdrygnął się, przetarł oczy.

– Mary... wizje – wyszeptał rozdygotanymi wargami. – Co się tam z nią dzieje?...

Uczuł niepokój w sercu. List do Strzemskiej wysłał i ciągle jego myśl trwozna biegła w stronę, gdzie ona i jej tajemnica.

Z nim było coraz gorzej. Starał się wytrwale o posadę z cierpliwością, do której go życie przygotowało. Szło mu ciężko. Poznał teraz brutalność ludzką w całej potworności; boleśnie doświadczał na sobie dowodów ludzkiego egoizmu i podłości przy pełnym braku wszelkiej etyki człowieczej. Wszędzie odmawiano mu posady, ale w kilku miejscach radzono mu bezczelnie szpital lub przytułek.

W jakimś biurze poszukiwania pracy jeden z urzędników spytał cicho swego kolegę, przypatrując się panu Jackowi spod oka:

– Nie wiecie gdzież to, na Powązkach czy na Bródnie dokonano na tym oto jegomościu nowego wskrzeszenia?...

Pan Jacek usłyszał szept ze ściśniętą duszą i bólem, otrząskany już z podobnymi dowcipami pominął erudycję urzędnika i spytał szefa biura o posadę. Urzędnik tymczasem śmiał się w kółka do kolegi.

– My przecie grabarzy nie stręczymy, zresztą nawet na grabarza byłby za mizerny. Wystraszyłby wszystkich umrzyków.

– Kogo?... – spytał pan Jacek, zwróciwszy się nagle do wesołego urzędnika.

– Po polsku przecie mówiłem – odrzekł zmieszany urzędnik, zerkając bokiem na szefa.

– Polak nie tak powinien mówić po polsku.

Pan Jacek posady nie dostał i wyszedł z biura zupełnie złamany.

W innym znowu miejscu usłyszał zgryźliwą wymówkę za to, że w ogóle o posadę się stara.

– Cóż my młodzi będziemy robili, skoro tacy, jak pan, włożą nam w drogę!

Zaczęła go ogarniać rozpacz. Nareszcie wymówili mu w hoteliku mieszkanie. Płacić nie miał czym, zakredytować mu nie chciano. W czasie jego nieobecności wyrzucono mu brutalnie rzeczy na podwórko. Starzec zastanowił się chwilę, co ma teraz robić. Dzieci stróża brudne, które obdarzał często łakociami i uczył po trosze w wolnych chwilach lub w święta, otoczyły go teraz wrzaskliwą zgrają, pokazując języki i figi na palcach. Niechlujna pani dozorczeni wrzasnęła ze swej izby do męża, rozmawiającego życzliwie z panem Jackiem.

– Pod kościół niech lizie. Przynajmniej opierunku będzie miał mniej!

– A zapłacił to pan żonie za ostatnie pranie? – przezornie spytał stróż.

– Zapłaciłem. Nigdy nie byłem winien.

Stróż upewnił się jednak co do tego u żony. Pan Jacek miał na ustach uśmiech bolesny. Zaproponował stróżowi sprzedaż niektórych swoich rzeczy. Wysunęła się na to i pani stróżowa. Wkrótce pan Jacek, wyzyskany bezczelnie, oswobodzony z gratów, zachowawszy sobie tylko mały węzełek z bielizną i kilku książkami, powrócił do hoteliku, opłacił swoją zaległość, umarzając grożącą mu sprawę sądową. Pozdrowiwszy stróża, opuszczał bramę. Ale stróżka, widząc, że pan Jacek zabiera swoje doniczki kwitnących roślin, własnoręcznie wyhodowanych, wrzasnęła do niego:

– Nie mógłby to pan dzieciskom zostawić te badyle?...

Pan Jacek nic nie odrzekł, niósł kwiaty do kościoła.

– Postaw je przy sobie, jak zdechniesz! – krzyknęła kobieta z wściekłością.

Sybirak z kamienną twarzą szedł do nawy kościelnej, postawił kwiaty u stóp ołtarza i upadł na kolana. Był zupełnie rozbity duchowo głodny, osłabiony do ostatnich granic. Oparł

czoło na schodach ołtarza. Modlił się długo z wiarą głęboką. Wiarą przepelniona była pierś jego. Usta starca szeptały w natchnieniu płynącym z duszy pełnej umiłowania:

– Boże, dlaczego serca zabrałeś Polakom?... Zanik serca i ducha to zguba dla narodu. Obudź, Boże, uczucia i miłość bliźniego w ojczyźnie mojej, zapal ideały wszechludzkie, bez nich strupieszaje naród i kraj runie jak człowiek, z którego by serce wyrwano. Ocal rodaków moich od przepaści, egoizmu, daj przejrzenie, by ujrzeli zło i gniew swój.

Pograżony w medytacjach i modlitwie przebył w kościele długi czas. Pokrzepiło go to duchowo, jakkolwiek omdlewał z głodu. Wyszedł z gotowym postanowieniem. Tego dnia nocował w parku Łazienkowskim, na ławce ukrytej w gąszczach. Lecz i tu nie był sam: spotkał erotyczne pary tak zaciętrzewione swoją miłosną eskapadą, że go nie zauważyli.

Na drugi dzień pan Jacek na brzegu Wisły ładował węgiel na statek, lecz nikt mu nie zapłacił za całodzienną pracę. Odsyłali go jedni do drugich bez skutku.

Pan Jacek pracował tak kilka dni, nocując w Łazienkowskim parku. Za resztę pieniędzy, pozostałych po sprzedaży rzeczy, zjadał co dzień kawałek chleba suchego i zapijał wodą. Wreszcie pewnego dnia był tak wycieńczony, że nie mógł iść do parku na noc. Dowłókł się pod filary mostu, by tam spocząć. Ale to, co tam widział i słyszał, napelniło go takim wstrętem, że uciekł ze zgrozą. Całą noc wałęsał się nad Wisłą. Jakiś zbój nocny napadł na niego, a przekonawszy się, że to także biedak, namawiał go na swój proceder, obiecując duże zyski. Gdy pan Jacek zaczął mu do duszy przemawiać, łotrzyk krzyknął:

– E, brachu, do wody ciebie i twoje apostołstwo! Wisła cierpliwa to se jej apostołuj. Ja tam wolę swój fach, intratniejszy.

Pan Jacek wciąż pracował nad Wisłą z wytrwałością żelazną, zwrócił na siebie uwagę robotników zarówno pilną niezwykle pracą, jak i postacią swoją. Piętno głodu i choroby nie zabiło inteligencji, widnej na czole jego i w oczach. Zarabiał już systematycznie, za mało jednak, by odżywić organizm podkopany. Forsowna praca dokonywała reszty. Pan Jacek mieszkał teraz w najętym „kacie” u rybaka, nad samą wodą, co również szkodziło mu bardzo. Ale trwał z nadzieją w duszy, że przebrnie czas niedoli ogólnej i najgorszej, bo duchowej. Zaparty w swoje nie zwalczone ideały, cierpiał tym bardziej, że nie widział końca tej niedoli, przeciwnie, potężniała ona morzem brudu, zła i nienawiści, zalewając kraj. Pan Jacek kochał zbyt silnie Polskę całą, kochał wszystkie warstwy, wszystkie sfery, kochał biednych i możliwych, szczyty i niziny społeczne. Dla wszystkich miał współczucie i serce miłujące. Braćmi byli mu wszyscy rodacy, bez wyjątków. Więc cierpiał za wszystkich, ale nikt nie szedł za nim, bo któż umiał szczerze kochać bliźnich, kto pragnął szczerze powszechnego dobra... przed własnym?... Umieli tylko nienawidzić. Pan Jacek zaś przeciwnie – nie czuł nigdy gniewu do ludzi, tylko ból i żal, że nie są dobrzy. Cierpiał za ogół, bez niechęci do jednostek. Pracując ciężko, nie przestawał badać przebiegu spraw państwowych. Czytywał pisma, interesował się wszystkim, badał politykę państwową, śledził losy Mgławicza. Nazwisko ekscelencji wpływało często na szpalty pism i pan Jacek zaczął wyczuwać jakieś drżenie atmosfery dokoła postaci tego dostojnika. Było to nieuchwytnie, abstrakcyjne raczej, ale Sybirak, jak niezwykle subtelny sejsmograf, najlżejszy odcień wyczuć potrafił. Parę razy Mgławicz wykazywał teraz inicjatywę własną, narażając się swojej partii. Pana Jacka zdumiewały te objawy i cieszyły. Kiedyś wyczytał w satyrze na Mgławicza, że: „po wydalonym sekretarzu, jakimś numizmacie z Syberii, zostało trochę jego tchnienia w kątach kancelarii, ekscelencja tchnienie to obecnie wyławia i ono mu zacządza mózg”...

Eks-sekretarz uśmiechnął się pobłażliwie.

Nie tyle pewnie „tchnienie numizmatu z Syberii”, ile echa z indyjskich mórz oczadzają ekscelencję – myślał nie bez uczucia radości z powodu samego faktu.

Obcując teraz z klasą robotniczą, spostrzegł, że i tu pomimo wybornych warunków i oceny ich pracy nie ma ogólnego zachwyty dla sfer kierowniczych, przeciwnie, jest dużo niechęci. Wielu związkowców, zagabywanych w tej kwestii przez Sybiraka, odpowiadało ponuro:

- Zdradzają partię, każdy na swoje kopyto ciągnie.
- Wprowadzili zamęt w kraju, zrujnowali finansowość, nie dokonali nic, nie zadowolili społeczeństwa całego tylko jednostki – słyszał głosy.

Nadszedł maj, dłuższe dni, więc i wzmożona praca dla steranych sił Sybiraka. Zdrowie jego zapadało z każdym dniem gorzej, czuł się już tak słabym, że przemożną siłą woli i uporem tylko jeszcze pracował. Wiosenne rozlewy wiślane podkopywały do reszty zrujnowany organizm. Starzec kaszlał, pluł krwią. Wilgoć w mieszkaniu rybaka działała zgubnie na płuca, czuł w nich ból i klucie. Dokuczał mu reumatyzm. Praca i życie nędzne były dla niego po- wolną ale stałą trucizną. Do Ezopa nie pisał nic o swoim stanie. Nikt z jego znajomych i przyjaciół jedyny nie wiedzieli, że starzec stoi nad przepaścią swego życia fizycznego. Ciało wątle nikło, ale w duszy i w sercu jego palił się wielki ofiarny płomień umiłowania.

Pewnego dnia, wieczorem, gdy pan Jacek wracał z pracy do chatki rybaka, ujrzał przy drzwiach młodego studenta w towarzystwie jednego z robotników. Młodzieniec, w czapce uniwersyteckiej, podsunął się naprzód ku nadchodzącemu. Ze zdumieniem przypatrywał się panu Jackowi. Sybirak uśmiechnął się serdecznie, poznał młodzieńca natychmiast.

– Czy to pan jest autorem broszury „Polska w odmęcie”? – spytał student.

– Tak.

Student wniknął w jasne i szczere oczy Sybiraka myślą i powagą swoich źrenic. Po czym ujął i uścisnął gorąco ręce starca.

– Jestem Młot-Staliński, czytałem broszurę pańską i artykuły. Czuję się szczęśliwy, że go odnalazłem... nie sądziłem, że w takiej sytuacji. Całą duszą oddany jestem panu i jego ideom.

Pan Jacek, wzruszony bardzo, patrzył głęboko w oczy młodzieńca.

XIII

Dzień dogorywał. Już czuć było w przezroczych błękitach powietrza lekki oddech wilgoci. Świeży ten podmuch był może westchnieniem szczytów gór himalajskich, wiecznie śniegiem owianych, który spłynął na przebogaty ląd Indii jak błogosławieństwo. Orzeźwił roślinność po tropikalnym upale dnia, dając jej nadzieję życia. Noc szła już z krańców kontynentu: rzucała swój ciemny zawój, szyty w złote skupiny gwiazd, świecących bezmiernym blaskiem, jakby otwierały niebo. Zawój nocy spadł na święte rzeki Gangesu i Brahmaputry, zwanej „synem boskim”, na mistyczną mgłą owiane wody Indu, praźródło Ariów, na przestrzenne obszary Hindustanu. Noc otulała zawojem swoim góry Vindhya i pyszne pogórze Himalajów, ale na ich szczytach zbladła. Śnieżne czuby odbiły się refleksiem swojej bieli na ciemnym obliczu nocy; potęga ich ogromna, ich ostre wieżycy, odciosy olbrzymie rozdarły jej zawoje tak, że sypnęła jakby mleczną drogą gwiazd w hołdzie pragórzyszczom i spływała powoli lecz zaborczo na płaskowyże gór Ghaty, niosąc im resztę swych gwiazd. Mroki nocy zasnuły niziny i zgubiły w sobie łańcuchy wyżyn... Wody, gaje, zarośla, całą tę krainę cudów zewnętrznych i duchowych mistyk tajemniczych noc ujęła w swe zakłete kolisko...

W gaju potężnych bananów, których gałęzie stykały się z ziemią, by nowym pniem wyrastać w górę do nieskończoności coraz świeżych poczynań – mroczno było i rzeźwo jak w chłodnej krynicy. Oazę podszywało mnóstwo cierni i wielkich kolczastych kaktusów. Ich

soczyste czerwone i różowe kwiaty chwiały się niby latarki ze szkła, tak były sztywne i błyszczące glazurą swych gładkich kolorowych kielichów pełnych ognia i krwi. Banany prastare i gęszcze egzotycznych krzewów o szmaragdowych tłustych liściach, oblepionych masą jaskrawych kwiatów, tworzyły przedziwnie piękne tło dla zatopionej w nich strzelistej, choć ciężkiej stupy, czyli świątyni indyjskiej. Bardzo stary gmach, zbudowany z kamiennych złomów w kształcie ogromnego obeliska o czterech ścianach ostrokątnych, zakończony był u góry okrągłą kopułką czy wieżyczką w kształcie dziwacznej czapki ze szpicem. Takie same kopułki jakby kołpaki mongolskie ozdabiały na czterech rogach wysoką podmurówkę świątyni, ułożoną z głazów kamiennych. Szerokie, łukowate wrota z kapitelami pełnymi rzeźb indodoryckich, rytych z kamienia, wskazywały wejście do wnętrza. W gaju, naprzeciw świątyni, turyści rozłożyli swoje obozowisko w obramowaniu ostrych, skalnych odcieni, będących widocznie odwiecznym cmentarzyskiem lub ostrokołem otaczającym stupę. Tuż obok wytryskiwał ze skalnego złomu wąski strumień i jak płynny kryształ biegł wartko po kamiennym podłożu.

Poza gajem i grupą skalnych zwalisk rozciągała się szeroko przestrzenna dzika dżungla, szeleszcząca przepychem traw, wonna kwieciami, usłana kępami zarośli, pełna skalnych pieczar, wnęk i jarów. Tam w oplocie bujnych lian, w cieniu olbrzymich drzew tekowych (rodzaj dębu indyjskiego), w cieniu sosen indyjskich, zwanych deva daru, czyli dar boski – pośród palm i agaw kryły się przed słońcem w dzień, a w nocy wychodziły węszyć żer drapieżne, choć nieliczne lwy i okrutne krwiożercze tygrysy. Noszą one w Indiach nazwę królów zwierząt. Stada żerujących słoni, bawołów, szerokorożne jelenie, antylopy i postrach dżungli – pantera, wszystko kryły w sobie bujne kwieciste trawy, rozłogi jak niezmierzone łąny stepów bajecznych, bogate a skryte, groźne a porywające tajemnicą swych głębin i kniei.

Na północ poza gajem i świątynią, hen, w obłokach, w sinawej mgłę stróżowały potężne zarysy gór himalajskich.

Halina Strzemska patrzyła zamyślona, z tęsknotą w oczach, na te odległe majaki szczytów górskich, jakąś mgławicą niedosięzną owiane. Nęciły ją te mgławice i zaciekały. Nie była sama. Stał obok niej nieodstępny jej towarzysz, Hindus rodowity, doktor-filozof i zamiłowany szperacz w księgach Braminów, Mahawastu Dżhanu z Benares. Był bardzo wysoki, smukły i gibki, niezwykle poważny w stroju narodowym. Biały jedwabny turban odcinał się malowniczo od ciemnej, gładko wygolonej jego twarzy. Rysy miał wybitne, jakby ulane z brązu, oczy głębokie, czarnoopalowe, z przeblaskiem lawy i emalii, smutne i chmurne w wyrazie. Czarne brwi schodziły mu się nad nosem, klasycznie zagiętym w nieznacznym orli garb. Pionowa bruzda myśli na czole dzieliła te dwa czarne łuki brwi. Płaszcz biały, luźny, spływał z jego ramion niby toga grecka.

Strzemska wskazała towarzyszkowi ostre chmurzyska gór.

– Ach, tam muszę jeszcze być, tam się ukryć, zgubić. Co jest tam, w samym rdzeniu Himalajów?

Mahawastu Dżhanu uśmiechnął się i rzekł niskim głosem:

– Tam mieszka Kuwera, Pluton hinduski; wedle podań naszych archaicznych Kuwera strzeże pod ziemią skarby bezcenne, by je świat nie ujrział i nie skaził swą pożądlivością. Są tam jeszcze bogactwa niezmierne dotąd ludziom nieznanne, są iskrzące się gwiazdy, które Kuwera podstępnie zdjął z firmamentu i skrył w swych pieczarach; jest złoty pył słoneczny, którym słońce sypnęło niegdyś w darze dla najpiękniejszej kobiety, jaką ujrzano na ziemi. Lecz cudna ta niewiasta nie była godną monarszego hołdu słońca.

– Dlaczego owa niewiasta nie była godną złotego pyłu słońca?

– Posiadała tylko ciało i cześć dla jego piękności, lecz nie miała w sobie ducha.

– Jakże słońce odczuło w niej brak ducha?

– Niewiasta posypała sobie hebanowe włosy złotym pyłem słonecznym i pobiegła do jeziora, by się nacieszyć urodą swoją. Nie odczuła wartości daru i jego twórczej genezy. Wów-

czas słońce przyćmiło się z bólu, że piękność kobiety była tylko zmysłową. Złoty pył z jej hebanowych włosów znikł, bo słońce obdarzyło nim najdzielniejszego na ziemi mężczyznę. Lecz on nie był także godnym królewskiego daru.

– Dlaczego?

– Bo miał w sobie tylko popędy materialistyczne i cześć dla użycia materialnego. Otrzymał złoty pył słoneczny, jął go przerabiać na mamonę z chciwą żądzą bogactwa zmysłowego. Nie odczuł duchowej wartości daru i twórczej genezy. Wówczas słońce pociemniało z bólu, że siła i dzielność męska dąży tylko do materialnego użycia i rozżalone oddało złoty pył Kuwerze, by go ukrył w swym skarbcu. Kiedyś, kiedyś Kuwera ma obdarzyć nim piękną niewiastę, w której duch przeważać będzie nad zmysłami tak, że o urodzie swej zapomni i potrafi odczuć twórczą wartość daru. Kuwera może obdarzyć złotym pyłem mężczyznę, jeśli będzie to człowiek, w którym przy sile i dzielności duch przeważa nad materializmem i który potrafi odczuć istotną, twórczą genezę daru. Kuwera strzeże złoty pył słońca jako przyszłą nagrodę za zwycięstwo ducha nad zmysłami, by ukoronować nim zwycięzcę.

– Ale go dotąd jeszcze nie oddał nikomu – rzekła Halina.

– Nie oddał nikomu – powtórzył jak echo Mahawastu Dżhanu. – Jest podanie, że odda wówczas dopiero, gdy zgaśnie słońce, bo wtedy kobiety nie ujrzą kwiatu swojej urody a mężczyźni blasku mamony.

– Tak, ale wówczas w ciemnościach i złoty pył słońca stanie się szarym prochem bez twórczej wartości i mocy. Straszny jest wyrok Kuwery – rzekła Halina.

Milczeli długo, zasłuchani we własne myśli, zapatrzeni w odległe górskie szczyty – wizje. Mahawastu Dżhanu otoczył Halinę mocą swego spojrzenia i rzekł, wskazując ramieniem ciemną dal:

– Widzi pani tę świetlistą gwiazdę jak złoty gwóźdź na niebie?

– Widzę. To może klejnot ze skarbcza Kuwery?

– Nie, to jest klucz do nieznanego ludzom kraju, poza górami „Himawat”, czyli „Siedziby Zimy”. Wedle hinduskich legend jest to wewnątrz Himalajów. Za ich szczytami jest ów nieznanym świat. I tam Uttara-Kura, człowiek wszystkowiedzący, stróżuje i czuwa na krańcach siedzib ludzkich. Ta gwiazda to klucz, który zamyka wrota światów realnych.

– Może znajdziemy się tam kiedy w innych kreacjach, gdy dusze nasze przejdą w doskonalsze twory istnień – rzekła Strzemska w zamyśleniu.

Mahawastu zniżył głos, nadając mu miękkość i harmonię.

– Pragnąłbym w obecnym życiu otworzyć z panią tym złotym kluczem inne światy, by zaskosztować haszyszu nieziemskiego szczęścia... z nią.

Halina przybladła, ale odparła ze swobodą trochę sztuczną:

– Uttara-Kura nie puściłby mnie tam z panem. To jest zapewne człowiek o wysubtelnionej przenikliwości i bardzo czujny. On widzi i odczuwa wszystko, co w duszy człowieka jest najistotniejsze.

– Właśnie dlatego odczułby pragnienie i tęsknotę moją, zrozumiałby i puścił w krainę nieziemskich baśni.

– Pana, lecz nie mnie z nim.

– Hindus wpił w nią otchłanne źrenice. Halina odzyskała już zupełną swobodę.

– By otrzymać dar złotego klucza Uttary-Kura trzeba mieć tęsknoty i pragnienia w jeden promień stopione. Wówczas do owych nieziemskich światów idzie się razem, bez zastrzeżeń, sięgając po złoty klucz. Ale nasze tęsknoty i pragnienia są tak... różne...

– Chcę wiedzieć, jakie mają miano te, które żyją w pani?

Głos Hindusa był głuchy, trochę groźny.

Halina zwiesiła głowę na piersi i skierowała się w stronę obozowiska turystów. Milczała. Za potężnym kaktusem Mahawastu Dżhanu ujął nagle jej rękę, uściśnął i z płomieniem w

oczach podniósł do ust, lecz Halina cofnęła dłoń ku sobie. Oczy jej błysnęły chłodną stalą.

– Doktorze, Uttara-Kura widzi wszystko, odczuwa wszystko i... nie pozwala wkraczać... w cudze światy. Proszę o tym pamiętać.

Powiedziała to spokojnie, ale z naciskiem i stanowczo. Łagodnym ruchem wysunęła rękę z jego dłoni i poszła naprzód, nie spiesząc się, ze swobodą i pewnością siebie. Nie było w niej ani tryumfu dumy kobiecej, ani pustego śmiechu, lecz powaga i myśl, i wielka, potężna tęsknota – marzenie.

Mahawastu nie podążył za nią, został sam.

Halina, idąc w gąszczu kaktusów i cierni, rwała sztywne kielichy kwiatów i chłodziła nimi rozpaloną twarz. Usta jej gorące szeptały ciche słowa, a słowa te, pełne serdecznych drzeń, biegły daleko, daleko, poza dżunglę i kontynent Indii. Słyszały je tylko czerwone jak szkarłat kaktusy, w których nurzała się twarz Haliny.

Wtem natknęła się na pochylonego w trawie Murzyna, dozorcę słoni, z maczugą w rękę, jakby przyczajonego. Ujrzawszy Strzemską, Murzyn skoczył do niej i chwycił ją za ramię.

– Uciekać, lady, uciekać! Tu jest żmija, jadowita. Tu chodzić nie można po nocy i samej. Jagi zabić żmiję, ale lady uciekać tam.

Strzemska była ciekawa polowania, lecz Jagi tak stanowczo szarpnął ją za ramię i cofnął do tyłu, że odeszła, nie chcąc psuć zdobyczy zaciętrzewionemu Murzynowi. Zbliżyła się do słoni. Uwolnione z palankinów drzemały stojąc ociężale pod bananami, żując w potężnych szcękach liście drzew. Inne pokładły się zmęczone upałem i podróżą przez dżunglę. Leżały w wysokich trawach jak siwe bryły skalne, szeleszcząc trąbą szukającą smakowitych ziół. Halina usiadła na kamieniu i jęła gładzić skórę na czole jednego ze zwierząt. Słoń znosił pieszczoły cierpliwie, patrząc małymi ślepiami z pobłażliwą flegmą. Spodziewał się z dłoni Haliny zwykłej porcji banana i – zawiedziony – prychnął gniewnie.

W pewnej chwili dał się słyszeć trzask gwałtowny i dziki okrzyk, po czym z kaktusów wybiegł Jagi, w swej pasiastej, czerwonej z białym spódniczce, z uradowaną miną pokazał Strzemskiej wielką, martwą żmiję, zawieszoną na maczudze. Białka oczu Murzyna i lśniące wilcze zęby błyskały pożądliwie.

– Jagi zabił, Jagi trafił w głowę żmiję, Jagi ocalił słonie i lady – przechwalał się Murzyn.

Halina oglądała ciekawie grube, pręgowane, śliskie ciało żmii. Z rozmiażdżonej płaskiej głowy kapąła wstrętna ciecz krwi zmieszanej z jadem, ogon mięsisty wisiał bezwładnie.

Poszli do obozowiska. Jagi pokazywał żmiję turystom, chwalił swoje męstwo, demonstrując plastycznie i krzykliwie przebieg polowania.

Jaskrawe miliardy gwiazd migotały na granatowym stropie nieba. Niektóre gwiazdy wydawały blask tak żywy, że zdawały się płonąć ogniem drogich kamieni, sypały iskry na ziemię w gaju bananów i kaktusów, cienie głębin tworzyły wnęki tajemnicze, wśród drzew szły tunele czarne i długie, zapadając w bezdenne pieczary.

Halina z uśmiechem radosnym pokazywała te ciemne korytarze towarzysze swojej, młodej lady angielskiej.

– Tak, jak u nas w olszynach, w księżycową noc, w Borkowie, na Podlasiu...

– Co to za... Pod... lesse...

Strzemska wyjaśniła Angielce, dodając, że stamtąd pochodzi, że ta noc gwieździsta, tajemna napawa ją tęsknotą do kraju rodzinnego Zaczęła opowiadać lady o Podlasiu, ale tamta przerwała.

– Wy, Polacy, zawsze tęsknicie, macie w sobie wyłączny nerw tęsknoty. To męczący taki nerw. Wasz romantyzm nie daje wam chyba szczęścia. Jest to jakby ciągle pożądanie bez zadowolenia. A nawet...

Lady umilkła.

– Proszę, niech pani dokończy – rzekła Strzemska.

– Nawet gdy osiągniecie cel swego pożądania, nie umiecie go ocenić i tęsknota wasza budzi się na nowo.

– To dowodzi, że tkwi w naturze naszej nieskończony ideał piękna, ku któremu dążymy stale i zawsze mamy nie dość tego, co zdobędziemy.

– Ja to nazywam inaczej: nie ideałem piękna, lecz brakiem praktycznego zmysłu. To cecha wasza, zdaje mi się, ogólnonarodowa.

– No, nie, obecnie są wśród nas i ludzie praktyczni – rzekła Strzemska w zamyśleniu.

– Powiedziała to pani ze szczególnym akcentem.

– Bo ci praktyczni u nas nie zasługują w pojęciu istotnego ideału na... uznanie... Jest to praktyczność snobów nie zaś ludzi dążących ku ideałowi, by go osiągnąć w praktycznym czynieniu.

– Zauważyłam już przedtem, że pani kocha swój kraj.

– Chyba to zupełnie naturalne.

– A jednak odnosi się pani do tego kraju krytycznie.

– Nie do kraju, lecz do ludzi dzisiejszych – to różnica. Zresztą można odczuwać bardzo gorąco miłość do swego narodu i widzieć jego błędy. Zdaje mi się nawet, że miłość taka jest również praktyczniejszą, niż ślepe wpatwienie się w swoje skazy w przekonaniu, że są to różce. Takie zaślepienie, prócz innych superlatywów, dowodzi jeszcze zarozumiałości, ta zaś nigdy nie prowadzi wzwyż, lecz zawsze ku dołowi.

– Ja sądzę, że to jest przede wszystkim dowodem patriotyzmu...

– Nie, pani, najwyższy patriotyzm nie polega na piastowaniu swoich błędów i niedostrzeganiu ich prawdziwego oblicza, ale na tępieniu wad z zawziętością bezwzględną. Przeto kochać nie zawsze znaczy to samo, co uwielbiać i zachwycać się bezmyślnie, na ślepo.

– Są jednakże narody, które rządzą się wszystkimi tymi uczuciami razem względem swej ojczyzny.

– Na przykład wasz naród... Anglia?

– Oh, ileż ironii jest w głosie pani! – rzekła lady podrażniona.

– Przyznaję. Ale pani wie od dawna, że nie cierpię waszej zachłannej pychy i zarozumiałości, pomimo iż mam dla was dużo uznania i... sympatii. Jednak wśród was są ludzie, którzy umieją patrzeć jasno i odróżniać cechy złe od dobrych bezwzględnie. Szkoda tylko, że ludzie tacy u was podobnie jak i u nas, w Polsce, nie stoją u steru państwa i na straży narodu.

Angielka spojrzała poważnie w oczy Haliny.

– Tak, to słuszna uwaga pani. Dobrze myślący Anglicy znają wybornie nasze wady, które pani wymieniła. Ale nas psuje siła.

– Powinniście być dumni i kierować się ideą humanitarną. Wszakże świadomość siły napawa was pychą i przekształca instynkt samozachowawczy w brutalną dbałość o własne korzyści. Obok braku ogólnoludzkich ideałów tego rodzaju utylitaryzm nie jest nawet praktyczny ze względu na następstwa...

– Nie rozumiem – rzekła lady.

– Bo, powodując brak umiaru, grozi przeciągnięciem struny – dokończyła Strzemska.

– Oh – zawołała Angielka – nam nic podobnego nie grozi! Jesteśmy niezwalczeni.

– Tak samo myślał Bonaparte przed stu laty. Ale on był geniuszem...

– I ostatecznie potknął się o Anglię – dodała lady z akcentem tryumfu w głosie.

Strzemska zaprzeczyła gorąco:

– Bynajmniej. Obaliła go własna jego nieokiełznana pycha, brak umiaru. Nawet szatańską pychę można wybaczyć, ale tylko geniuszowi, nigdy zaś jego naśladowcom i samozwańcom.

Lady była zirytowana.

– Ale o co my się właściwie sprzeczamy? – zaśmiała się nagle Halina. – Podziwiajmy lepiej boską noc.

Lady nie rozchmurzyła oblicza.

– Mniemam, że na tak ugruntowane państwo, jak Anglia, nie mogą mieć żadnego wpływu te rzeczy, które jeśli sięgnąć do historii gubiły państwem mniej posiadające szans na wieczne trwanie.

Cień głębokiego smutku osiadł na twarzy Haliny. Poczwała dotkliwy ból w duszy. Gdy spojrziała w zimne źrenice Angielki, oczy jej miały w sobie dostojną powagę.

– Pani ma na myśli moją ojczyznę. Ale ja, niestety, jak dotąd, nie mam złudzeń co do naszej... zarozumiałości i co do naszych obecnych... geniuszów.

W głosie Strzemskiej było tyle gorzkości, żalu i przejmującego smutku, że Angielka zarumieniła się i podała jej obie ręce żywym, serdecznym ruchem.

– Przepraszam za moją brutalność. Zresztą wierzę w Nemezys, która słabych niekiedy podnosi i umie wynagradzać, dając sposobność do osiągnięcia siły.

Strzemska spuściła oczy.

Nemezys dotknęła już nas łaskawą dłonią i... dała nam możliwość osiągnięcia siły – wołał w duszy Haliny jakiś ponury głos, ale usta jej milczały.

Wśród skał w pobliżu źródła błyskał ogień.

– Chodźmy do obozowiska naszego – rzekła lady swobodnie – jestem wściekle głodna.

Halina skinęła ruchem głowy.

Idąc, spotkały dążącego naprzeciw nich Hindusa, Mahawastu Dżhanu. Patrzył badawczo na obie kobiety i zatrzymał wzrok na twarzy Strzemskiej z uwagą i natężeniem. Angielka zagadała coś do niego o potrzebie wypoczynku i posiłku, Hindus odpowiedział grzecznie, ale nie spuszczał oka z Haliny. Lady dostrzegła to i, wzruszywszy tylko ramionami, poszła na przód; wkrótce znikła im z oczu.

– Pani miała jakąś dużą przykrość w tej chwili – rzekł Mahawastu Dżhanu do Haliny.

– Tak, miałam.

– Czy można wiedzieć jaką?

– Nie.

Hindus patrzył na nią, przesywając ją wzrokiem.

– Przepraszam za moją otwartość – rzekła Halina obojętnie.

– Zawsze trzeba być szczerym z przyjaciółmi. Ja nie jestem Europejczykiem, więc konwenansów kłamliwych nie uznaję. Skoro pani nie może lub nie chce wtajemniczyć mnie w przyczynę swego smutku, nie wolno mi nalegać... Noc jest piękna, nieprawdaż – rzekł już innym tonem.

– Bardzo piękna. Patrząc na tę iluminację gwiazd, myślę zawsze z żalem, że one widzą tyłu, tyłu ludzi, tyle miejsc, których ja widzieć nie mogę... Widzą lądy i morza... oceany...

– Pani tęskni zawsze do morza...

– Ono mnie najbardziej ukaja.

Mahawastu Dżhanu przytrzymał ją uważnym wzrokiem.

– Co pani najwięcej kocha w morzu, czy... na morzu?

Strzemska milczała chwilę, po czym odparła:

– Jego potęgę i... tajemnicę.

– Tajemnicę... Tak, ma pani słuszność. Oblicze morza jest wsze tajemnicze, pomimo że się je niby pozornie zna. Ale dla każdego tajemnica morza jest zapewne... inną. Nie mogę jeszcze zbadać, jaką jest dla pani...

Twarz Strzemskiej błysnęła uśmiechem szczególnym.

– Dla mnie posiada aż dwie – szepnęła.

– Dwie tajemnice? To ciekawe.

– Jedna to tajemnica głębin i ducha oceanu. Pan mi przyznaje, że ocean posiada w sobie przedziwną duchowość, czego nie posiada kontynent – ani płaszczyzny, ani góry. Ducha posiada również puszcza leśna, bór, lecz to co innego. Różnica pochodzi stąd, że przestwór wodny jest odbiciem firmamentu. W morzu przeglądamy się, jak w zwierciadle, planety,

gwiazdy, słońce się w nim nurza, lecz go nie spali. Zapewne to Kuwera sypie złoty pył słońca na fale zamiast je chować dla ludzi, bo ocean i przestwór powietrzny, planetarny – to duchowa część świata, kontynent zaś materialno-praktyczna.

– Więc zmysłowa – dodał Hindus.

– Tak, i właśnie ta duchowość, ta mistyka mórz jest czarownicą ich tajemnicą.

– A druga tajemnica... pani – spytał Mahawastu Dżhanu.

Strzemska nie odpowiadała. Czoło jej ściągnęło się w głęboką bruzdę nagłej zadumy.

Zbliżyli się nieco do ogniska. Grupa turystów, złożona przeważnie z Anglików i Francuzów, rozmawiała z ożywieniem. Niektórzy rzucali spojrzenia niecierpliwe na Murzynów, krzątających się koło wieczerzy. Ognisko, ułożone z suchych cierni i traw, płonęło z trzaskiem, strzelając w górę wysoko złotopurpurowymi językami ognia. Blask rozpełzał się rubinową luną po gałęziach drzew i krzewów, różowa emalia leżała na kaktusowych dużych kłaczach, gałęzie rozrostłych bananów, zwisłych jak baldachimy, tworzyły siatkę zawiłą i misterną na tle ognia i morelowych dymów. Kamienne, strzeliste ściany stupy nabrały tonów rudy żelaznej. Piętrzyły się ciężkim obeliskiem, dosięgając wysokością niższych bananów. Popękany od starości kamień obrosły był połaciami mchów tak delikatnych, jakby przyłgnął do tych ścian zastygły oddech wieków. Wszystko dokoła tchnęło tajemniczością pradziejów, a przy tym blaskiem ciepłym i jakąś przebogatą atmosferą pustyni i swobody. Gmach stupy zewnętrznie nasuwał myśli o archaicznej budowie, zaciekawiał historią – i była w tej świątyni zagadka dziwna, i powaga tradycji bramińskiej, i majestatyczne jej piętno.

Gorące rumieńce okraśliły twarz Haliny. Piła nozdrzami narkotyczny zapach pustyni, wyczuwając w nim pleśń wieków, przywartą do stupy indyjskiej i jakby ożywczy źródłany prąd, płynący ku niej ze śnieżysk na szczytach himalajskich. Obecność Mahawastu Dżhanu i jego oczy uparte denerwowały ją, ale jednocześnie był on akordem przepyszny w ogólnej fudze wrażeń. Hindus odczuwał ją wybornie, ogarniał jej postać pieściwym wzrokiem, poza którym czały się płomienie, wybuchy trzymane silnie na wodzy. Halina, jakkolwiek podrażniona, nie bała się go, jego wpływ magnetyczny działał na nią podniecająco i był jednym z najsilniejszych tonów i barw, otaczającej ją niesamowitej i jakby mistycznej muzyki przestrzennej. Staroaryjska kultura Mahawastu Dżhanu, wzmocniona europejską cywilizacją, była wybitną i budziła pełne zaufanie. Jednakże gdy oddalili się poza złomy skalne cmentarzyska i Halina ujrzała Mahawastu tuż przy sobie, w sinych mrokach nocy, pod jarzącą kaskadą świetlistych gwiazd, uczuła lekki dreszcz lęku. Jego oczy migotliwe przenikały ją na wskroś, jakiś klejnot na spięciu jego turbanu, połyskujący w blasku gwiazd, dodawał mu szczególnego uroku. Żar jego temperamentu, z którym walczył widocznie, zaniepokoił ją. Cofnęła się nieco i wskazała ręką na gwiazdy.

– Kuwera czuwa – rzekła trochę stremowana.

Hindus milczał, ale znowu zbliżył się do niej. Halina nie chciała się okazać słabą. On drżał i drzenie to udzieliło się jej, ramiona jego parły do niej chciwie i władczo. Był w szponach swej rasowej namiętności, dławił się nią i walczył z tą siłą przemożną jak lew. Halina rozumiała, że jeszcze chwila, a porwie ją w szaleńczy oplót swych pragnień. Za nic!... Za nic!... Uciekać nie chciała i zresztą czyż to był ratunek?...

Nagłym popędem natchnienia szybko podeszła do niego i wsunęła mu rękę pod ramię.

– Boję się czegoś, tu może na nas coś złego czyhać w zaroślach. Ufam, że pan mnie obroń, ale... wracajmy do obozu – rzekła już swobodnie z przyjacielską nutą w głosie.

Mahawastu Dżhanu w pierwszym momencie przycisnął gorączkowo jej ramię do siebie, z dreszczem nadziei i uniesienia zmysłowego, lecz ufny jej głos, jej spokój, jej słowa zahamowały go natychmiast. Milczał, gdyż bał się zdradzić, ale prowadził ją z szacunkiem i powagą, typową u niego, która jakby pancerzem skuwała jego wewnętrzny wulkan.

Wtem suknia Strzemskiej zaczęła o kolce kaktusów; Halina szarpnęła się, lecz bezskutecznie. W tej chwili Mahawastu Dżhanu ukląkł przy jej stopach, odczepił suknię i niespo-

dziewanym prędkim ruchem objął ramionami jej kolana, tuląc do nich dumną głowę. Sekunda! Halina zadygotała, on powstał wzburzony ale spokojny, wziął teraz sam jej rękę i rzekł głucho, ale głosem pełnym uczucia i jakiejś niezłomnej siły:

– Proszę się na mnie oprzeć mocno, proszę mi ufać, czczę panią, ubóstwiam.

Halina słyszała prawie bicie jego serca podniecone, gwałtowne. Milczeli. Tak doszli do świątyni. Halina miękko wysunęła rękę spod jego ramienia. Hindus pochylił się bardzo nisko i gorąco ucałował jej dłoń.

Idąc do obozowiska, Halina wyprzedzała trochę towarzysza. Była wzruszona, ale myśl jej i uczucia płynęły daleko, daleko.

Czy spełni się?... Czy szczęście wyteśczone nadejdzie, czy je otrzymam?... – myślała.

Nagle smuga świetlista jaskrawą błyskawicą przecięła granatowosine opony nocy. Zrobiło się prawie jasno. Halina krzyknęła lekko. Mahawastu stanął przy niej.

– Co... pani?... To gwiazda spadła...

– Tak, to wróżba niebios dla mnie.

– Wróżba?... Ja sądzę, że to Kuwera sypanął na panią złoty pył słońca za jej... uduchowienie.

– Nie, to znak i odpowiedź niebios, zespełnią się marzenia moje... i tęsknoty...

Mahawastu Dżhanu sposepniał jak noc.

Halina rozejrzała się dokoła.

– Gdzież jest nasz fakir?

– W świątyni, modli się.

– Przed tą potworną kamienną figurą?

Mahawastu Dżhanu zmarszczył lekko brwi.

– To bóstwo Buddy, bardzo starożytne.

– Podziwiam je jako spuściznę wieków, ale niemniej jest ono straszne. Czy to przy posągu będzie nam fakir wróżył?

– Tak. Lecz on będzie wróżył tylko pani – rzekł Hindus przyciszonym głosem. – Uprosiłem go wyłącznie o wróżbę dla pani. Ten starzec fanatyk wróżyć nie lubi. Przyglądał się pani długo i sam nabrał chęci do wróżby.

– Cóż we mnie widział?

– To już jest jego tajemnica.

– Czy fakir wie, jakiej jestem narodowości i w ogóle coś o mnie samej?

– Nie, gdyż wszelkie takie wiadomości przeszkadzałyby wróżbie. Zresztą z nim się o tym nie rozmawia.

W obozowisku było niezwykle gwarno. Halina usiadła nieco w oddali na kamieniu. Mahawastu stał przy niej. Nastrój obozowiska podziałał na Strzemską. Rozweseliła się. Patrzyła z zajęciem na Murzynów w kolorowych koszulach, którzy pomagali ubranemu na biało kucharzowi. Z niezwykłą zręcznością piekli na rożnach tłuste ptaszki, inni rozściełali białe obrusy na kamieniach i trawie, ustawiali naczynia w uroczystym niemal namaszczeniu. Kucharz rozdzielał zręcznie pieczeń jelenia, otwierał puszkę z konserwami. Wonne zapachy łechtaly nozdrza Murzynów, aż oblizywali smakowicie, z charakterystycznym mlaskaniem wywinęte grube wargi.

W gąszczach postękiwały słonie, jakiś nocny ptak wołał z daleka, z ciemnych przepaści dżungli.

Do Haliny i Hindusa podszedł młody, elegancko ubrany Włoch, na którym nie znać było śladów podróży po pustyni, i zaprosił ich na kolację. Turyści wieczerali gwarnie, zjadając z apetytem upolowaną zwierzynę i świeże daktyle. Murzyni mieli ze sobą kilka małąp, którym rozbawione panie rzucały orzechy, śmiejąc się z ich pociesznych min i skoków. Wino dodawało humorów, więc w pustynię biegły wesole gamy głosów i szczerego śmiechu. Jeden z Murzynów jął grać na jakimś dziwnym dętym instrumencie w rodzaju fletu, dobywając zeń drżące, płaczliwe dźwięki.

Elegancki Włoch zwrócił się do Mahawastu Dżhanu:

– Niech pan zagra nam coś na skrzypcach.

– Dziś nie – odrzekł Hindus.

Halina spojrzała na niego. Czarne, emaliowane oczy Hindusa odczuły natychmiast jej wzrok i skierowały się na nią uważnie.

– Nie chcę grać w tej... gromadzie – szepnął cichutko.

Strzemska skinęła głową na znak zgody.

Towarzystwo bawiło się hucznie. Mahawastu Dżhanu zawołał z uśmiechem:

– Wystraszyście, państwo, wszystkie tygrysy naokoło! Przepadnie polowanie. Pouciekają aż w góry himalajskie.

– Będziemy je tam gonili – odpowiedzieli chórem gentlemani – A teraz się bawimy.

W pewnej chwili po wieczery Hindus spojrzał znacząco na Strzemską. Zrozumiała i podniosła się z kamienia. Na tle ogniska wysoka postać Mahawastu w białych szatach fałdzystych wydawała się dziwnie nadprzyrodzoną i jakby groźną. Oczy jego paliły się otchłannym żarem. Strzemska uczuła znowu lekki dreszcz lęku, ale się nie cofnęła. Poszła do świątyni. Mahawastu Dżhanu postępował za nią, jakby okrywając ją swoim białym płaszczem. Za nimi podążał służący Hindusa, Nubijczyk, w pasiastym fezie i szerokich szarawarach.

Świątynia nie miała drzwi, tylko głębokie wrota w kształcie łuku. Można było tam wjechać czwórka koni. Nubijczyk został przy wejściu.

Strzemska i Mahawastu szli cicho po kamiennych płytach, dążąc w głąb, pod wyniosły ołtarz, na którym spoczywał olbrzymi posąg z czarnego granitu. Przedstawiał on Buddę w siedzącej postawie z nogami podwiniętymi pod siebie. Potworne dłonie miał otwarte i ułożone w ten sposób, jakby błagał o jałmużnę. Postać jego przygarbiona, pochyła, zdawała się ciężyc głową potężną o zamkniętych oczach, obwisłych wargach i ciężkich zwalistych policzkach. Twarz miała wyraz senny, ale okrutny. Była w niej zimna bezwzględność i groza. Posąg jakby mówił wyrazem swej olbrzymiej twarzy: Wiem wszystko, nie daruję nic i nic nie wybaczam...

Bóstwo robiło wrażenie utajonej potęgi w kolosalnych kształtach zewnętrznych. Mały kaganek oliwny, palący się z boku na płaskim kamieniu umieszczonym wedle zwyczaju indyjskiego na czterech mniejszych kamieniach jak na podstawie – pełgał żółtym światłem po czarnym posagu, nadając mu jeszcze straszliwszej fizjonomii. Przy kaganku siedział fakir, asceta w czarnym długim burnusie na białej szacie, na głowie miał czarny turban w złote dziwaczne desenie, nogi – w drewnianych sandałach. Siedział w kucki zgarbiony, z rękami ukrytymi w rękawach białej, spodniej szaty.

Halina utkwiała oczy w tajemniczej twarzy bramina. Znała go już, jednak ta twarz interesowała ją zawsze. Suche, ciemne policzki ascety były jak pergamin, nos wydatny, drapieżny, o nozdrzach mocno wykrojonych. Usta zawiędle, zaciśnięte jakąś mocą wewnętrzną, silnym nakazem olbrzymiej woli – wysuwały się nieubłaganą linią nad czarną brodą, osrebrzoną lekкими pasmami siwizny. Oczy patrzyły spod turbana, ale zdawało się, że patrzą gdzieś w przepaść i z przepaści.

Gdy Halina i Mahawastu Dżhanu podeszli blisko, fakir spojrzał na nich groźnie i rzekł ostrym tonem:

– Spóźniacie się. Oliwa zgaśnie, a bóstwo nie lubi cienia.

Mahawastu powiedział coś do fakira po sanskrycku, ten pokiwał głową na znak zgody. Wówczas Mahawastu wziął rękę Haliny i przesunął ją bliżej ku fakirowi.

– Niech pani siądzie tu, na tym kamieniu – szepnął jej do ucha.

Strzemska usiadła, owijając się szczelnie białym szalem, i głowę pochyliła ciekawie ku braminiowi. On wpatrzył się w jej rysy, badał je ze szczególną uwagą, po czym dziwne żrenice jego wpiły się w jej oczy, sięgając zda się do dna duszy.

Fakir wyciągnął szyję. Szeroko otwarte oczy, w których płonęły dwie pochodnie, wżarły się zaborczo, tyrańsko w źrenice Haliny. Ona drgnęła i cofnęła się. Głowa bramina poszła za nią niby głowa sępa, opatrzona ostrym dziobem.

Wtem bramin odsunął się nagle do tyłu, chwycił kaganek i podniósł go w górę, oświetlając czarny posąg Buddy. Sępie źrenice fakira utkwily teraz w groźnej twarzy bóstwa z jakąś zabobonną, służalczą trwogą.

Strzemska doznała tego samego wrażenia i tamując oddech w piersiach skierowała oczy na posąg.

Usta bramina poruszały się: przemawiał do Buddy czy powtarzał wyrok tajemnicy, płynącej jakby z kamiennych ust potwora.

Wreszcie fakir postawił kaganek i na nowo wpatrzył się w oczy Haliny, mając ręce ukryte w rękawach. Po chwili jął mówić wolno głośnym półszepceniem – nie odrywając wzroku od niej:

– Szukasz swego szczęścia... to perła na dnie morza... słuchaj pilnie, by usłyszeć jej cichy szmer, gdy wysuwać się będzie ze swej konchy... dla ciebie... Patrz pilnie, by ujrzeć jej lśnienie z głębin, spoza fal, odmętów... W tobie *atman*, *agni* ... Pragniesz *Suryi*, lecz strzeż się, strzeż przyływu *prmhany* ... ona głuzy słuch, oślepia wzrok... Twój *atman* zwycięży, jeśli... całą istotą łąkniesz *Suryi*...

Fakir umilkł i długo patrzył na Strzemską.

– *Surya* twoja zbliża się... z odmętów wód... nadpłynie... w potędze... rozszarpiesz dla niej w ofierze serce mężczyzny... serce płomień... ciśniesz je w morze na piany jak ptaka białego... Oddasz jej siebie całą... i... i... wyrosną przed tobą dwie mogiły... odległe... mogiły ludzi oddanych tobie... Po ich mogiłach pójdziesz od *Suryi* swojej... w światłość.

Fakir zamilkł znowu i zaczął się cicho modlić ze spuszczoną nisko głową.

Strzemska siedziała bez ruchu, bez tchu, wpatrzona w fakira wzrokiem pytającym... Zaległa cisza prawie głucha. Mahawastu Dżhanu patrzył na Halinę, chcąc wysondować z niej myśl i wrażenie wywołane wróżbą. Odczuł, że jest ogromne. Po długiej minucie Halina spojrzała na Hindusa pytająco:

– Czy już wróżyć więcej nie będzie? – spytała.

Dojrzał jej wzruszenie i pochylił się niżej nad nią.

– Czy pani żąda jeszcze?... Nie wolno komentować wróżby.

Strzemska zawahała się, po czym spytała bramina z drżeniem trwogi:

– Kogo pokryją te... mogiły?...

– Rzekłem... ludzi, których *atman* przy tobie... jednego pochłonie... tajemnica... zabija ciało... jego *atman* silny.. pozostanie drugi... to biały szczur... pociągany mocą magiczną pytona-żarłacza sam szedł w jego paszczę... przejrzy za późno... sam zginie.

Cisza... tylko skwierczała oliwa w czarce, dopalał się lniany knot. Aż w tę ciszę bezmierną wpadł nagle jakiś pisk przykry, syk, po czym spod kapiteli rzeźbionych, spod filarów i kolumn świątyni rozległy się dziwne skrzeki, świsty, klaskania. Strzemska z przerażeniem spojrzała w górę. Mahawastu Dżhanu ścisnął łagodnie jej drżącą rękę i rzekł uspokajająco:

– To nic, zbudziły się ptaki.

Halina podniosła głowę, wyteżyła wzrok. W górze, hen pod mrocznymi sklepieniami, macyły gęsto gniazda, istne kolonie gniazd ptasich. Stamtąd dobywały się teraz różne głosy zbudzonej skrzydlatej rzeszy. W ich krzykach i skwirach był gniew i protest za zmącenie spokoju, był lęk i zdumienie. Rozgwar ptasi złagodził nieco bolesne uczucia Haliny po wróżbie... Ale wiedzona nieprzepartym jakimś urokiem tej wróżby, pochyliła się do fakira i spytała cicho, uroczyście:

– Czy osiągnę w pełni blask *Suryi*?

Fakir wpił w nią oczy.

– Rzekłem. Tęsknisz... tęsknota zwycięża tylko duchowa. Tęsknota zmysłów nie przebije gliny i sama w nią się zmienia. Tęsknota ducha przebija marmur i ryje w nim pamięć wiecznie trwałą. Suryę osiągniesz w pełni... nie zaraz... jasność przyjdzie w mrokach.

Strzemska milczała jak w otumanieniu hipnotycznym. Błada jej twarz mieniła się łunami ognia, oczy przymknęła, bojąc się instynktownie, że wyraz ich ją zdradzi pod sępiim wzrokiem fakira i badawczym Mahawastu Dżhanu. Nagle zabrzmiały pógłośnie słowa bramina:

– Żyj duchem i w duchu trwaj. Pokój z tobą.

Strzemska ocknęła się. Zwróciła się do Mahawastu z prośbą w oczach:

– Niech on mi powie coś o ojczyźnie mojej.

Mahawastu powtórzył prośbę braminowi, ale ten milczał długo. Po pewnej chwili dopiero wziął czarę granitową stojącą obok bóstwa, nakruszył do niej gałązki cierniowej, drugą gałązkę zapalił nad kagankiem i rozniecił nią płomień w czarce. Po czym wyjął z zanadru zwitek jakiś, wysypał z niego czerwony proszek na płomień w czarce i znowu podniósł ją wysoko, oświetlając bóstwo Buddy. Dym purpurowy niezwykle wonny i duszący wybuchnął z czarki i jął rozpełzać się jak kadzidło, omotując szkarłatną mgłą pasąg i skupioną postać fakira. Oczy bramina, jak żużle gorejące, śledziły skrety dymu, biegly śladem purpurowych pierścieni, nie zmrużyły się ani razu, jakby powieki skamieniały.

Strzemska zawisła wzrokiem na oczach i ustach wróżbity. Nie zauważyła, że Mahawastu Dżhanu stanął za nią pochylony i że otoczył ją prawie swym płaszczem jak jastrzęb skrzydłami. Oczy Hindusa, spuszczone na nią, były także jastrzębie. Okrył ich wszystkich obłok krwawy, skłębiony dym kadzidła.

Wtem fakir przemówił, wpatrzony w czar snujących się dymów:

– Naród z natury żywotny... obumiera zatruty... Nadmiar złej prudhany niszczy, gubi... Atman ginie, wygnany przez zbrodniczy Vayu najstraszniejszy, nie z gwiazd – spod ziemi wiejący. Ten Vayu to śmierć. Ten Vayu to chaos – przepaść. Ten Vayu – to wieczna noc...

Bramin zamilkł. Ostatnie słowa z sykiem wyszły z jego ust, oczy żarzyły mu się ogniem tajemnym. Odchylił głowę w tył i znowu ją podał naprzód ruchem gwałtownym.

Strzemska była zdrtwiała, zimne dreszcze przejmowały jej ciało, pochylona głową w stronę dymów purpurowoszarych chłonęła ich kłęby z natężeniem całej duszy, całej istoty myślącej, wszystkich nerwów i czuć.

Fakir był jakby zahipnotyzowany widokiem dymów, badał ich skrety, załomy, przepalał wzrokiem płomień strzelający z czarki.

Usta jego znowu poruszyły się, Halina drgnęła.

Bramin zatopiony wciąż oczami w dymie zaczął szeptać tajemniczo:

– Wąż jest wśród was, pyton-żarłacz, powstały z jaskini ziemnej. Ciecz jego jadu zakaziła wielu. Magia jego zbudziła niszczycielski Vayu spod ziemi... Zguba... przepaść...

Fakir nagle cofnął się w tył, zmierzył dzikimi oczyma skręt dymu rozpadający się w pojedyncze pióra i zasyczał przejmującym szeptem, w którym była głucha trwoga:

– Budźcie atman! Budźcie atman wasz! Budźcie go prędko – to ratunek! On zgładzi gada jaskiniowego, on zniszczy złe prudhany, on zdusi niszczycielski Vayu. Atman, atman wasz budźcie, by nie umarł. Zguba wtedy... zguba...

Fakir podniósł wyżej czarę, rozszerzonym wzrokiem przenikał purpurowe dymy długo i pilnie, mówił cicho z przejęciem:

– Zabijają atman wasz... nie zabijają... ożyje!... Surya narodu twego daleka... daleka... nadzieje, gdy już zbieleją kości tych... co upadną... tych, co się sami zgładzą... Wtedy Surya dla was w pełni... Nagle zawołał głośno, z przerażeniem, jakby zobaczył wizję:

– Atman wasz zabijają!... Ratujcie go...

Czarka wypadła z rąk fakira na kamień. Dym rozpełznął się nisko. Fakir siedział długą chwilę bez ruchu z odchyłoną w tył głową i z zamkniętymi oczyma. Po czym jakby się prze-

budził, podsunął się na kolanach do posągu Buddy i upadł czołem do jego stóp. Z rękoma przy skroni leżał bez głosu, bez poruszenia. Modlił się.

Halina Strzemska była pod strasznym urokiem, zaklęta w żywy posąg grozy i przepastnie głębokiej myśli.

Mahawastu Dżhanu pogrążony w zadumie patrzył na nią.

Purpurowe dymy z przewróconej czarki pełzły po kamieniach mrocznej stupy jak krwawoszare pytony-węże. Cisza, cisza niemal grobowa zaległa kamienny gmach, otuliła sobą potworną postać bóstwa i trzy osoby u olbrzymiego piedestału zamarłe w milczeniu, zapatrzone we własne duchowe odmęty, w przyszłe zagadki i tajemnice ludzkości.

XIV

Wielki parowiec angielski „Glaring” wypływał z portu. Łagodnymi zwrotami omijał stojące na kotwicy okręty, kurzył dymem czarnym i pienił wodę za sobą tak, że zostawał po nim szlak jakby rany wyciętej w morzu, bulgoczącej pianą zbitą na miazgę. Brzeg, zabudowania portowe usuwały się w głąb lądu. Kontynent tworzył teraz półkole. Miało się wrażenie, że port i miasto wsuwają się w środek lądu: tak nikły, malały, aż stały się tylko punktem małym i ten wreszcie zatonał w zielonej fali, pokrytej fryzami pian.

Parowiec sunął wolno, z majestatem, biorąc pod siebie nadpływające do jego stóp w korynym hołdzie krótkie fale. Dosięgnął pełni morza. Otoczyły kadłub potężne zwały wód, coraz większe bałwany rosły, podnoszone przez wiatr; oblizywały gładkie boki kadłuba z warkiem głodnych zwierząt. „Glaring” odsuwał wodne masy, wspinając się lekko na ich grzbiety, miażdżył je, parł naprzód nieustraszony, wielokrotny już zwycięzca w walce z morzem. Wkrótce miał ujrzeć przed sobą ocean i dążył ku niemu z paradą swych rozwitych dymów, ufny w mocarność swych maszyn.

Wiatr wschodni dał w bok statku, wody opluwały pokład obficie. Zrobiło się chłodno. Obłoki zawisły nisko ołowiane, ciężkie. Pokład opustoszał, podróżni schodzili do salonów. Zbliżała się pora lunchu.

Halina Strzemska wytrwała najdłużej. Stojąc przy barierze pokładu, przeprowadziła wzrokiem cały horyzont niknącego lądu, aż do chwili jego zatonięcia w otchłaniach. Z rozkoszą puściła oczy na bezkresne odmęty, bliżej błękitnoszare, w oddali brudnozielone, zawsze przepyszne, zawsze cudownym urokiem tchnące, zawsze dla niej ukochane. Długo topiła źrenice w głębinach gór wodnych, przenikając je do dna, odgadując ich tajemnice. Wiatr ją smagał, lecz się nie chwiała, przeciwnie, lubiła to zmaganie się z żywiołem, który uderzając złowrogim skrzydłem w gładką taflę oceanu zdolny był podnieść go do potęgi tajfunu. Halina trzymała się mocno żelaznej balustrady silnymi dłońmi a wicher uderzał w nią, porywał woal z jej panamy, owijając nim jak złotożółtą błyskawicą jej głowę. Wiatr oblepiał jej postać białymi fałdami lekkiej tkaniny, wydmuchiwał ciemnordzawe włosy spod kapelusza i ją całą zda się unosił naprzód ku sobie, że wyglądała jak białozłoty motyl, zaczepiony o burtę parowca.

Kontynent wsiąknął już dawno w bezdenną toń, znikły wszystkie ślady bliskości lądu, statek nurzał się już w pełni zbałwanionych sinostalowych odmętów morza.

Myśl Haliny biegła naprzód, wyprzedzając statek. Pełną piersią wciągnęła w płuca słonowodowe tchnienie morskie, duch jej nabierał tężyzny, jakby pod wpływem narkotyku upajającego duszę stęsknioną, duszę, która łaknie wyzwolenia z oków codzienności i dąży ku swojej baśni wymarzonej. Sny dzieciństwa i pierwszych wiośnianych lat spełnione w części, ale cały przepych ich treści zatopiony jeszcze w błękitnej mgie najtajniejszych tęsknot i najświętszych marzeń widziała w cudnej glorii niepokalanie boskiej ekstazy. W takich jedynych chwilach wszystko, co było w niej najistotniejszego, co tworzyło jej naturę, co serce jej przepełniało uczuciem, składała w hołdzie tej wizji, wizji-bóstwu. Czuła i teraz, stojąc na pokładzie, smagana wiatrem, zapatrzonej w bezmiary i otchłanie morza, że wizja uroczna płynie już ku niej, by ją pogrążyć w zaczarowanym kręgu. Unosiła już ją egzaltacja przeczuć najdroższych.

Halina nieczęsto poddawała się przemożnym nakazom takiej chwili. Zbyt uroczysta była dla niej, by mogła stać się powszednią. Serce jej ścisnął żal, że nie jest sama, że obecnie musi być trzeźwa, gdyż jest wśród ludzi.

Na pokładzie snuli się marynarze, kilku podróżnych wyjrzało z kabin, aby zbadać pogodę. Strzemska nagle przypomniała sobie, że ma list pana Jacka, otrzymany w porcie, który właśnie opuścili i że listu jeszcze nie czytała.

W ostatnich czasach, szczególnie po wróżbie fakira, dręczył ją dziwny niepokój o starego przyjaciela. Miewała sny o nim niemiłe i bardzo często nasuwał się jej wyobraźni w sposób budzący w niej lęk o niego. Czuła dla tego starca kult wyjątkowy i jakby uczucie córki do ojca. Był jej bliski.

– Co on pisze?

Z tym pytaniem szła do kabiny, gdy zaskoczył ją hałaśliwy głos gongu, zwołujący na lunch. Zbliżył się do niej młody Włoch-turysta w białym, wytwornym stroju.

– Pani znowu samotnie marzyła... Nie odważyłem się jej przerywać, jakkolwiek morze boksuje i podmuchy ze wschodu są nieco chłodne. Wszak na morzu pozwala mi pani również opiekować się sobą, nieprawdaż?

Strzemska podniosła na niego zdumione oczy.

– Opiekować się mną?

– Och, pani tak groźnie patrzy! Sądzę, że jako towarzysz pani w podróży i przy stole mam prawo opieki nad nią. Czyż na morzu mam być zdetronizowany?

– Ależ proszę, owszem... przy lunchu jest pan zupełnie miły i.. znośny.

Ciemny rumieniec wystąpił na smagłej twarzy Włocha.

– Zachęta niepobudzająca – mruknął.

– Musi pan, niestety, poprzestać na takiej – zaśmiała się.

– No, dobrze, jestem wytrwały, tylko ten Hindus-filozof drażni mnie.

– Dlaczego? Mahawastu Dżhanu jest bardzo ciekawy. Za jego pośrednictwem poznałam fakira-bramina.

– Wiem, uczył panią sanskrytu i wróżył pani. To niezupełnie bezpieczne. Z pomocą swego fakira będzie panią hipnotyzował, a taka hipnoza bywa nieraz trująca...

– A czy pan wie, jaki jest na to najpewniejszy antydot?

– Nie wiem.

– Skoro jest już ktoś zahipnotyzowany, wówczas żadna hipnoza nie działa.

Strzemska weszła do sali jadalnej. Włoch patrzył na nią niepewnie. Był zaintrygowany.

Sala, przepełniona mnóstwem osób, rozbrzmiewała gwarem rozmów. Wykwintne, strojne postacie kobiet kwitły w otoczeniu mężczyzn cywilnych i wojskowych. Wesoło grupowały się pary przy stole. Do Strzemskiej podsunął się natychmiast Mahawastu Dżhanu. Skierował oczy na Halinę i asystującego jej Włocha. Niechęć, niecierpliwość wystąpiła wyraźnie na jego twarzy. Strzemska zwróciła się do niego wesoło i przyjaźnie:

– Nie widziałam pana od wypłynięcia z portu, sądziłam że pan został na lądzie.

– Skądże! Obserwowałem panią przez cały czas zapatrzenia się jej w morze.

– Doprawdy? Skąd?...

Siedli do stołu. Hindus pochylał ku niej swój biały turban na pysznej głowie.

– Mam taką skrytkę na pokładzie statku, skąd widziałem panią wybornie, jednak z daleka. Więcej przeczuwałem, gdyż wyrazu jej twarzy dostrzec nie mogłem...

– Jakież wniosek przeczuć?

– Jak zwykle. Tęsknota wielka za czymś, co w duszy pani żyje potężne, może niezłomne, co wywołuje baśniowe fatamorgany i... jest hipnozą pani.

Po jasnej twarzy Strzemskiej przebiegły nerwowe drgania i usta jej zadrżały silniej.

Chcąc zagłuszyć swoje uczucia, spojrzała bokiem na Włocha uśmiechnięta.

– Słyszał pan? Hipnoza.

– Słyszę – odparł kwaśno.

– Na panią działa jakaś olbrzymia hipnoza. Odczułem ją od razu, gdy panią poznałem. Fakir to potwierdził – mówił Mahawastu Dżhanu. – Ale dziś unikała pani marzeń, odtrącając je od siebie.

Strzemska rzuciła na niego wzrokiem ciekawym.

Na ustach buddysty zjawił się blady uśmiech.

– Czy odgadłem?

– Ostatni wniosek trafny.

– Że pani jest pod wpływem silnej hipnozy czy narkozy to także wniosek nieomyślny. Do-
tąd jej nie znam, lecz wkrótce odgadnę, przeczuję. Muszę.

Cień niepokoju omgłił rysy Strzemskiej, jednocześnie buntem zapłonęły jej oczy, wyraz dumy osiadł w nich, gasząc chwilowy ich blask. Twarz jej ochłodziła na krótko, bo nawet czu-
jąc na sobie badawcze spojrzenie czarnoopalowych źrenic Hindusa uśmiechnęła się niby swobodnie, lecz przy wyrazie jej twarzy uśmiech ten był zagadkowy. Rzekła z pozorną swo-
boda:

– Owszem, to do odgadnięcia łatwe, przedmioty moich tęsknot i marzeń są panu dawno wiadome.

Słowa te wywarły pewną konsternację. Włoch zapłonął ogniście, Hindus wpił w nią oczy pytające.

Halina zaśmiała się szczerze ubawiona.

– Więc nie odgadujecie panowie?

Zwrot w liczbie mnogiej wywołał marsa na twarzy Hindusa.

– Nie, pani – odrzekł poważnie.

– Ja... bałbym się – wtrącił Włoch.

– Ha, ha, ha – śmiała się Halina. – Ależ znaną tęsknotą moją jest... Sfinks i białe dzongdze indyjskie.

– Aaa!

– Cóż w takim razie znaczą wróżby fakira – spytał Hindus. – Śmiech pani brzmi nienatu-
ralnie.

– Pan zbyt wiele chce odgadywać. Tymczasem przedmioty tęsknot moich, które wymieni-
łam, są także nie do osiągnięcia.

– Dlaczego? – spytał Włoch.

– Niechże mi pan tu, na ocean, sprowadzi Sfinksa.

– A, ba!... Gdyby samo pragnienie moje wystarczyło, już by tu był. Ale pan – zwrócił się do Hindusa ze złośliwym uśmiechem – posiada różne magiczne tajemnice, czerpane z tych tam sanskryckich ksiąg. Powinien pan sprowadzić pani tego potwora, aż tu, na statek.

– Możliwość moja nie dosięga Sfinksa. Pani jest uosobieniem jego i dlatego odgadnąć panią i przeniknąć trudno – rzekł Hindus poważnie.

Strzemska miała oczy błyszczące. Podniosła w górę kielich burgunda, mieniącego się w kryształach jak płynny rubin.

- Zdrowie tego, kto tęsknoty moje choć w części zaspokoi!
 - Żałuję, że nie jestem Herkulesem – rzekł Włoch z rezygnacją.
- Mahawastu Dżhanu powstał z wyrazem ożywienia i wysoko wznosił kieliszek.
- Dobrze! Zdrowie tego, kto w części ziści marzenia pani... wyjawione. Zaznaczam...

Halina spojrzała na niego ciekawie. Na Hindusa patrzyło całe towarzystwo za stołem, gdyż nie widziano go tak podnieconego.

Stuknęli się kieliszkami. Halina zanurzyła na chwilę źrenice w bezdennej głębinie przepastnych jak noc księżycowa oczach Hindusa.

- Dzika bestia – szepnęła końcami warg, czując w żyłach dreszcz jakiś niesamowity.

Mahawastu Dżhanu pochylił się nad nią.

- A gdy spełnię marzenie pani, co... potem?...

Ocknęła się. Zsunęła brwi i śmiało wytrzymała wzrok jego.

– Cała sanskrycka filozofia pańska i wszystkie magie braminów waszych, i hipnotyzmy fakirów nie byłyby zdolne stworzyć dla mnie większego szczęścia nad spełnienie marzeń moich, nad osiągnięcie ideału tęsknoty.

Hindus wyprostował się dumnie. Był zawiedziony.

- A, jeśli tak... to jest również ponad możliwość moją.

Strzemska zmieniła temat rozmowy. Po lunchu, ponieważ wicher się wzmógł i bałwany zbyt opływały statek, Halina zamknęła się w swojej kabinie i odpieczętowała list pana Jacka. Póллеżąc w wygodnym fotelu, czytała:

„Droga Pani. Chcę się oderwać od szarej rzeczywistości i pędzę wyobraźnią na południowy wschód, gdzie Pani przebywa gdzieś na falach oceanu lub wśród cudów indyjskiej przyrody. Szczęśliwa Pani! Okrzyk ten uświadomi ją co do obecnej psychologii... Jestem w kraju, ale jakże go sobie inaczej wyobrażałem, gdzież są moje marzenia i sny? Wojna zostawiła ślady swoje krwawe na całym społeczeństwie, piętno to, wybite brutalnym obuchem deprawacji. Jakaż zmiana w ludziach przekropna! Czyż to są ludzie wolnego kraju, ludzie, wyzbyci oków niewoli, których duch już wyzwolony bując powinien lotem orlim pod najwznioślejszymi szczytami ideału! Ten duch polski zda się był nieśmiertelny, za niego ginęło tysiące serc młodych, zapalnych, tak opanowanych ideał, że niemal opętanych przez nią. Ten duch polski wszak żył, dążył do chwili wyzwolenia i oczekiwał bohatercko na tę chwilę wielką. A oto nadeszła i... gdzież jest nasz duch? Wyzwolony, wolny, zatem potężny... Gdzież on jest? Ach, Pani droga, jakże smutno, bo szukam go na próżno! Pamiętam twoje milczenie, Pani, pod Sfinksem. Milczałaś, a jam śnił o Polsce. Milczałaś słusznie, bo snów się nie przerywa, gdy są zbyt cudne... Wielkim wizjonerem był Wyspiański, którego zaledwo po powrocie do kraju czytałem u Ezopa Jerzejskiego. „Wesele” (dar Pani) to doba obecna. Ach, jakże boleśnie sprawdziło się „Wesele” i trwa nadal! Jesteśmy właśnie w momencie tańca. Chochół nam gra, Chochół słomiany na patykach, a my tańczymy jak obłąkani, jak senni, bo jakiś dur spadł na nas, dur zaślepienia, głuchoty duchowej... „Rozpion się nad nami Los”, lecz „Lęk i Strach nas nie wzion”, bo nie usłyszeliśmy głosu ducha. A Chochół mówi do Jaśka: „Powyjmuć im kosy z rąk, poodpasuj szable z pęt, zaraz ich odejdzie smęt, na czołach im kółka zrób, skrzypki im do ręki daj, ja muzykę zacznę sam, tego gram, tego gram...” My już tańczymy we śnie jakiegoś duru, obyż nam kos z rąk nie wyjęto i obyż nam nie „roześmiano się w nos”, wedle zachęty Chochóła, bo „już chwytajom się w tan, już nie czujemy ran, zniknął czar”. Ale Chochół mówi: „to drugi czar”, czar snu jakby somnambulicznego, w którym łatwo ojczyznę zgubić, jak Jasiek zgubił złoty róg, bo szukał czapki z pawich piór. „Czapkę wicher niesie, róg huka po lesie, zostanie się ino sznur...” A tymczasem „nas chyciło jakieś spanie” w tańcującym kręgu przy muzyce Chochóła. A tu „Pieje kur; ha, pieje kur” – czyż z nas nikt go nie słyszy!...

O, Pani droga, jak beznadziejnie smutno w Polsce, bo takie mgły gęste omotały społeczeństwo, że znikło w tym tumanie wszystko, co było piękne, święte, drogie dla Polaka. Giniemy,

Pani, duchowo i to już nie pesymizm, lecz prawda. Ratunku! – woła Polska do swych synów, ale oni... tańczą we śnie, zahipnotyzowani muzyką Chochoła...

Szczególnych doznaję wrażeń, patrząc na społeczeństwo nasze dziś, po tylu latach wygnania, dziś gdy już mamy Polskę. Wrażenia moje są bolesne. Brak sił i możliwości widzę u tych, którzy by pragnęli ratunku ojczyzny kosztem życia własnego.

Będąc sekretarzem Mgławicza, nic nie mogłem w tym zakresie uczynić, więc teraz tym bardziej, skoro ze stanowiska tego wystąpiłem. Pożegnałem ekscelencję, gdyż on należy do partii chcącej budować nie ojczyznę, lecz własną egzystencję. Mgławicz zapisał się do szeregów tych, którzy się źle czują w otoczeniu ludzi o odmiennych poglądach, ludzi chcących przede wszystkim dobra Polski, nie zaś swojego wyłącznie. Partia, w jakiej przebywa Mgławicz, dąży do zupełnej samodzielności w rządzie, by móc na jego fundamentach budować własne twierdze. Aleksy Mgławicz jest bezwzględnie wciągnięty w otchłań tych knozań i sądzę z wielu powodów, że bliskim jest jego przejście. Pani wpływ na niego byłby, o ile wiem, kolosalny, a więc zbawienny. Ale Pani się od wpływów tych usunęła. To źle, Pani droga, bo tu nie chodzi o własne uczucia, lecz o człowieka na odpowiedzialnym stanowisku. Wpływać dodatnio na swoje otoczenie on nie może, gdyż jest sam pod wpływami, ale mógłby przynajmniej nie grzęznąć i jasno widzieć co się dzieje w Polsce. Partia jego to towarzystwo wzajemnej adoracji, popierają głównie siebie, obdarzają się zaszczytami i orderami najwyższymi w Polsce bez względu na to, czy dany osobnik zasłużył istotnie na takie odznaczenie. To, co się dzisiaj dzieje w Polsce, każe stawiać ponure horoskopy i przypuszczam, że Mgławicz zrozumie to wkrótce.

Pani droga, wróć do Polski, wróć do kraju własnego. Pisałaś, że takich jak Pani marzycieli Polska nie potrzebuje, ale właśnie nam brak marzycieli, idealistów. Materializm, cynizm, oportunizm rozszerza się coraz groźniejszym zalewiskiem. W Polsce czeka praca olbrzymia, tu potrzebne siły nowe, siły twórcze, o podkładzie na wskroś idealnym, szeroko pojętym, bez partyjnych partykularizmów i związkowych obostrzeń. Tu trzeba pracy ogólnej, nie zaś prac krecich, tu trzeba pełni światła, nie ciemności, w której partyjne kopczą latarnie. Wiem, że to są prace nie z zakresu Pani i nie na jej barki, ale każdy najdrobniejszy czyn i każda myśl skierowana ku istotnemu odrodzeniu Polski jest kroplą dobra i piękna w morzu zła i bezprawia, kroplą, która ginie, lecz tworzy. Nie jest teraz w Polsce miło, przyznaję, nie jest wesoło, jest nawet bardzo smutno, ale właśnie dlatego nie trzeba stąd uciekać, lecz starać się wytworzyć w Polsce ideałów jak najwięcej, by zmienić jej ponury smutek w radosny stos światła promieniującego. Do tego natura Pani impulsywna, energiczna, samodzielna, marzycielska, hołdująca pięknu i sile, a zatem i dobru nadaje się w zupełności. Szkoda zapału Pani dla Indii i oceanów. Pani przyjedzie, bo Pani to zrozumie.”

Pan Jacek opisywał jeszcze dużo szczegółów, o których wiedział, że zaciekawia Strzemską. O Mgławiczu była jeszcze taka wzmianka:

„Jednak należy on do wstrzemięzliwych pod każdym względem. Widocznym jest, że człowiek ten posiada w sobie duży zasób samokrytycyzmu i że czasy ostatnie etyki w nim jeszcze nie zabiły do reszty, co się spostrzega u innych. Idea użycia materialnego rozrosła się w Polsce zastraszająco. Młodzi i starsi pływają się w epikurejskich rozkoszach i wyuzdaniu. Pijaństwo wśród młodzieży wiejskiej i miejskiej burżuazji, karciarstwo, rozpusta, erotyzm, są to wrzody toczące organizm społeczeństwa naszego. Mgławicz znajduje się pod wpływem tych wyziewów zakaźnych, otaczają go pokusy i ciągną w błoto hulaszce. Pomimo tych pokus trzyma się on jednak w pewnej rezerwie. Umie władać sobą przynajmniej pod względem etycznym i pod tym względem jest silniejszy niż inni. Pływa, ale się nie nurza. Pragnę sercem całym, aby i on nie pogrążył się w tę kąpiel gorącą, zabójczą, która resztę krwi i sił wydziera Polsce. Przyjazd drogiej Pani byłby dla niego zbawieniem. Jego warto ratować, on nie jest do rdzenia przejeżdżonym przez zarazę doby obecnej. Mógłby stać się człowiekiem nowej, dobrej przyszłości, gdyby wyrwało się go z dzisiejszej stęchlizny.”

Skończywszy list Sybiraka, Strzemska zamyśliła się głęboko. Niepokój, odczuwany dawniej, wypełznął teraz i nurtował.

Więc fakir wróżył trafnie... Dlaczego on nie pisze o sobie. Co się z nim samym dzieje?...

Pytania te dręczyły ją jak złe a nieokreślone przecucia. Przerzuciła list raz jeszcze, czytając go urywkami, badała charakter pisma nierówny, urywany. Snadź drżącą ręką kreślone litery miały w sobie niekiedy jakby krzyk rozpacz. Strzemska umiała czytać z fizjonomii liter. List pana Jacka był dla niej ciekawym eksperymentem, ale ponieważ rozumiała i kochała tego starca, niepokój jej wzrastał. Zagłębiła się w fotelu i zamknęła oczy. Ujrzała w wyobraźni sylwetkę pana Jacka, ale jakże inną! Wychudłe policzki starca tonęły teraz w zarostie białym jak śnieg, wąsy miał białe i one to dziwnie odbijały się od żółtej, pergaminowej skóry. Nos nieco orli zaostriął się, usta miały w sobie tragiczny wyraz, białe przeredzone włosy okrywały czaszkę żółtą i suchą. W rysach twarzy był smutek i zaciętość energii, woli i jakiejś siły przemożnej, czoło wysokie poryte bruzdami myśli i smutku. Na czole nad brwiami guzy wybitne, znamionujące bystrość umysłu, pod nimi oczy myślące, siwostalowe o szczególnym wyrazie nieugiętej męskiej potęgi charakteru, przepojone tęskną zadumą, jakby ten człowiek widział ponad głowami tłumów odległe horyzonty. Był w tych oczach zmęczonych bezdenny smutek, był ból okropny, ale był żal i cierpienie za ogół, były pytania jakieś trwożne.

Ten sam – myślała Strzemska – tylko zbieleł, zżółkł i zgiął się fizycznie, męka jakaś niewypowiedziana tchnęła w jego rysy tyle wyrazu bólu i goryczy, skrzywiła mu usta tragicznie, wlała do oczu ufnych, do oczu miłujących tyle bezdennego smutku, tyle pytań.

Gdziez twoje nadzieje, starcze, gdzie twój optymizm złoty, gdzie wiosna twoich tęsknot i umiłowań, gdzie twoja wiara dziecięca w swego boga-ojczyznę, gdzie twój zapal, twój jasny, pogodny wzrok?

Czyż on jest teraz takim samym, jak go widzę?... Skąd ta wizja dziwna tak nagle nadpłynęła, taka plastyczna?...

Halina pogrążyła się w cichej, bezsłownej modlitwie, lecz powoli, powoli słowa jej własnej, nie uczonej modlitwy umilkły, bo oto obok postaci starca jęła wyłaniać się niby z mgły jakiejś mistycznej olbrzymia postać kamienna z piętnem stuleci na twarzy. Mgła szafirowo-srebrna zaczęła się rozsuwać i ukazała Tajemnicę. Patrzyły na Strzemską głębokie oczodoły wiekowej epoki, ujrzała rysy skupione w satyrze niepojętego uśmiechu, ujrzała usta kamienne, na których jakby zastygły zgrzyty ironii, na których sarkazm zlewał się zgodnie z pobłażliwą filozofią myśliciela i mistyka. Zaduma i szyderstwo, obojętność i dziwaczny wyraz, ciekawość po tyłu zdobytych prawdach i zagadkach, po tyłu tajemnicach wszechświatowych istnień... A jednak w kamiennych oczodołach i na kamiennych ustach, pleśnią wieków opatynowanych, było jeszcze bolesne pytanie przy enigmatycznej wszechwiedzy.

Sfinks...

Strzemska wstrząsnęła się.

To Sfinks z tamtej nocy srebrnobłękitnej, kiedy stała pod nim z panem Jackiem. Ileż razy potem była tam sama, zapatrzona w potężny pomnik tajemnicy wieków! Ileż razy tam marzyła, czytała i odgadywała te hieroglificzne rysy, czytając w nich odpowiedzi na pytania swoje najdroższe. I zawsze dziwiła się, że Sfinks, patrząc wyżartymi oczami w księżycową tarczę – pytał. Wszak w jego uśmiechu była już wiedza i przecucie wszystkiego, i on jeszcze pytał, a pytaniem swoim mówił:

– Świat jest odmętem wszystkich oceanów i mórz, wszelkiego chaosu, jest niezgłębnym odmętem tajfunów, nieprzebitą chmurą pustynnego huraganu, który niesie niebotyczne straszliwe trąby wirów. A z tych głębin, z tych burz i zawiei wyłaniają się ciągle nowe tajemnice i nowe, coraz nowe zagadki...

Więc Sfinks pyta, choć wszystko wie, choć wszystko przeczuwa...

XV

Wieczór zapadł na oceanie. Słońce zanurzyło się już w głębinach, tylko górna tarcza świeciła jeszcze niepokalanym złotem, wybuchając jakby fioletami obłoków. Ciemnosine piętna, niby oddech słońca zatopionego w morzu płynęły w górę, zbijając się w gęste runa i nikły, znowu wybuchwały i nikły. Miało się wrażenie, że słońce wylania z siebie wszystką barwę kryjąc się w morzu; a zostawia sobie tylko rdzenne, złane z istotą swoją, przepyszne złoto.

Fale nabrały tonów płomiennych, pełne były gorących łun rubinowych. Pasma fioletów, szafirów plątały się z sobą w mozaice, osypane pyłem barwistym, strzelające iglicami złota i brylantów. Gdzieś tworzyły się otchłanie sinozielone, ponure niby makaty, w jakie ocean przyodziewa się nocą.

Cisza była wielka, przerywana tylko stękaniem śruby parowca i rozlewnym bulgotem fal. Bezustanny a zawsze różnorodny pogwar morza szedł aż do dna i kołysał ocean do snu. Ostatnie piętna fioletów wytchnęła z siebie tarcza słoneczna i znikła w zielonej toni. W jednej chwili na skrzydłach o barwie ołowiu nadlatywał mrok, gładził fale, pochłaniając wszystko złoto i purpurę, pił gorące łuny, ale się nimi nie nasycił, jeno gasił wszystko dokoła, co było blaskiem i krasą. Ciemne pyły swych skrzydeł kładł na wody coraz gęściej, coraz gęściej, aż stały się ciężkie, bezwładne i znużone.

Statek rozpychał fale z okrutną zawziętością, mącąc ich wieczorny spokój. Nagle w tę ciszą zapadającej nocy wpadł jakiś obcy głos, ni to kwilenie mew, nieobecnych zresztą na pełni oceanu, ni to głośniejszy bulgot ściemniałych już wód, ni odgłos ludzki na statku. Było to jakby krakanie dziwnego ptaka, wark jakiś gdzieś, pod obłokami. Głos ten wzmagął się i cichł, znowu potężniał i znowu tonął w bezdennej przestrzeni nadciągających mroków.

Na statku zapłonęły elektryczne światła. Podróżni zbierali się w dolnych salonach, gdzie grała orkiestra. Po upalnym dniu wieczór ożywił wszystkich. Stewardzi roznosili chłodniki, wina, owoce, kawę i cukry, atmosfera wykwintu, zabawy, muzyki i podniety rozpięta nad statkiem swoje gorące opony, przesycone wonią kadzideł indyjskich, palących się gęsto w cudnych czarach. Urok dziwny pływał tu zda się z dymem pachnideł i oczadzał wszystkich wytworną a zmysową rozkoszą.

Na pokładzie parowca stał śniady Nubijczyk w białym fezie w pomarańczowe pasy i śledził z zajęciem głos szczególnie, płynący z górnych sfer. Przez lunetę obserwował obłoki długo i pilnie, aż nagle wybiegł mu z ust krótki okrzyk radosny:

– Allach!

Dojrzał hen, hen w górze punkcik malutki, przecinający złocisty jeszcze rożek obłoku. Ale kruczenie w górze znowu się wzmogło i punkcik jał opadać niżej i niżej, nabierając coraz wyraźniejszych kształtów. Rósł w oczach. Już widać skrzydła szeroko rozwinięte, już widać, jak płynie rytmicznie ze swobodą i pewnością siebie, a turkotanie staje się coraz głośniejsze...

– Allach. Bismillah! – woła półgłosem Nubijczyk, a oczy mu goreją radością.

Jeszcze kilkanaście minut i punkcik przeistoczył się w olbrzymiego ptaka o szerokich potężnych skrzydłach, zajmujących całą niemal przestrzeń. Gigantyczny ptak spadł na fale oceanu.

Nubijczyk odjął lunetę i wypowiedziawszy swoje sakramentalne „Allach”, pobiegł w głąb statku.

W małym zacisznym saloniku, w sąsiedztwie kajut pierwszej klasy, siedziało kilka osób, zasłuchanych w muzykę Hindusa, Mahawastu Dżhanu. Hindus grał na skrzypcach z taką pre-

cyzją i maestrią indywidualną, z takim głębokim odczuciem tajemnicy tonów, że zdawało się, iż to bóg czaru i pieśni wydobywa z zaczarowanego instrumentu jakąś nadziemską muzykę. Melodie arkadyjskie, rzewne a gorące, głębokie i upojne, płynęły spod smyczka genialnego mistrza. Czar potężny haszyszowy osnuł słuchaczy.

Strzemska siedziała zanurzona w trzciniowym fotelu, mając czoło oparte na dłoni i oczy przymknięte jak w uśpieniu magnetycznym. Obok niej, na niskim pufie, siedział Włoch i pławił swoją łącińską duszę w melodii skrzypiec. Dalej, także w fotelu, spoczywała młoda lady angielska. Wysoka jej postać miała w sobie chłodny wdzięk północy, a twarz o zimnym wyrazie była piękna, lecz bezduszna trochę, tchnęła raczej ciekawością niż wrażeniem artystycznej rozkoszy. Błękitne oczy lady przeniosły się z postaci Hindusa na zamyśloną postać Strzemskiej. Ale smukła, nerwowa, lekko opalona ręka Haliny zakrywała jej oczy i tylko z pionowej fałdki na czole, z drżących leciutko warg, nabranych krwią, widzieć się dawało, że nie jest zasłuchana jeno w pieśń baśniową skrzypiec, ale że tworzy sobie teraz sama baśń wyśnioną i że ta baśń urocza jej duszy płynie na falach muzyki w krainy jej własnych ubóstwian, jej własnych, najświętszych umiłowań. Była w niej walka, zmaganie się wszystkich władz żywotnych z jej postanowieniem powrotu do kraju.

List pana Jacka, w związku z wróżbą fakira, wywarł na Halinie wrażenie silne, zbudził w jej sercu głosy zamilkłe pod wpływem tęsknot potencjalnych, które władały nią niepodzielnie. Głosy te nie były nowe, słyszała je dawniej, lecz bez odzewu duszy, bez wnikania w ich treść. Przebrzmiały w jej myśli, zostawiając tylko echa po sobie. Teraz przeciwnie, były zbyt natarczywe, by nie dać im się rozrosnąć w przemożny organ nawołujący. W ciągu kilku dni i nocy podniecała w sobie te głosy, obudzone przez fakira a ocknięte przez Jacka, aż doszła do ostatecznego zwycięstwa nad potęgą swoich marzeń i tęsknot. Trzeba uczynić ofiarę z najukochańszych pragnień własnych i dążyć tam, do ojczyzny. Pan Jacek ma rację, tam jej miejsce i tam ona winna trwać. Nie zastanawiała się, jaki jest cel jej powrotu, bała się zastanawiać. Jacek ją wzywał, wskazując ów cel, i ona iść powinna. Chwilami przejmował ją dotkliwy lęk. Więc rzucić tu wszystko, zapomnieć, pożegnać na zawsze. Więc jechać znowu do tej pracy i jej genezy istotnej, zbawczej. Zwłaszcza teraz... A czegoż doznał Jacek, jakież są jego refleksje po zapale i ukochaniach? A wszakże on posiadał w sobie optymizm niesłychany i żadnych innych marzeń, ideałów, prócz ojczyzny, tęsknoty za nią i wiary, że ją ujrzy promieniejącą. Wszystko to znikło, ugrzęzło w szarzyźnie rzeczywistości. Więc ona ma pożegnać swój świat cudów realnych i swój wszechświat piękności nieziemskiej, pełen zórz, fantazji i tęsknoty. A jednak w ciągu tak długiego czasu zadaje sobie te trwożne pytania i po długiej, męczącej walce odpowiada już zdecydowanie – muszę.

Pograżona w swoich myślach i snach, Strzemska nie widziała czujnego oka towarzyszkii Angielki, nie przeczuwała, że lady chce przeniknąć dziś ostatecznie tajemnicę zamyślenia dumnej Polki i grającego dla niej, tylko dla niej, hinduskiego filozofa. Halina nie wiedziała, że od kilku minut stał przy kotarze w drzwiach śniady Nubijczyk i z uszanowaniem patrzył na grającego. Nie śmiał przerywać muzyki swemu panu, lecz w oczach muzułmanina była wyraźna niecierpliwość.

Nareszcie po tonach tak cichych a śpiewnych jak chrzęst różowych koralii spadających z swych krzewów na miękkie wodorosty morskiego dna – melodia umilkła. Ale jej czar trwał, trzymał ich w zakłęciu. Skorzystał z tego Nubijczyk i szepnął, nie odchodząc od kotary:

- Effendi...
- Mahawastu Dżhanu spojrzal bystro i podsunął się do swego sługi.
- Już są. Hydroplan opada na fale w pobliżu statku – rzekł Nubijczyk.
- Łódź wysłana ze statku?...
- Czekam rozkazu.
- Idź do kapitana. Mówiłem z nim. Zwolni bieg. Sternik uprzedzony i majtkowie. Skoro tylko przywiozą, przynieś tu ostrożnie.

Nubijczyk odszedł nie spostrzeżony.

Mahawastu Dżhanu zbliżył się do pulpitu z nutami, z których jednakże nie grał, spojrzął na obecnych, ale spotkał tylko stalowy, ciekawy wzrok Angielki. Minął go i głębinę swych oczu z opali i lawy utkwiał w postaci Strzemskiej. Otchłanne źrenice buddysty błysnęły tryumfem, na ustach osiadł mu uśmiech niemal tkliwy. Ładnym, miękkim gestem położył skrzypce na ramieniu i, patrząc spod rzęs czarnych na ciemnordzawe włosy Haliny, jał snuć na nowo uroczą pieśń tonów. Przerwany na chwilę czar muzyki rozsunął się ze wzmożoną potęgą i zamknął słuchaczy w kolisku boskich natchnień. Zdawało się, że statek stanął i słucha, że ocean ściszył wieczną rozmowę nurtów, bulgot fal i słucha, że świat cały zamilkł i słucha... A pieśń spod smyczka artysty Hindusa płynęła i napawała urokiem, płynęła i pochłaniała cudem swoim wszystko dokoła.

Aż nadeszła chwila, że przy kotarze zaszeptał znowu cichy głos:

– Effendi...

Mahawastu Dżhanu lekko drgnął, spojrzął na towarzystwo i, nie przerywając muzyki, skinął oczami na Nubijczyka. Smukła postać w pasiastym turbanie przesunęła się cicho jak cień, śniada ręka położyła na pulpicie jakiś duży pakunek w białej bibułce i rozwinęła go. Po czym Nubijczyk znikł jak zjawisko, nikt go nie zauważył.

Tony spod smyczka posypały się kaskadą żywszą, był w nich teraz ogień i drażniące, niby deszcz złotych iskier, *arpeggia*, *fugi* i *scherza*. Grad złotopurpurowy, palący żarem, kłut, przenikał do głębi duszy, do rdzenia ciała, podniecał nerwy, szarpał wichrowym płomieniem. Był w tych tonach gwałtownych spazmatyczny krzyk rozkoszy, łkanie i szal ekstaty, pragnień.

Nikt nie śmiał oddychać, nie śmiał podnieść oczu na twórcę tej muzyki. Grad złota i purpury sypał rześście, odurzał.

Halina drżała jak struny skrzypiec Hindusa. Każdy nerw rwał się w niej, każda kropla krwi paliła ogniem.

Ona jedna podniosła nagle oczy na grającego i – wzrok jej utonął w opalowoczarnych głębinach oczu artysty. Opuściła rękę na fotel. Przeniknął ją dreszcz bolesny nad wyraz. Czowała, że jest przykuta do miejsca, że trzyma ją siła Hindusa narzucona, i to ją podrażniło. A on właśnie czekał na tę chwilę.

Nagle w lawinowym potopie płomiennego gradu tonów Hindus rzucił skrzypce na pulpit, porwał z niego ogromny biały pęk i podsunął się do Haliny. Jego postać harmonijnie przegięta i wulkan w oczach, przyćmionych mgłą namiętności, był skryształizowaniem brzmiącej jeszcze pieśni i ostatniej, szaleńczej egzaltacji. Pełnym wdzięku i powagi ruchem złożył na kolanach Strzemskiej cudowną, świeżo rozkwitłą, pełną czarującej woni i blasku, olbrzymią więź indyjskich dzongdży.

Okrzyk jej zdumienia zduśił cichy a wstrząsający głos z pochylonych nad nią szkarłatnych ust jego:

– Spełniłem w części wyjawione marzenia... pani...

*

Ocean zaczął się powoli wyzwalać z oków nocnego mroku.

Gdy Halina Strzemska wyszła ze swej kabiny na pokład, statek spał jeszcze, oprócz czuwających marynarzy. Widok Strzemskiej o tak ранней godzinie nie zdziwił ich. Znali jej ukochanie morza. Często w nocy przebywała na pokładzie długie godziny, patrząc na fosforyzację oceanu, lub gdy świecił zodiak. I teraz znalazła się zupełnie sama. Trzymała w ręku pęk białych dzongdży, już nieco więdnący, ale o tym silnym zapachu, mającym w sobie jakiś dur wschodni, przesycony rozkoszą zmysłową, wytworną. Śnieżne płatki niebywałej delikatności

drżały lekko w atmosferze świtu. Z szarawych wnętr kielichów wytryskał pręcik niby strumień krwi gorącej. Tak pomarańczowo-czerwone pręciki z purpurą serduszek na końcu, ze szkarłatem cieniutkich wąsów, równoległych z pręcikami, drżały życiem i zdawały się kipieć z dna kielichów. Nieuchwytny, szczególny czar był w tych kwiatach i w ich woni; miały wygląd żywych istot zaklętych w te przepyszne kielichy, jedyne w swoim rodzaju i trudne do zdobycia, jak szarotki na szczytach gór. Strzemska pielęgnowała je prawie z nabożeństwem. Nie dlatego, że sprowadzone tu były z kontynentu na pełnię oceanu dla niej, że przeleciały powietrzem, jak ptaki-wizje, na skinienie Mahawastu Dżhanu, choć nie były istotnym jej mazeniem; ale pielęgnowała te kwiaty dlatego, że teraz postanowiła złożyć je w ofierze oceanowi przy wschodzie słońca jako wyraz swego pożegnania.

Dziś, za chwilę, dokona tego czynu. Całą noc nie spała, szepcząc do purpurowych wnętr dzongdży wszystko to, co było jej treścią, jej duchem, jej istotą, myślą, uczuciem. Mówiła im, co żegna i dlaczego, i co z sobą zabierze, odjeżdżając na zawsze. Dżongdze słuchały jej słów gorących i płonęły żarem zachwyty, słuchały jej wyznań i bladły z żalu i bólu, że wszystko, co jest najpiękniejsze, pożegnać trzeba, że przeznaczenie właściwe człowieka zawsze jest szare, a jeśli błysną złotopłomienne łuny, to po to tylko, by tym jaskrawiej oświetlić szarozną i... zgasnąć.

Dżongdze zbyt dobrze rozumiały szept Haliny, zbyt silnie przejęły w siebie jej uczucia i dlatego odurzająca ich woń wzmogła się i płatki osłabły. Drżały żywe w ręku Haliny, mówiły, zda się, do niej: „Nie zapominaj”, a ona odpowiadała im z przejmującym smutkiem: „Czyż zdołam?...”

Usta jej wrażliwe dygotały tajoną męką przed chwilą pożegnania. Nocne cienie na oceanie, jak nieobjęta chmura szarańczy, zaczynały odlatywać, niby szarańcze zrywające się gromadami. Nikły w przestworzach coraz nowe połacie chmur, odrywały się z fali i znowu nikły. Jakby szyba z gładkiego o zielonym, zimnym odcieniu szkła, tak się ocean wynurzał z chmur cieniów i jaśniał, i lśnił coraz żywiej, coraz bogaciej.

Strzemska w szerokim, białym, sukienym płaszczu obserwowała te odloty cieniów z sercem bijącym i z szepem niepokoju w głębi duszy:

– Zbliża się ostatnia chwila...

Dżongdze silniej drgnęły, a ocean połyskiwał stałą, rozlewał się płynną, srebrno-perłową roztoczą. Niebo jaśniało, chmury nocnych szarańczy znikły, resztki ich uciekały z załomów fal, spłoszone rosnącym blaskiem.

Aż w pewnej chwili z głębin oceanu, jakby z dna, załśniło coś subtelnym różem. Brzoskwiniowy lekki refleks wsącał się w srebro fal i nasyczał je miękko delikatną barwą. Morze stawało się teraz perłą urańską, przeświecone zorzą, zapaloną we wnętrzu jego. Coś się działo w odmętach, bo oto zaczęły na tym różu przejasnym drgać kropelki krwi, złote kulki wirowały już gęsto, tryskały pojedyncze odpryski złota, skupiając się w kaskady coraz obfitsze, coraz świetniejsze.

Obłoki zapłonęły nagle blaskiem i luną krwawą jakby na znak szczególny. I w tej chwili z imperatorskim despotyzmem gwałtownie wybuchnęło nad horyzontu oceanu wielkie, rozpalone stosem ognia słońce.

Strzemska wydała głuchy okrzyk, lecz nagle... umilkła. Tam pod tarczą królewskiego wschodu zamajaczyła jakaś ciemna linia niby wstęga lasu. Linia ta rozszerza się w górę, olbrzymieje, podnosi się, płynie coraz bliżej, coraz bliżej.

Halina zasłoniła oczy od blasku słońca pękiem dzongdży i wpatruje się z natężeniem w rosnącą czarną linię na dalekim grzbiecie oceanu. Co znaczy ta czarność linii odcinająca fale od bezmiarów niebieskich?... Halina drży i czuje, że jej dreszcz udziela się dzongdżom i że z tej dali zagadkowej nadbiega ku niej jakaś moc, jakaś potęga kolosów... Ocean skraca się raptownie przed sunącą naprzód czarną masą, a Halina patrzy, patrzy, pochłania zdumionymi oczami to przedziwne, tajemnicze zjawisko. Jeszcze chwila, jeszcze chwila, aż oto niespokoj-

ne bałwany oblane złocistością słoneczną i całe w szmaragdach kładą posłusznie pieniste swe grzbieity do stóp rozwiniętej już w pełnym szyku flotylli bojowej. Olbrzymy pojedynczych pancerników prą naprzód gigantyczną siłą potężnych swych piersi. Nad nimi unosi się napowietrzna batalia skłębionych w brunatnosine pióropusze chmur dymów i zasłania sobą cały niemal horyzont i słońce. A tytany bojowe błyszczą stalowymi blachami kadłubów i suną coraz bliżej, coraz bliżej i szczerzą gardziele armat u wylotów. Bezwład dział napawał grozą, odrębną jakąś grozą przyczajonych okrutników-zabójców. Straszliwe gmachy ciężarnych żelazem i stalą dreadnoughtów miażdżyły zda się kadłubami płaszczyznę oceanu. Bałwany rozpadają się niewolniczo, fale giną pod mocarnym pochodem nadciągającej wszechpotężnie eskadry wojennej. Podał jej się cały ocean, drżą pod nią wszystkie fale wzburzone a ona przygniata je swoją wielkością imponującą, pochłania wszystko obejmującym ogromem.

Wtem – straszliwy ryk syren. Świat cały zadygotał, wstrząsnęły się odmęty wód pod tyranią płynących gór-skał. Oto żelazne twierdze dosięgły parowca „Glaring” ze Strzemską i mijają go, przechodzą koło niego powoli, majestatycznie.

Halina stoi przy samej burcie statku, zwieszona prawie nad falami, oczarowana widokiem. Głowę odchyliła w tył, płaszcz jej zsunął się na plecy. Rdzawe włosy nad czołem rozwiewa lekko wiatr, oczy mają w sobie zachwyty i płomień, na twarz wystąpiły szkarłatne łuny zapалу, usta rozchylił uśmiech rozkoszy.

Otoczyła ją jakby apoteoza szczęścia. Dżongdze drżały w jej dłoni. A rozwinięta w szyku paradnym flotylla bojowa defiluje hucznie z rykiem syren, bucha rozwiewnymi sztandarami dymów, prze naprzód z dziką pasją rozdygotanych maszyn. Jeden pancernik, drugi, trzeci... Suną gładkie, stalowe ściany okuć, okopcone kraterki kominów zioną czarnymi zwałami sady. Majestat, pycha, poprzedza ten pochód wspaniały, pochód zdobywców... Czwarty pancernik, piąty, szósty, siódmy... płyną butne, istna armia boga mórz, czy potworne, barbarzyńskie wieżyce twierdz.

Strzemska zatrzymuje oddech z niebywałego wrażenia i podniety, bo oto nadciąga dumny, dostojny, przytłaczający swą potęgą, okuty w stalowe płyty blach admirałski dreadnought, cesarz flotylli, pyszny geniusz wojenny. Za nim i przed nim dążą pancerniki, lecz ten panuje nad wszystkimi i wszystkim, zwycięzca wód oceanów, wódz pochod. Nadpływa grzmiący tryumfalną fanfara dętych tręb olbrzymich. Cały sztab wojenny, cała załoga dreadnoughta-tytana na pokładzie stoi, przy armatach, masztach i linach.

Załoga parowca „Glaring” wyległa również na pokład. Strzemska nie słyszy, nie widzi nic, nie wie, kiedy się pokład zapełnił, nie zauważyła, że stoi za nią tłum marynarzy i mnóstwo zbudzonych pasażerów. Ona jest pod urokiem i patrzy tylko na tego kolosa przed sobą, który zasłania jej świat...

Nagle oczy Haliny rozpromieniły się blaskiem wszystkich światłał płonących w duszy, całym żarem serca. Ujrzała na dreadnoughcie tak bliskie, tak znane sobie i wiadome okrętu imię. Oczy jej jak iskry wulkaniczne wparły się teraz w ten jeden punkt kolosa, z ust, palących purpurowym ogniem, wybiegł krótki, szalony, pełen serdecznego protestu okrzyk:

– Pożegnać?... Za nic!

Dżongdze zatrząsnęły się w jej rozgorączkowanej dłoni, jak gdyby targnął ich kielichami prąd silny, ożywczy. Miała je złożyć w ofierze pożegnalnej oceanowi i słońcu – lecz teraz?...

Jedno błysnięcie, jedna chwila, jeden ruch nagły, gwałtowny i Halina rzuca w najwyższej ekstazie żywiołu swego, swej egzaltacji przeczysto białą, wonną więź indyjskich dżongdzy w ocean, pod nadpływający z szumem kolos okrętu. Kwiaty zapadły w zielony odmęt wód jak zbity rój białych ptaków, ale wnet porwał je ostry grzebień pian i uniósł na sobie rozchybotane, dygoczące przed wyniosłym czołem cezara flotylli.

Załogi powitały się okrzykiem tysiąca piersi, marynarze „Glaringa” z rękoma przy kaszketach salutowali potężny gmach admirałski. Nagle tęcza prześwietnych barw, tęcza złotolita spadła na upojone najwyższym, jedynym uczuciem oczy Haliny; ujrzała w tłumie salutują-

cych na dreadnoughcie marynarzy i sztabu rękę, dotykającą skroni... dla niej... wyraźnie ręka ta salutowała tylko ją...

Halina spuściła głowę ruchem bezwolnym. Powieki i rzęsy jej drżały silnie, ze szkarłatnych ust wypływał cichy, tylko przez nią słyszalny szept, niby zakłęcie... Indyjskie białe dzongdze unoszone na grzebieniu pian trzepotały się jak tonące białe ptaki, ich purpurowe serca tryskały krwią żywą...

W tym samym momencie Mahawastu Dżhanu doznał uczucia, że jest jednym z tych kielichów indyjskich dzongdży, które rzucono w otchłań bezdenną... w ofierze...

XVI

Aleksy Mglawicz chodził po swoim gabinecie zdenerwowany. Zapalał coraz nowe papierosy, pociągnawszy zaledwie parę razy, rzucał je na posadzkę i wspaniałe dywany. Patrząc na to woźny, zdumiewał się w duchu, że jego pan okazuje tak niebywały brak uprzejmości i nieposzanowanie porządku.

Mglawicz był podrażniony, zły, wrzało w nim wszystko. Podszedł do biurka, usiadł ciężko na fotelu i ponuro patrzył na leżące przed nim listy, które już od kilku dni szarpał w najwyższej pasji, gniótł i rzucał na biurko, aż utworzyły spiętrzony stos. Oczy jego, pełne gniewu i nurtującego w głębi bólu, zanurzyły się teraz chciwie w te półposzarpane arkusze, ręce szukały w nich gwałtownie czegoś, z ust wypadły słowa syczące:

– Czego oni ode mnie chcą?

Gniew Mglawicza wzrastał, a jednocześnie podświadomość jego, dobywająca się jakby z dna duszy, nasuwała wyraźne refleksje:

Są jeszcze porządni ludzie w Polsce, są prawdziwi patrioci.

I wnet zgrzytała ironia.

A ty?... A my?...

I znowu szept w głębi podświadomości:

My szakale, tuczące się krwią własnej ojczyzny.

I znowu w uszach dokuczliwy zgrzyt:

Uczciwi giną w Polsce pod gilotyną waszych rządów... Wasza bezczelność daje wam władzę, wasz egoizm stwarza wam byt świetny... Ale patriotyzm nie znosi egoizmu, sumienie musi stać ponad wszystkim... Wyście ponad wszystkim i ponad Polską postawili interesy partyjne i cele osobiste... Polska zapada w Umberry... Wy ją niszcycie w zaraniu, zubożacie, zdzierając z niej purpurę majestatu, zatracając jej dostojeństwo...

– Przystarzałe frazesy! – mówi do siebie Mglawicz, ale ogarnia go nagle trwoga, myśli tłoczą się, rozsadzają głowę.

– Czego oni ode mnie chcą? – pyta ekscelencja wzburzony do głębi i sięga ręką niecierpliwą do listów. Ileż razy chciał je poszarpać, spalić i... nie mógł... Listy ludzi o znanych nazwiskach, ludzi rozumnych, szczerze, bezinteresownie kochających Polskę. Bezinteresownie?... Jest ich zastęp niemały, ale brak im sił do walki z obłudą, fałszem, karierowiczostwem... Bywają sekretarzami Mglawiczów... apostołami wiary, prawdy i... schodzą... zepchnięci...

Ach, nie myśleć, nie myśleć, nie poddawać się żadnym perswazjom sumienia, nie słuchać tego głosu płynącego z dna duszy, nie czuć, nie zastanawiać się, bo i po co? Czyż nie lepiej trwać w sybarytycznej beztrosce o siebie i swoją przyszłość! Stłumić raz wreszcie te głosy wewnętrzne i podrzeć, spalić te listy, te napomnienia „szczerých” patriotów.

Patriotów... Każdy ma swój własny patriotyzm i nie ma sprawdzianu na to, kto bardziej kocha ojczyznę.

– Więc czego oni ode mnie chcą?...

Mgławicz zaklął i w nagłej pasji chwycił stos listów pomiętych.

– Zniszczę to, zniszczę. Mam dość już tego kazania o patriotyzmie, o duchu Polski.

Nagle zadrżał i cofnął rękę bezwiednie.

Zamajaczyła przed nim sterana, pożółkła twarz pana Jacka w obramowaniu białych włosów. Oczy starca patrzyły przenikliwie; poważnie. Głos głęboki mówił:

– Jam jest duch Polski dawny, nieśmiertelny. Nie zabiły mnie kazamaty, nie zabiło zesłanie. Wy mnie zabijacie... Ale ożyję. Zatracić mnie nie zdołacie, bo przeszłość – to ja!...

Mgławicz przetarł oczy roztrzęsioną ręką.

– Jawa to, czy wizja...

Wyniosła postać pana Jacka stała przed nim jak żywa.

Chwytał go paniczny lęk. Pokój zaległa złowroga cisza, tylko ta postać, ta postać...

Wtem głośno szcęknęły drzwi i do gabinetu wbiegła z szelestem i śmiechem strojna kobieta.

Wizja prysnęła.

– Mówili mi, że nie wolno. Mnie nie wolno!... Cóż znowu! – zabrzmiały roześmiane słowa pięknej pani.

Mgławicz zerwał się z fotela, spojrzał groźnie, lecz kobieta zarzuciła mu ręce na szyję i, przegięta w tył zalotnie, świdrowała jego twarz gorejącymi oczyma.

– Aksel zły, że przyszedł? Aksel taki groźny? – mówiła pieściwie, wdzięcząc się i rozchylając zmysłowo czerwone wargi.

– Czego życzysz sobie, Marto?

Głos jego był prawie brutalny.

– Marto?... Cóż tak surowo?... Przyszła twoja Mary do swego pana, przyszła do swego raję, do... naszego raję... Akselu, co ci jest?

– Wiesz o tym, że w tych godzinach bywam zajęty. Popelniasz niedelikatność, przerywając mi.

Marta prysnęła śmiechem.

– Ach, zabawny jesteś! Straciłeś, widzę, rachubę czasu. W tych godzinach właśnie otwiera się nasz raj, tylko nie tu wprawdzie. Byłam w twoim mieszkaniu, powiedziano mi, żeś nie wrócił. Więc jestem. Dlaczego dziś tak długo tu siedzisz?

Mgławicz spojrzał na zegarek. Istotnie stracił rachubę czasu. Było już dawno po godzinach biurowych. Opadł na fotel, mroczny jak noc. Zadzwoił. Wszedł woźny.

– Czy pan sekretarz jest u siebie?

– Wszedł już dawno na obiad.

– A podsekretarzowie?

– Tak samo. Jest już po szóstej. Ekscelencja nie uprzedził...

– Przywołać samochód.

Woźny wszedł.

Marta z impetem przypadła do Mgławicza.

– Mary pojedzie razem, prawda?... Bo chyba do nas jedziesz.

– Jadę do siebie na obiad.

– Doskonale, to znaczy do nas, ty nieznośny człowieku... Więc zabierzesz i mnie...

– Nie! Tym razem pojedziesz osobno.

– Co to? Aksel!
– Nie mogę wszakże wychodzić z tobą z biura. Chyba to jedno rozumiesz.
– Dziwne, doprawdy, co ci się stało. Jesteś dziś taki suchy, surowy, opryskliwy. A... rozumiem! To te tam sprawy polityczne, ten przełom czy przesilenie wpłynęło tak na mego pana...
– Tak, tak, to samo. Może się pożegnamy teraz. Ja mam coś jeszcze w gabinecie sekretarza do załatwienia.

– Sekretarza już nie ma. Ty uciekasz ode mnie Aksel, ja to czuję!

Oczy Mgtawicza błysnęły, rzekł twardo:

– Proszę cię, Mary, odejdz lub zostań, ale się nie wtrącaj do moich spraw. Idę zabrać papiery z gabinetu sekretarza, muszę je przejrzeć zaraz.

Wyszedł.

Marta wzruszyła ramionami, po czym wyjęła ze złożonej torebki lusterko i grzebyk i uważnie poprawiła loczki nad czołem, wysunięte spod kapelusza najeżonego lasem rajców. Po grzebyku poszły kolejno przed lustrem puszek z pudrem, różne ołówki i jakieś tubki z barwicznymi. Wypiękniwszy twarz Marta usiadła w fotelu ekscelencji i zaczęła poprawiać manikiur. Nagle oczy jej padły na stos listów pogniecionych na biurku. Zastanowiła się chwilę. Skąd te listy? Pomięte wyraźnie w pasji – może od kobiety...

Zerknęła ostrożnie na drzwi, którymi wyszedł Mgtawicz i z pewnym wahaniem wyciągnęła rękę po pierwszy list z brzegu. Spojrzała na podpis.

– Ee! Jakiś mecenas.

Już chciała rzucić list, gdy wpadły w jej oczy wyraźnie skreślone słowa: „bezcelność waszej kliki nie ma granic...” Zaczęła czytać od początku. Skończywszy, rzuciła list z gniewem.

– Stary pedant, dureń!

Wzięła drugi list. Czytała już z miną ironiczną, złą.

– Któż to pisze? – spojrzała na podpis. – A, to ten dziennikarz, moralizująca piła. Osio! Będzie tu partyjność wytykał, ostrzegał. Pisma zakwasza swoimi artykułami i jeszcze tu go brakowało! Cymbał jeden!

Chwyciła trzeci list. Posypały się nowe epitety.

– Obywatel, poseł, zbój, łotr! – syczała ironicznie. – Sam pewno pływa w złocie jak król, a nam zazdrości. Szalbierzami ojczyzny nazywa, podziemną robotę widzi, patrzcie go, stary piernik! Małpa cnotliwa!

Rzuciła list, czytała czwarty i następne. Nad jednym z listów zastanowiła się dłużej.

– Co? Student uniwersytetu i podpis kilku studentów? Cóż to znaczą te słowa: „Wtrącając do grobu zmartwychwstałą ojczyznę po raz drugi, obyż już teraz nie na wieczność, nie na ostatnią zgubę! Zbrodnicze są wasze ręce...” Albo też: „Przeczytaj, panie, tę broszurę, pisał ją twój były sekretarz, gdy uciekł z jaskini waszych knowań. Ten człowiek ma w sobie ducha Polski i dlatego jest zapoznany przez ślepy otumaniony ogół, jak i ci wszyscy, którzy myślą podobnie jak on i giną w ohydnych błocie waszych konspiracji. Autor broszury to duch Polski, ty, panie, jesteś czynem w Polsce. Oh, jakież ten czyn szkaradny! Nie bądź zabójcą ojczyzny, bądź jej odnowicielem. Porzuć dzisiejsze względy, stań się Polakiem, krzewicielem idei świętej, nie zaś partyjnym pionkiem, ojczyznożercą. Gdzież jest nasza tęsknota, marzenie, tęsknota-cud, tęsknota – wizja słonecznego jutra i piękna? Nie ma jej w Polsce, bo tu marzyć nie można, tu wasz czyn głuży marzenia, zabija ideały. Zmień swój czyn, panie, więc zejdz dobrowolnie z dzisiejszego piedestału i wyżyn. Wyrzeknij się przyszłych zaszczytów, odznacz się, ale bądź Polakiem, czynem odradzającym ojczyznę... Oddal od siebie nieprawdę, cudzołożną kobietę, odrzuć grzeszną rozkosz, bo szczytu przykładem powinienes świecić, nie zaś hulaszczą rozpustą i lekceważeniem obyczajów etycznych...”

Marta zakląła potwornie i z wybuchem gniewu poszarpała list na drobne strzępy. Wściekłość jej nie ograniczyła się na tym, z furią zaczęła szarpać wszystkie listy, rzuciła je na ziemię, deptając nogami. W przerwach krzyczała głośno:

– A więc to powód!... To go zmieniło! Podlec ten, łotr, szubrawiec! Jak on śmie moją osobę wytykać Aleksemu? Bezczelny!

W drzwiach stanął Mglawicz.

– Komu wymyślasz tak, Mary?

Opanowała się w jednej chwili i nagle przybrała twarz w maskę szlachetnego oburzenia. Podeszła do Mglawicza i słodko oparła głowę na jego piersiach.

– Już rozumiem cię, drogi, i wybaczam ci twoją oschłość dzisiejszą dla mnie, bo to boli, bardzo boli. Ach, jak ja cię rozumiem! Tyś taki patriota, żeby tobie coś podobnego...

– Co ty mówisz, Marto? Co to za śmiecie na podłodze? Coś ty podarła?

Marta zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się do niego ze słodyczą.

– Aksel mój, to ja cię wyzwoliłam z tego śmiecia, które ci zatruwało życie.

– Listy?! – krzyknął Mglawicz.

– Czy ci ich szkoda?

– Marto! – szarpnął się.

– No i co, żałujesz ich? To trucizna. Masz słodycz moich ust, oto ci daję. Bierz. To dla ciebie, i rozkosz dla ciebie, i upojenie.

Przytuliła wargi do jego ust pożądliwie, przywarła do niego pachnącym ciałem i trzymała go w uścisku namiętym chciwej żądy. Mglawicz był na razie oburzony za zniszczone listy, lekko ją odsunął od siebie, ale potem stał się bierny, obojętny, wreszcie usłyszał w sobie głos praktyczny:

Stało się dobrze, bo po co mi ta trucizna.

I uczył wdzięczność dla Marty za usunięcie od niego złej mary. Kamień, gniotący go od kilku dni, spadł mu z serca. Marta zrozumiała to natychmiast.

– Jedziemy do nas, Akselu mój. Dziś będzie tryumf naszej miłości. Stworzę ci taką rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznałeś nigdy, nigdy. Dam ci kwiat mojej urody w całym przepychu bogactwa i wybrednej świetności. Musisz się dziś upoić mną, Akselu. Upoimy się oboje. Dziś od ciebie nie wyjadę. Nie wyjadę, słyszysz?

– A twój mąż? – spytał prawie odruchowo.

Ochłodziła i spojrzała na niego niecierpliwie.

– O nim myślisz? Gdy ja ci tyle obiecuję? – syknęła.

– Fakt jest niemniej faktem i trzeba się z tym liczyć – odrzekł zimno.

– Zrobiłeś się ostrożny, widzę.

– Tłumacz sobie to jak chcesz – rzucił sucho i uwolnił się z jej ramion.

Zadzwoił. Do gabinetu wszedł woźny, oznajmiając:

– Samochód czeka dawno.

– Dobrze. Sprzątnij... to i... spal – rzekł Mglawicz.

Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na porwane papiery i, stwierdziwszy, że nie da się ich przeczytać, uspokoił się. Po chwili wyszedł z Martą do samochodu i pojechali oboje.

W mieszkaniu swym Mglawicz pod wpływem Marty rozchmurzył się zupełnie, był zadowolony, że listy są już ostatecznie zniszczone. Poddął się absolutnej beztróscie.

Wspaniałe pokoje, wysłane bucharskimi dywanami, pełne cennych mahoniów, brązów, mojolik, kryształów, sreber, pysznej porcelany, przeładowane mnóstwem kosztownych drobniactw, materii, obić meblowych, kotar, firanek, haftów na poduszkach tureckich otoman, zawieszane świetnymi obrazami – przepełniły się teraz mnóstwem kwiatów, które Marta rozkazała przynieść i rozrzuciła po całym mieszkaniu. Zapłonęły weneckie kryształowe lampy, odurzający zapach perfum narkotyzował.

Kolację na dwie osoby podano na stole zarzuconym różami. Wino szampańskie perliło się w kieliszkach z kryształu przezroczych jak wizja, dźwięcznych jak muzyka. Najwytworniejsze słodczyce porozstawiane były gęsto wśród kwiatów i perfum, przesycone ich wonią.

Wśród tych przepychów snuła się Marta jak wschodnia kurtyzana, półnaga, w gazowym, bladolila, haftowanym w nikiel wzory zawoju, który przesłaniał dyskretnie bujne piersi i opadał do kolan fantastycznymi fałdami przeźroczej tkaniny. Ciało Marty, bogate w uroki, dyssało zmysłową podniętą, rozkoszne dreszcze i magiczne ciepło udzielało się Mglawiczowi, cały pokój i wszystko dokoła pełne było oszałamiającego żaru, pożądania.

Mglawicza ogarniał dziwny półsen rozkoszny, wino szumiało mu w głowie, wyszukane pieszczoty kochanki drażniły go i podniecały. Zapomniał o świecie całym, o swoich kilkunastu dniowych rozważaniach i troskach. Czasem jakby się zbudził, a wówczas powtarzał zapamiętane kiedyś z listu Strzemskiej do Jacka słowo: Umberry.

– Umberry... Umberry...

– Co ty mówisz, Akselu? Chcę wiedzieć, co to znaczy Umberry, koniecznie chcę wiedzieć!

– Ty tego nie rozumiesz i... nie odczujesz – odrzekł sucho.

– Dlaczego? Chcę właśnie wiedzieć i odczuć, bo to ciebie dotyczy...

– Nie fizycznie – duchowo... To nie twój zakres, Martyszka! – sarknął cynicznie.

– Fe! Tak mnie brzydko nazywasz w takiej chwili... coś z moskiewska, czy po bolszewicku...

– Jestem wszakże z kliki, której zarzucają bolszewizm... Ha, ha, ha! A wiesz, co to znaczy martyszka?

– Nie wiem.

– Zabawna, głupia małpka. Ha, ha, ha! Taka, jak ty.

– Aksel, co ty pleciesz?! Upiłeś się szampanem?...

– Nie, ale... twoim szaleństwem... Martyszka... No, daj mi jeszcze pić rozkosz, ty... ty... bajadero...

Zapadli oboje w bezpamiętną otchłań żądz, pieszczot wyuzdanych i zachłannej, rozkiełzanej namiętności.

Kilka razy turkotał głucho telefon, odłożony przezornie przez Martę, służba była wyprawiona na całą noc, drzwi szczelnie pozamykane, okna zawieszono grubymi makatami.

Mieszkanie, kryjąc w sobie orgię zmysłową, zewnętrznie było martwe. Świtało już, gdy Mglawicz ocknął się znowu z lubieżnej narkozy.

– Umberry, Umberry! – zawołał jakby z przerażeniem.

– Co ty ciągle mówisz? Dziwne jakieś słowo, czy dzikie...

– To słowo będzie obce dla ciebie zawsze, ty go nie odczujesz... ty byś je sprofanowała...

– Także wymyśl! Zapewne twojej kompozycji...

– Nie.

– Więc czyjej?...

Milczał, zapatrzony w nagle zbudzoną w nim wizję tamtej, Haliny Strzemskiej.

– Aksel, co tobie? Dlaczego milczysz? Mów!

Mglawicz milczał uparcie, pochłaniała go zjawiona w jakiejś dali, w jakiejś głębi przezroczysta a świetlista postać Haliny.

Marta uniosła się na otomanie, oparła łokciami na haftach poduszek, wpiła oczy w twarz Mglawicza. Ujrzała w jego rysach zadumę niezwykłą, w oczach dał jakąś i zapatwienie...

– Aksel, Aksel! Upiłeś się! – krzyknęła ordynarnie, chwytając go za ramię jak obcęgami.

Zadrzał. Spojrzał wściekle i ciężko dźwignął się z fotela.

– Upiłeś się – powtórzyła ciszej już, żartobliwie.

– Nie – odrzekł twardo, odwrócony i zaczął chodzić.

Marta skoczyła na nogi, dopadła do niego, zawisła na jego plecach.

– Aksel! Aksel! Chodź, chodź... jeszcze nie... jeszcze czara nie dopita... jeszcze nasz raj...

Odepchnął ją lekko, lecz stanowczo.

– Spij... śpij... Marto – rzekł nieswoim głosem, ale o takim brzmieniu, że Marta odstąpiła.

Co ci jest, Akselu?...

– Nic. Śpij. Ja cię budzić nie będę... ale i ty mnie nie budź. Idę również spać.

– Jak to?

– Tylko bez melodramatu, moja kochana.

Odszedł, odprowadzony nienawistnym wzrokiem obrażonej kobiety.

W swoim prywatnym gabinecie czuwał do rana, zapatrzony w majaczącą w nim zjawę postaci Strzemskiej. Widział jej oczy zwrócone na niego surowo, słyszał jej głos, niby echo z gór dalekich spłynięto, niby przez fale morza niesione...

– Umberry... tkwisz w Umberry... giniesz w Umberry... zapadniesz w nią...

– O tak... o tak... – szeptał Mgławicz w odurzeniu. – Ale wróć tutaj... bądź idea moja... spełnij moje tęsknoty. Wróć i natchnij mnie... ocal...

XVII

Późny już był ranek, gdy Mgławicz oderwał się od swoich całonocnych rozmyślań. I od razu nasunęły mu się złe mary, kłopoty, sprawy publiczne i zawikłane. Wróciła troska dni poprzednich. Z westchnieniem żalu za upłyniętą chwilą własnych marzeń wyszedł z gabinetu i podążył w głąb mieszkania. Przy łazience spotkał się ze swoim lokajem. Sługus miał zagadkową minę. Mgławicz nie pytał go, którędy wszedł, skoro drzwi były pozamykane. Wziął zaraz kąpiel i wyświeżony, ale apatyczny, wracał do swego gabinetu. Lokaj spytał, czy podać śniadanie.

– Przynieś mi mocnej herbaty z cytryną, nic więcej. Czy nie był nikt u mnie?

Lokaj milczał z zafrasowaną miną.

– Mów, czy był kto? Może listy, gazety? No, mówże!

– Był tu lokaj z willi, z Ujazdowskich. Pytał o panią. Mówiłem, że nic nie wiem.

– Dobrze.

Mgławicz rzucił to słowo bezwiednie. Zdawało mu się zupełnie naturalnym, że mąż Marty przysłał do niego, szukając żony, i że on nie jest obowiązany zdawać sprawę z jej obecności u niego.

Szedł do pracy zapomniawszy o szalonej nocy z tą kobietą, nie troszczył się o nią więcej. Ślady po bachanaliach zostały tylko w mnóstwie kwiatów więdnących, którymi zarzucone było mieszkanie.

Mgławicz wszedł do tureckiego fumoiru i... stanął zdumiony. Na otomanie spała Marta w kostiumie nocnym z gazy lila. Była skulona z twarzą w poduszkach.

– Dlaczego nie odeszła? – syknął Mgławicz zły.

Podszedł blisko, dotknął ramienia kobiety, lecz cofnął dłoń i odszedł cicho, zamknawszy za sobą drzwi. Nie mógłby teraz nie tylko z nią rozmawiać, ale i znieść jej widoku. Uczuł niesmak i lekki dreszcz wstrętu.

Po herbacie pojechał samochodem do biura.

Pod drzwiami gabinetu oczekiwało kilku interesantów. Sekretarz obarczył go natychmiast plikiem papierów do przejrzenia i do podpisu. Mgławicz pograżył się w pracy. Był spokojny, lecz kilka telefonów wyprowadziło go z równowagi.

Od dawna czuł dokoła siebie jakby trzask rusztowania, na którym wspierał swoją egzystencję, swoje dostojenie. Coś się chwiała, coś pękało w sferach jego działalności. Wiedział, że ten ferment, ten ruch może spowodować katastrofę, a tymczasem ekscytowano go obietnicami, że kryzys wzniesie go na nowe, niezłomne już szczeble. Ale jednocześnie odbierał listy ostrzegawcze. Aż wreszcie nastąpił moment, że uwierzył w to, czym go ekscytowano. Zrozumiał jasno, że w swoim ręku trzyma własny los i że go nie zlekceważy dla mrzonek utopijnych, dla podszeptów sumienia, że na wszystkie głosy podświadomości ma jedną odpowiedź, opartą na wyrobionej twardej doktrynie:

– Iść naprzód, w górę, bez względu na to, co i po czym się depcze.

Cel, do którego dążył, widzi wyraźnie i nie potrzebuje się liczyć z opinią publiczną, która przecie może być także wyrazem żywiołów, usposobionych do niego wrogo.

Uczuł teraz przyływ tężyzny duchowej, energia i zapach unosiły go, ale był zimny, zdecydowany, trzeźwy.

W kilka chwil potem zjawił się przed nim jeden z towarzyszy partyjnych, przywódca lewego odłamu, poseł do sejmu. Ściskając gwałtownie powolną dłoń Mgławicza, zakrzyknął z wyrazem tryumfu na płaskiej ogorzałej twarzy:

– Zwycięstwo! Na całej linii zwycięstwo!

– Przewidywałem to.

– Mówię wam, prawica tak klapnęła, że wszyscy królowie świata nie zdołają jej podnieść. Leży. Wy teraz z nami, naturalnie? – rzucił nagle, patrząc na Mgławicza badawczymi oczami.

– Nie rozumiem waszego pytania.

– No, nie. Tak pytam na wszelki wypadek.

– Zgoła zbyteczne pytanie – odparł Mgławicz nieco urażony. – Byłem z wami i będę.

– Naturalnie, nie zawiedliśmy się. My musimy się trzymać, bo co innego programy, a co innego cele. Ster spoczywa w naszym ręku i nie pozwolimy go sobie wytrącić. Nigdy. A stanowisko wasze jest tak odpowiedzialne, że zależy nam bardzo na was. Mówiąc tak między nami, wasze ustąpienie byłoby formalną katastrofą.

Mgławicz zdziwił się i rzekł trochę kwaśno, przymrużywszy oczy:

– Widzę, żeście przyszli do mnie... badać, tylko nie domyślam się celu.

Poseł zaprzeczył gorąco.

– Skądże takie podejrzenie! Mówię dlatego tylko, że ufamy wam i że sami znacie swoją wartość. Musimy teraz iść ręką w rękę, a przyszłość będzie nasza. To dzisiejsze zwycięstwo...

– No, to wiem – przerwał Mgławicz. – Więc już uchwała zapadła?

– Naturalnie! Wszelkimi sposobami przeforsowaliśmy.

Mgławicz zdobył się z wysiłkiem na zadowolony wyraz twarzy i rzekł głucho, choć ze sztucznym uśmiechem:

– W takim razie... gratuluję.

A w duszy sylabizował mu ponury i głęboki twardy głos:

– Um...ber...ry Um...ber..ry..

Po wyjściu posła, Mgławicz uczuł jakiś nieokreślony niepokój i przykrość, jak człowiek, na którego rzucono cień podejrzania i nie wyjaśniono powodów. Ćmił papierosa i chodził po gabinecie ciężkimi krokami, jak gdyby chciał umyślnym stukiem obcasów zagłuszyć dobywający się z wnętrza głos:

– Umberry... Umberry...

Byłby w tej chwili z rozkoszą włożył rękę w ogień, byleby zdobyć poprzedni spokój, byle nie poddawać się wątpliwości i nieznanym dotychczas refleksjom. Potrzeba mu było, teraz bardziej niż kiedykolwiek, siły woli, siły nieugiętego granitu.

Dlaczego tamci – myślał – umieją łatwo rozumować i obojętnie patrzeć na wrogów jawnych i tych najgroźniejszych we własnej duszy, w sumieniu? A może nie doznają nigdy takich przykrych wrażeń i nie dręczą ich takie głosy upiorne... Może... I dlatego idą śmiało, konse-

kwentnie, wpatrzeni w swoje tarcze bojowe, nieugięci. Och, jakże oni szczęśliwi, że posiadają taki spokój i nie odzywa się w nich to przeklęte słowo, przywiane z przestrzeni, stamtąd...

Umberry...

Usiadł ciężko na fotelu i oparł czoło na dłoni. Zapadł w jakieś nieokreślone chaotyczne zamyślenie. I nie wiedział, kiedy i skąd stanęła przed nim starcza postać pana Jacka, z siwiuteńkimi włosami dokoła żółtej twarzy o bolesnym wyrazie, z oczami bezdennymi, przenikającymi go do rdzenia duszy.

– Jam jest duch Polski nieśmiertelny. Przychodzę szukać wśród was miłości ojczyzny i prawdziwego patriotyzmu, przynoszę wam dawnego ducha Polski. Godzicie we mnie sztyletami zatrutymi, jadłem wzajemnej nienawiści... Zabijacie mnie... Ale, pamiętajcie, ożyję. Zawsze ożyję, będąc waszym najkrwawszym wyrzutem sumienia...

Mgławicz wstrząsnął się, przetarł oczy. Ogarnął go szczególnie lęk zabobonny. Powiedział do siebie głośno:

– Dlaczego ten starzec nasuwa mi się teraz tak często przed oczy? Co się dzieje ze mną?...

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł szybko woźny.

– List do waszej ekscelencji.

Mgławicz sięgnął leniwie ręką do tacki.

– Znowu list. Te przeklęte piśmidła.

Spojrzał na kopertę i... zdumiał. Wszystka krew spłynęła mu naraz do serca, targnąwszy nim gwałtownie. Poznał na kopercie pismo Haliny Strzemeskiej.

Zerwał się z miejsca drząc febrycznie, podbiegł do okna, oglądał list gorączkowo, czytał adres po raz wtóry, dziesiąty, nie zdając sobie sprawy, czy istotnie do niego należy.

Woźny stał na środku gabinetu i patrzył na ekscelencję zdziwiony jego niebywałym zachowaniem się.

– Czy mogę odejść?

– Idź precz! – huknął Mgławicz i, siadłszy z łoskotem na krześle, rozerwał kopertę.

Nic nie czuł i wszystkie naraz uczucia ścisnęły mu gardło, o niczym nie myślał i wszystkie naraz myśli zawirowały mu w mózgu. Błyskawicznie jeno przemknęła jedna myśl:

Wraca... może wraca...

Jał czytać.

„Szanowny Panie. Zbyt często, zbyt uporczywie dręczy mnie niepokój o pana Jacka. Miewam dziwne przeczucia, bo widuję go jakby we śnie, jakby na jawie, w warunkach okropnych, przytłaczających go kamieniem nędzy i bólu..."

Pisał do mnie w kwietniu, więc dawno już. Wiem, że nie jest już sekretarzem pańskim i że szukał oparcia gdzie indziej. Gdzież jest i co się z nim dzieje?... Ogarnia mnie trwoga o tego starca. To jeden z tych, których dusza i serce ulane są ze złota. On ma w sobie tyle błękitu niebieskiego, że nie skarży się do mnie ani jednym słowem, choć wiem, że jest mu źle... Kocham tego starca jak córka ojca i jak Polka ducha Polski, bo duch ten znalazł w nim swój wyraz najpełniejszy... Ale gdzież on jest? Powierzyłam go opiece pańskiej, gdyż ufałam wówczas, że lepiej zrobić nie mogłam. Bałam się, aby optymizm tej pięknej duszy i serca nie został zbyt prędko zabity, zduszony w tym waszym kotle wrzących namiętności.

Pan Jacek w listach swoich zachowywał wstrzemięźliwość, lecz ja umiem doskonale czytać nie tylko między wierszami, ale i w przestrzeni. List ostatni przekonał mnie, że umiem również czytać w duszach ludzkich na odległość...

Pan Jacek w nędzy i – chory... Ale gdzie?... Żyje na pewno, bo przeczuwałabym, gdyby umarł. Czy Pan go odszuka? Pan go musi odszukać. Nie ze względu na moją prośbę, bo to byłby za mały powód, lecz odszuka go Pan i zainteresuje się jego losem dlatego, ponieważ tli w Panu jeszcze dawny ideał piękna i szlachetności oraz że nie okopcono w Panu sumienia i bezinteresownej uczciwości. Poda Pan rękę człowiekowi *nie waszemu* i dźwignie go Pan choćby jako wroga waszych doktryn i praktyki. Wierzę, że Pan to zrobi. Wierzę nie ze względu

du na dzisiejsze pańskie oblicze, ale dlatego, że ufam słowom pana Jacka. Starzec ten pisał mi o Panu, i pomimo wszystko, co wywołało jego ustąpienie, ufa Mu jeszcze. Ufność pana Jacka udzieliła mi się pośrednio.

Skoro Pan odszuka tego drogiego starca, proszę mnie zawiadomić pod adresem: Kair, poste restante, bodaj telegraficznie. Niepokój mój wzrasta, liczę na prawość pańską, trochę i na Jego subtelność w odczuwaniu moich intencji...”

H. S.

Koniec – wyrzekł Mglawicz głośno, dobitnie.

Składał list drżącymi rękami.

– Koniec – powtórzył, odrzucając kopertę na biurko. – Nie znalazła wyłącznie dla mnie ani słowa. Ani jednego słowa. Nic.

Podszedł do okna i stanął oparty o futrynę.

Oczy miał pełne ironii, usta wydeła mu duma, potem osiadł na nich sarkazm i pogarda, potem żal jakaś, potem stygmat bólu.

Powrócił do biurka, raz jeszcze wyjął list z koperty i przeczytał go. Ale nie dobiegł do końca i cisnął list z jakąś pasją wewnętrzną na stos papierów.

Przeszedł się tam i na powrót szerokimi krokami, stanął w rogu gabinetu, przyglądając się kinkietowi, zacisnął pięści, żując w ustach jakieś słowa niezrozumiałe, bezwiedne, podszedł znowu do okna, wreszcie odruchem nagłej decyzji usiadł przy biurku, wyjął gwałtownie z szuflady arkusz grubego papieru i nakreślił z rozmachem:

„Najdroższa Pani!”

Ale odrzucił pióro i odsunął się z fotelem od biurka.

– Co dalej? Co dalej?...

Przeszła chwila wahania czy męki nieznanej dotychczas...

– Co dalej? Co dalej?...

Chwycił znowu pióro i jął pisać:

„Odjechałaś, wzgardziwszy miłością moją. Moje uczucia, cała moja psychika obca była ideałom Twoim. Nie potrafiłaś mnie ukochać ani sercem, ani duszą, ani nawet zmysłami. Kochałaś mnie wyobraźnią i zapalem chwilowym, bo taka była Twoja fantazja wówczas. Oprócz tej fantazji nie dałaś mi z siebie nic więcej, zlekceważyłaś mój ból, moją tęsknotę za Tobą. Ach, nie tylko tęsknotę – nostalgię okropną. Ona mnie pogrzyżyła w odmęcie kompletnej zaraty... Ty, Pani, nazywasz taki stan Umberry, Tyś mnie zepchnęła w Umberry bez wyjścia. Trwam w niej. Tak. I w niej zostanę, bo Ty mi nie podasz zbawczej dłoni, Ty ducha mego nie ocalisz – odeszłaś ode mnie zbyt daleko... o, nie fizycznie, nie materialnie: ja bym Cię znalazł wszędzie, ale odeszłaś duchem i nawet wyobraźnią, i fantazją swoją. Ja także umiem czytać w duszy Twojej na odległość, przeczuwam, że myślą tęskną nie płyniesz ku mnie – inne masz przed sobą szlaki. Z siebie nie zostawiłaś mi ani atomu, który byłby komunią moją, zarodkiem wiary, nadziei. Zabrałaś z sobą wszystko – pozostałem sam z potęgą mojej tęsknoty, z głuchą, pustą bezdnią w całej mojej istocie. Głos twój teraz, jeśli go słyszę, mówi mi i powtarza to jedno tylko: Umberry... To jedno, co mi po Tobie zostało, nawet nie jako bezpośredni głos do mnie, lecz z listu do Jacka. Ukradłem mu to słowo jako talizman. Ono mnie teraz prowadzi w swoje mroki przepastne, jest symbolem mojej tęsknoty za Tobą, mojej nadziei, że wrócisz, moich marzeń. Tyś wybrała i ukochała słońce, ku niemu dążysz z tęsknotą i nadzieją – mnie zostawiłaś Umberry i nakaz swój święty. Jeśli zginę w Umberry, jeśli przepadnę jak kamień w ile rzeczno dna, to będzie symbol Twego zwycięstwa. Może w tym momencie właśnie najświetniej rozbliśnie Twoje słońce.

Rozkaz Twój odszukania Jacka spełnię, zaopiekuję się nim, bo tego żądasz. Chcę, abyś wiedziała, że wola Twoja jest mi nakazem najwyższym i jedynym, któremu się poddam bez zastrzeżeń, wobec którego nic się z mojej istoty nie buntuje, nie zżyma. Ale Ty tego odczuć nie będziesz mogła, Ty nawet ufasz nie mnie osobiście, lecz przez ufność Jacka do mnie.

Obecne oblicze moje, jak piszesz, nie napawa Cię wiarą. Ha! – może i słusznie. Lecz jeśli ja czyn, tedy Ty jego ideałem, który mi znikł jak marzenie-cud. Nieprawdą jest to, co mówisz, że we mnie tli dawny ideał piękna. Nie! On już zgasł – Tyś go zdmuchnęła. Nie ma już we mnie piękna, jest tylko mrok – Umberry. Tyś była i jesteś Sfinksem, Sfinksem pozostaniesz. Sfinksem jest doba obecna, ja, cała Polska i jej przyszłość. Ale pod tym enigmatycznym symbolem umieściłbym jako dopełnienie... Umberry. Nie pomijam w tym wypadku i Ciebie, pomimo że Ty idziesz w słońce, gdy ja – w mrok. Pomijam tylko Jacka, bo on... to przyszłość, a przy nim Ty jako słoneczny ideał, wytwór dzisiejszej tęsknoty. Przy nim Ty... bo miłujesz go jak ojca.

I zapewniam Cię jeszcze, że doktryny moje obecne to co innego, ale dogmatem moim jesteś zawsze Ty.”

Mgławicz opuścił pióro i opadł w głąb fotela.

– Zawsze ty... zawsze ty... i tęsknotą jesteś ty! – powtarzał.

Siedział długo, oddany Halinie całym jestestwem, zatopiony w myśli o niej. W pewnej chwili przyszedł do gabinetu sekretarz i coś mówił, Mgławicz konferował z nim, lecz wypowiadał się na pół świadomie, może nedorzecznie, pogrążony w zadumie o Strzemskiej.

Po wyjściu sekretarza uczył dziwny ucisk serca, jakby wisiał nad nim obuch ciężki i już, już spadał...

Musiał dokończyć list i nie mógł się zdobyć na jakikolwiek odruch, na jakąkolwiek myśl.

Z wysiłkiem skupił rozstrzeloną świadomość i – dopisał:

„Trwaj w marzeniach jedyna urodo moja, moje piękno zgubione, nie myśl o mrokach mojej Umberry. Ty pójdziesz w słońce, ja – w noc otchłanną...”

Twój dawny, dawny Aleksy”

List włożył do koperty, zakleił, zaadresował, wezwał woźnego.

– Natychmiast na pocztę, wysłać ekspresem. Kair.

Woźny wybiegł.

Wtem ostro zadzwonił telefon.

Mgławicz chwycił słuchawkę niecierpliwie.

– Hallo.

– Czy to ty, Akselu?

– Tak.

– Jestem u ciebie, raczej u nas.

– Przyjmuję do wiadomości.

– Przyjeżdżaj prędko. Cóż taki suchy głos i obojętność?

Mgławicz chciał rzucić słuchawkę, lecz nagle w pasji podniósł ją do ucha.

– Marto, proszę cię, opuść zaraz moje mieszkanie.

– Co to znaczy?

– Polecam ci opuścić mieszkanie bezzwłocznie.

– Jesteś brutal, cynik.

– Mniejsza o to. Powtarzam, wyjdź zaraz, bo będę miał tam konferencję.

– Prywatną?

– Prywatną. Żegnam cię.

– Akselu, czekaj. Z kim ta konferencja?

– To do rzeczy nie należy.

– No, ale powiedz...

– Z detektywem – odrzekł, tłumiąc wybuch wściekłości i zatrzasnął telefon.

– Taka... taka... mełł w zębach przekleństwo. – Bydlę! – warknął i wybiegł z gabinetu.

Na ulicy wieczór rozsnuwał popielate mgiełki, gdzieniegdzie zapalano już światła. Tłumy zalegały trotuary, gęsto krążyły powozy, dzwonki i huk tramwajów urozmaicał jednolity turkot kół i człapanie stóp ludzkich na asfalcie.

Mgławicz szedł wolno, patrząc mętnymi oczami w jakąś latarnię, migającą wysoko, w oddali. Mijał sklepy, wystawy, cukiernie, potem przechodził obok szeregu ławek, zapełnionych ludźmi, na tle ogrodowych krat. Myśl jego była w Kairze, błąkała się, szukając i odnajdując Halinę.

Jednocześnie mówił sobie:

– Dziś jeszcze polecieć detektywowi. On go znajdzie. Gdyby nawet Jacek wyjechał, co najpewniejsze, na Podlasie, to i tam go znaleźć można.

– Podlasie... – szepnął cichym szmerem warg i westchnął.

Zapadła z wolna noc. Mgławicz szedł zapatrzony w migającą w oddali latarnię. Latarnia ta zaczęła go hipnotyzować, ciągnęła ku sobie światłem tajemniczym. Szedł ku niej prawie bezwolnie. Coraz bliżej, coraz bliżej miga elektryczna kula i wabi go ku sobie... Wreszcie stanął – latarnia świeciła mu tuż nad głową. Rozejrzał się. Stał przed znanym sobie gmachem.

To tu... tu... jaskinia mojej Umberry... Umberry całej Polski... Umberry nas wszystkich... – odezwał się w nim ponury głos.

Wydało mu się, że gmach ogarnia olbrzymia chmura, w której zmagają się dwie moce: nienawiści i lęku. Obie te moce rosły, przejmując duszę Mgławicza. A on stał niby przykuty i patrzył. W pewnej chwili posunął się naprzód, jakby pchnięty niewidzialną ręką i wyszedł na oświetloną połać placu. Był tuż przez żelaznej bramie, wiodącej na dziedziniec wewnętrzny.

Idź! Idź! – parła go naprzód jakaś moc.

Wtem zadrżał.

Wartownik przy bramie zastąpił mu drogę i zapytał:

– Pan do pałacu?

Moment wahania i – głucha odpowiedź:

– Nie.

Mgławicz odstał kilka kroków, czując jak gdyby z pieczary jego duszy wypełził śliski gad strachu.

Nagle – co to? Co to? Wizja?

Z bramy wysunął się wyniosły cień człowieka, który przecież był tak dobrze znajomy.

Pan Jacek!

Czarna, sucha postać, białe włosy, broda, oczy świecące ogniem, oczy otchłanne. Przeszedł obok wartownika jak zjawisko, jak mara, rzucił długi cień na oświetlony plac i... znikł w mrokach.

Mgławicz stał bez ruchu, zastygł w zdumieniu, zmrożony w sobie. Lecz nagłym wysiłkiem woli ocknął się. Spytał sucho wartownika:

– Kto to był?

– To... jeden taki...

– Kto?

– Nie wiem.

– Był w pałacu?

– Był.

– Z czyjego rozkazu?

– Nie wiem.

– Jakże go przepuściły strażę?

– Była zmiana warty, więc nie wiem.

Mgławicz już uświadomił sobie, że widział kogoś innego i że doznał nowej halucynacji. Z całą pewnością przedstawił sobie ten fakt, wytłumaczył i – odszedł. Ale zdenerwowanie ogarnęło go tak silne, że już ciągle coś widział niesamowitego.

Oto spostrzegł, że jakieś postacie wynurzyły się z cieniów nocnych i dążyły z daleka, ostrożnie za tamtym, który wyszedł z pałacu. Kontury tej sylwetki nikły, rozplywały się w tumanie nocy, nabierały znowu kształtów w smugach światła ulicznych i znowu nikły w załomach mrocznych. Postacie tajemnicze dążyły wytrwale i czujnie za śladem tajemniczego zjawiska z pałacu, śledziły każdy jego krok, dawały sobie jakieś nieme znaki. I nikły, nikły razem z tamtym.

Mgławicz powrócił do siebie w najwyższym rozdrażnieniu. Rzucił się na fotel przy biurku. Na papierach ujrzał pęk jaskrawożółtych kwiatów o silnej, ostrej woni. Pośrodku sterczała kartka. Wyjął ją, rzucił okiem. Jedno słowo: *Jalouse*.

Wzruszył ramionami i odrzucił kwiaty ze złością. Wszedł lokaj, oznajmił, że kolacja podana.

– Nie będę jadł... Kto tu.... to zielsko...

– To pani...

– Zabierz! Śmierdzi.

Lokaj wyszedł. Mgławicz zerwał się z fotela, zapalił papierosa, chodził po pokoju, nie mogąc zwalić z siebie ciężaru niebываłego, który go tłoczył. Nazwy tej tłoczni dać nie potrafił. Przypomniał sobie dziwne zjawisko przed pałacem.

– Dlaczego?... Dlaczego ja teraz tak często widzę tego starca? – wyszeptał prawie głośno.

Upadł na otomanę, rozciągnął się z ulgą. Czuł w sobie szalone znużenie i bezwład. Lecz nie mógł zasnąć. Z całą wyrazistością powróciła myśl o Halinie. Uprzysomnił sobie Kair i ją na tym tle. W jednej jedynej myśli o Halinie zapomniał się cały, pograżył się duszą, sercem i umysłem, i tak trwał.

Usłyszał jakiś szmer, skrzypnięcie drzwi.

Otworzył oczy. Zbliżał się do niego – pan Jacek...

– Znowu? Znowu... on... Wizja to czy jawa?... Dlaczego on mnie tak prześladowa?

Pan Jacek stał wyniosły, żywy. Patrzył na niego głębiami swych siwych, zagadkowych oczu. Zwiędłe usta uśmiechają się blado... Wyciąga suchą, kościstą dłoń...

Mgławicz zerwał się z otomany przerażony.

Pan Jacek stał przed nim naprawdę.

XVIII

Milczenie krótkie, ale pełne błyskawicznych refleksji, przerwał łagodny głos starca.

– Niech się pan nie przeraża. To ja. Wiem, wyglądam jak upiór, ale jeszcze żyję.

Mgławicz otrzeźwiał nagle.

– Był pan tam?

– Tak.

– I co?...

Starli się wzrokiem.

W oczach starca był rozpaczliwy smutek. Głowa opadła mu jak pod uderzeniem obucha.

– Po coś pan tam szedł? Po co?

– Musiałem.

- Coś mówił?...
- Przedstawiałem, błagałem, groziłem...
- Groziłeś?!

Oczy starca załśniły ogniem. Odparł głosem twardym:

- Zemsta... zbudzonego ducha Polski...

Mgławicz pochylił głowę. Szepnął jakby do siebie:

- Tak... nie można... jeszcze...

Pan Jacek podsunął się do niego z tajemniczym szeptem:

– Złą przemoc zetrze moc inna... Moc tajnych przeznaczeń... Ja dziś przychodzę jeszcze do pana, by go ostrzec, ratować...

- Mnie... ratować?...

– Tak. Chcę cię wyrwać z przeklętej Umberry, w której grzęzniesz, mając tego świadomość. Chcę cię ocalić, panie, to już mój cel ostatni... Może ty będziesz tym pierwszym, który zrobi wyłom i zrzuci z siebie płaszcz ohydny...

Mgławicz patrzył na niego ponuro, dreszcz niepojęty pozbawił go słów. Wreszcie wykrztusił:

- Dlaczego chodzi ci o mnie?
- Taka moja wola, mój cel... i...
- I...? – powtórzył Mgławicz jak echo.
- Jej nakaz... bezsłowny...

Mgławicz rzucił się do niego.

- Pisała do ciebie teraz?!

Pan Jacek milczał.

- Kłamiesz!

– Nie. Nie pisała.

- Więc... skąd jej nakaz?

– Przeczuwam... – odrzekł starzec głosem słabym i zachwiał się na nogach.

- Chory jestem trochę, wycieńczony...

Mgławicz podparł go ramieniem, posadził na otomanie, siadł obok i patrzył na niego troskliwie. Po chwili zapytał miękko:

– Niech mi pan teraz powie, co się z panem dzieje, co się działo? Sterany pan niesłychanie... Cierpi pan niedostatek?...

Pan Jacek skinął głową, nie wypowiedział słowa nędza, choć piętno to wryte było na nim wyraźnie.

- Co pan robił od chwili naszego rozstania? Co pan porabia teraz?
- To długa historia, panie, może nudna... Borykałem się, pracowałem i teraz pracuję.
- Gdzie?
- Nad Wisłą. Jestem robotnikiem.
- Robotnikiem?! Gdzież pan mieszka?
- To... mniejsza...

Mgławicz drętwiał. Nieznane mu uczucie wzbierało w nim falą nieprzepartą.

- Ależ! Jakże można było! Czemuż pan się do mnie nie odniósł?

Blade usta pana Jacka drgnęły. Lekki uśmiech pobłażliwy a zarazem smutny przemknął na nich i znikł.

Mgławicz, jakby uczuł wyrzut sumienia, pochylił głowę ze wstydem. Rzekł cicho:

- Czemuż pan nie powrócił na Podlasie... do przyjaciół?...
- Ja tam wkrótce wrócę, bo chciałem tam spocząć... w Zaolchniowie...
- Niech pan tam jedzie i leczy się, odpoczywa. Wieś będzie zbawienna.
- Nie. Muszę spełnić wszystko, co mi przeznaczone tutaj.

Nagle podniósł głowę do góry i utkwiał oczy w twarzy Mgławicza.

– Ona pisała do pana?

Mgławicz zmieszał się.

– Dlaczego pan pyta o to?

– Tak przeczuwałem. Widzę ją często we śnie.. ni to ona... ni to tamta... W ostatnich czasach jakieś dymy purpurowe widzę dokoła niej i morze, zawsze morze. Raz otaczały ją czarne chmury dymów i jakby potworne jakieś widziadła... Czasem ją widzę pod Sfinksem... lub z kwiatami białymi... nie wiem, jak się one mogą nazywać... Dawno nie miałem żadnej wiadomości od niej... Dawno... A teraz mi się śni i mówi coś.. nakazuje...

Mgławicz przykucnął na niskim taborecie, jakby u stóp pana Jacka i zawisł oczyma na jego ustach.

– Nieraz bardzo wyraźnie słyszę jej słowa i zdaje mi się jak gdyby była tutaj, wśród nas...

– A o mnie... o mnie?... – spytał Mgławicz.

Pan Jacek pochylił się niespodziewanie, dotykając jego ramienia wychudzoną ręką.

– Miłujesz ją?... – szepnął gorąco. – Wyznaj, powiedz...

Mgławicz zadrżał, ukrył twarz w dłoni przed pytającym wzrokiem starca.

– Miłujesz ją?...

Mgławicz milczał chwilę, po czym podniósł głowę i rzekł głosem silnym, męskim:

– Miłuję.

Zaległa cisza.

Po chwili znowu zaszemrały słowa:

– Ale ona...

– Tak. Ona daleko odeszła stąd... – potwierdził pan Jacek. – Teraz tu tak straszno. A jednak jej nakaz, wyraźny jej nakaz każe mi ratować pana.

– Mnie ratować...

– Ale ona wróci... zobaczysz, ona wróci... Teraz nie! Bo po cóż wracać, by patrzeć na rozwartą otchłań Umberry... Łódź twoja płynie teraz na fali pchana wiatrem, wiejącym z waszych czeluści... Ale zwiń żagle swoje, panie, usuń się, wyrwij duszę swoją z tej otchłani... czas jeszcze...

Mgławicz trząsł się w sobie cały, złamany, zgnębiony.

Nagle skoczył z przestraszeniem w oczach.

Telefon.

Podniósł gorączkowo słuchawkę.

– Kto?... Jestem... Kto mówi? Jestem, no, jestem w domu... O co chodzi?... Nie rozumiem!

Zatrzasnął telefon i stał chwilę zmieszany.

Pan Jacek podniósł się z trudem i wyciągnął rękę.

– Pan odchodzi?

– Pójdę. Czas na mnie.

– Każę pana odwiedzić, już późno.

– A, broń Boże! Daję sobie zawsze radę sam. Jakoś dojdę. Będę u pana jutro. Muszę być...

Mgławicz milczał, było mu dziwnie ciężko i – przykro. Gdy pan Jacek podał mu rękę, doznał wstrząsu szczególnego i oblał go rumieniem. Głębiny oczu starca patrzyły z uporem w zmieszane źrenice Mgławicza.

– Do widzenia – rzekł starzec uprzejmie.

Uściskał rękę Mgławicza i skierował się ku drzwiom. Ale w progu już odwrócił głowę patrząc gdzieś przed siebie i rzekł głucho z bladym uśmiechem na ustach:

– Do widzenia... Jak to czasem dziwnie brzmi, ile jest w tym zagadki... Tak kiedyś mówiłem... do widzenia... opuszczając kraj... Wieźli mnie etapem... żandarmi rosyjscy... na zesłanie... Nie ma już tych, którym mówiłem to tajemnicze słowo: do widzenia... A potem do widzenia powiedziałem już w Port Saidzie... Czy ją kiedy zobaczę?...

Lekko drgnął, jak gdyby otrząsnął z siebie marę wspomnień.

– No, czas na mnie... Do widzenia.

I odszedł.

Mgławicz stał na progu jak wryty, goniąc starca oczami coraz niżej, coraz niżej po schodach.

Na zakręcie schodów pan Jacek odwrócił się i przesłał Mgławiczowi uśmiech pełen słodyczy. Uśmiech ten zelektryzował Mgławicza. Rzucił się naprzód i – była sekunda, że chciał biec za starcem, wołać.

Jeszcze chwila i – pan Jacek znikł na dole.

Mgławicz cofnął się do gabinetu.

– Co mnie tak tłoczy dziś? Co mnie tak męczy?...

Usłyszał jeszcze stuk drzwi na dole, stuk głuchy, ciężki. Wzdrygnął się. Ten stuk nasunął mu ponurą analogię. Czuł, że ma rozszarpane nerwy.

– To on wyszedł – rzekł głośno, by się uspokoić, i przetarł czoło dłonią spoconą.

– Co mi jest dziś? Co się ze mną dzieje?!

Padł zmęczony na otomanę.

Pan Jacek wyszedł z bramy, a gdy się za nim zatrzasnęła, stał chwilę, czując się dziwnie osamotniony. Westchnął i podążył przed siebie. Nagle doznał wrażenia, że ktoś idzie za nim. Przystanął. Dwa cienie jakby odpadły od murów i sunęły w oddali. Z daleka dochodził huk miasta, dźwięczały dzwonki.

Pan Jacek mijał przechodniów, ale słyszał ciągle za sobą drażniący, uparty a przyczajony szmer kroków. Nie mogły ich stłumić ani odgłosy ruchu na mieście, ani kołatanie i rozmowy idących naprzeciw przechodniów. Tak się zapewne słyszy, odczuwa, nadciągające pioruny, tak chyba kroczy szpieg albo... śmierć.

Ale skąd znowu taka refleksja?...

Pan Jacek wyszedł na szerokie, ludne ulice, znikł w tłumie, pochłonęło go światło. Szedł długo. Zdawało mu się, że nieskończoną była ta droga. Zmęczony fizycznie, wyczerpany moralnie swoją dzisiejszą misją, włókł się ciężko przez miasto. Minął gwarne dzielnice, wszedł w ciche zaułki Starego Miasta, gdzie kwaterował na poddaszu.

Lubił swoje gniazdo, jak nazywał maleńki pokoik z widokiem na niebo, na Wisłę i na przestrzeń szeroką, powietrzną. Ale teraz myślał z pewną obawą, jak oto wdrapie się na strome, wąskie schodki i z politowaniem wyrzucał sobie słabość fizyczną.

Wsunął się w cień ciężkich murów starej dzielnicy i... nagle stanął. Ten sam odgłos kroków niepojętych, to samo dziwne wrażenie, że idą, że ktoś idzie za nim, umyślnie za nim...

Odwrócił się szybko i spytał głośno, spokojnie:

– Kto tam?

– ...tam... – odpowiedziało echo, odbite od szarych domostw w zaułkach.

– Przewidzenie – powiedział sobie pan Jacek i poszedł dalej.

Była już późna noc, zaułki spały.

Pan Jacek dowlókł się do starej kamienicy, na której strychu mieszkał. Wspiął się na schodki do bramy i chciał zadzwonić. Wtem dwie ciemne postacie stanęły przed nim, zagrażając mu drogę... Pan Jacek szarpnął się, ale szare mury śpiącej dzielnicy nie powtórzyły echa stłumionych, kategorycznych słów i głosu gorącego protestu, wydzierającego się z zakneblowanych ust starca.

Tylko mrok nocy pochłonął w siebie trzy ludzkie cienie, dążące szybko, ukradkiem pod murami w stronę wielkich, zwalistych obwarowań nad rzeką.

XIX

Olszyny borkowskie szumiały szeptem wieczornych niesporów. Lipcowy znój opylił je i omgłił śrężogą upału. Teraz chłodziła je rosa. Rzeczka Krzna tchnęła w ich głąb wilgoć i szmery ciemnordzawej fali. Płynęła leniwie pod nalotem tłustych liści nenufarów.

Dróżką wijącą się jak tasiemka, wśród traw w gąszczu olszyn, szedł wolno Ezop Jerzejski. Podnosił oczy na rosochate olchy i wsłuchiwał się w szmer ich pacierzy.

Spoza olch widać było blade już zorze zbliżającego się wieczoru. Blask prześwietnych pasem na niebie przecinały czarne zygzaki wron, ciszę mąciło krakanie przykre jak zła wróżka czy przeczucie.

Jerzejski szedł ociężale, zadumany, wchłaniał w siebie z rozkoszą rzeńskie podmuchy, pił zawsze upragniony napój lata, wsi, bujnej natury, olszyn, łąk, pól – słodycz, którą tchnęło wszystko dokoła.

Zbliżył się do kładki nad Krzną, popatrzył w wodę, usiadł pod wielką olchą, wsłuchany w szum pieściwy a tajemniczy.

W pewnej chwili pomyślał:

Szkoda, że nie ma tu Jacusia... ucieszyłby się widokiem tej kładki, na tym samym zakręcie rzeczki, co dawniej... Ile to lat!... Kładka coraz inna, ale zawsze leży w tym samym miejscu podczas letnich miesięcy... Olszyny były takie same i stara olcha ta sama... Widziała ich oboje w pełni rozkwitu, szczęścia ogromnego... I teraz olszyny wspominają dawne czasy... szemrzą tak cicho, a tak słodko... Coś się wśród nich dzieje...

Minęły lata całe, długie, a zjawiska tamte powracają, wciąż powracają. Piękna, młodzieńcza postać Jacka w mundurze studenckim, z myślą na czole, z miłością w sercu... W oczach jego zapął i ogień energii, chęć czynu, na ustach żar uczuć dla ukochanej kobiety... Idzie naprzeciw niej i ona dąży tutaj ku niemu, oboje gnani potęgą miłości w te wonne od kwiatów i ziół zacisza, gdzie nie ma ludzi, gdzie nikt nie zbruka najświętszych uczuć, gdzie jest urok i polskość natury. Otuleni jej czarami, przeżywali razem jedyne piękno swego życia. Ona wiotka i zwinna przemykała się wśród krzaków dzikich malin, w gąszczu jeżyn i kaliny. Gdy dojrzał jej białą suknię wśród gąszczów zielonych, wyciągał ku niej ręce jak po szczęście nadchodzące ku niemu, z ufnością i bogatym darem serca. Ona biegła w jego ramiona w upojeniu, w zachwycie. Tęskne jej oczy rozpromieniały się zorzą...

Jacek... Iwińska... Jacek... Iwińska...

Chodzą oto wśród olch, zasłuchani w szepty serc gorejących. On mówi z młodzieńczą werwą i wlewa w swoje słowa całe pragnienie czynu, całego ducha, całą młodość. Oboje są zapatrzeni w przyszłość ojczyzny i w przyszłość własną, zbudowaną na pięknie tamtej...

Czy to prawda, czy to sen...?

Ale idą przecie, jak dawniej – Ezop widzi ich sylwety wyraźnie, słyszy niemal ich słowa...

Idą, idą razem i giną, wsiąkają w dal coraz głębiej, coraz głębiej... Już znikli...

A z łąk borkowskich, z oparów przezroczych, z fioletu zórz zachodzących wyłania się jakaś inna postać zwiewna, mistyczna...

Iwińska – – ?

Nie, to Halina Strzemska idzie z pękiem ziół w ręku, brodzi po trawach, po kwiatkach, wyławia z Krzny nenufary i śpiewa tęsknie, tak tęsknie...

– Czyj to głos słyszę? – mówi Ezop w zapatrzeniu – czy to olchy tak szumią... czy tamtej słyszę śpiewanie?

– Cóż się dzieje dziś w tych olszynach?...

Lęk ogarnia Jerzejskiego, lęk o tych dwoje żyjących, o Jacka i o Halinę. Te dziwy w olszynach wróżą coś złego, czy może... to prawda?

Bardzo dawno nie miał listu od Jacka, pomimo że pisał kilkakrotnie pod jego starym adresem.

– Czyżby jakie nieszczęście?...

– Trzeba zaraz napisać, dowiedzieć się... ale nie! ...napisać do Mgławicza.

Podniósł się nagle i opuścił olszyny. Bał się teraz ich głębin i szmerów, i mroków zaczajonych w zaroślach, i krakania wron. Przeszedł kładkę z wrażeniem niemal fizycznym, że znowu widzi Jacka i Iwińską, jak wyłaniają się z gąszczów zielonych i nikną w ich splotach.

– Et! Majaczy mi się dlatego, że teraz zbyt często myślę i śnię o Jacku... a przy nim zjawia się Iwińska... To naturalne.

Udał się do gminy w Zaolchniowie, by napisać i wysłać list. Zaledwie stanął w progu, gdy pisarz gminny wybiegł do niego z tajemniczą miną i oznajmił, że jest dla niego list z Kairu. Ezop chwycił skwapliwie kopertę, ale nie spiesząc się, wyszedł z izby i skierował się na powrót w olszyny.

Wiedział, że list pochodzi od Strzemskiej i tym bardziej zdziwiło go to nagłe przypomnienie sobie starego przyjaciela.

Zasiadłszy pod olchą, zaczął czytać uważnie, a w miarę jak pochłaniał słowa, przejmowało go jakieś nieokreślone przerażenie.

List był krótki, nerwowy. Halina wyrażała obawę o pana Jacka, nie wiedząc, co porabia, co się z nim dzieje. Polecała Ezopowi, aby dowiedział się koniecznie, gdzie pan Jacek przebywa i dlaczego nie podał nowego adresu swego zamieszkania. Pod dawnym adresem na pewno go nie ma, bo nie odpowiada zupełnie na listy. Halina pisała, że miewa co do Jacka niedobre przecucie, że ma wrażenie, jakby mu co złego groziło, że go widuje w halucynacjach, że wreszcie wysłała już list do Mgławicza i radzi Ezopowi, aby się udał do Warszawy na wywiady.

Wyraźny lęk, którym był przeniknięty list Strzemskiej, udzielił się Jerzejskiemu i podniecił go. Ezop opuścił szybko olszyny trawiony jakimś niepokojem, biegł prawie do domu.

Dlaczego ukazałeś mi się tu, stary druhu, i dlaczego z nią, z tą umarłą?... i co się z tobą znowu dzieje? – pytał w duchu, przygnębiony do reszty zbiegiem własnych wrażeń i przecuciami Strzemskiej.

Zdecydował się jechać natychmiast i na drugi dzień był już w Warszawie.

Wieczorem poszedł do Mgławicza. Na szczęście zastał go w domu. Przedstawił mu się jako kolega pana Jacka i zaraz na wstępie zapytał, co się mogło stać z Sybirakiem.

Mgławicz był zaskoczony, patrzył na Jerzejskiego ze zdumieniem.

– Więc i pan jest byłym zesłańcem.

– Nie, jestem jego kolegą z uniwersytetu i przyjacielem.

Opowiedział Mgławiczowi o swoim niepokoju, nie ukrył nawet halucynacji w olszynach, łączył ją niejako z bezpośrednio potem otrzymanym listem z Kairu.

– Więc i do pana pisała pani Strzemska? Czy ma pan jej list?

– Owszem, proszę.

Mgławicz czytał list, blednąc z wrażenia.

– Nadzwyczajne, nadzwyczajne... Te same wizje, które ja... Telepatia zdumiewająca.

Oddając list Ezopowi, rzekł drżącym lekko głosem:

– Gdyby pan tu był przedwczoraj, o tej samej godzinie, zastałby u mnie kolegę. Pan Jacek był naprawdę i obiecywał przyjść na drugi dzień, czyli miał być wczoraj... Ale nie przyszedł... Nie wiem, gdzie mieszka... Jutro będę wiedział na pewno. Zawiadomię pana.

Ezop był pod przykrym wrażeniem. Wychodząc spotkał się w przedpokoju z jakimś studentem, spojrzeli na siebie, ale go minął. Student zaś wszedł szybko do gabinetu i zwrócił się do Mgławicza obcesowo:

– Jestem Młot-Staliński, członek Stowarzyszenia Twórców Przyszłej Polski. Przychodzę do pana z zapytaniem o jego eks-sekretarza. Wiem, że był tu u pana przedwczoraj... Dlaczego nie wrócił zupełnie?...

Mgławicz zdumiał.

– Pan zna pana Jacka?

– Znam. Jest on wśród nas, młodzieży inteligenckiej i robotniczej popularny. Bierze czynny udział w naszej akcji, jest prezesem naszego stowarzyszenia. Pan rozumie, że stracenie takiego człowieka jest dla nas stratą niepowetowaną, zbyt straszną i... jest... iskrą rzuconą niebacznie na proch tam, pod nowymi fundamentami... Dlatego przychodzę do pana. Gdzie on jest?

Mgławicz miał w oczach przerażenie.

– Ależ, panie, skądże ja!... nie wiem nawet, gdzie mieszka... właśnie sam czynię starania...

– Adres mi niepotrzebny, zresztą w mieszkaniu bywał rzadko. Przedwczoraj wyszedł i już nie wrócił. Ponieważ ostatnio był... i u pana także, mniemaliśmy, że anonimy, jakie otrzymywałem, wychodziły z wiedzą pana...

Mgławicz zrozumiał. Szczególny akcent i dobór słów studenta przejęły go niewytłumaczonym lękiem. Sytuacja, a zwłaszcza obecność studenta, wydała mu się nieznośną. Nie mógł patrzeć prosto w oczy Stalińskiemu. Powiedział tylko:

– Zapewniam pana, że mam dla Sybiraka jak najgłębszy szacunek. Jego tajemnicze zniknięcie dotknęło mnie bardzo...

Student mówił:

– Odszukałem pana Jacka po przeczytaniu jego broszury. Zna pan tę broszurę?... „Polska w odmęcie”.

Mgławicz spuścił oczy.

– Owszem.

– Po przeczytaniu broszury musiałem go poznać. Byłem pewny, że to człowiek młody ją pisał, człowiek, w którym duch Polski odradza się i potężnieje. Jakież było moje zdumienie, gdy w autorze poznałem starego zesłańca z Syberii, który cierpiał za sprawę Polski. On nam przyniósł ducha naszego z czasów, gdy był silny, choć okuty i dławiony. Pozostał młody, pełen idei i miłości do ojczyzny, miłości altruistycznej. Serca, w których taka miłość gorzała, umierały w kazamatach i wśród śniegów Sybiru. On wrócił nie złamany, niespożyty latami i męką. Wrócił do wolnej Polski, by cierpieć za nią po raz wtóry... Poznałem go niedawno. Z wielkim trudem odszukałem go wśród robotników nad Wisłą. Pracował na chleb w pocie czoła. Przymierał z głodu. Był chory. Nędza szła już za nim, jak straszne przeznaczenie. Był dumny. Nie chciał nic ode mnie, od nas, bo koledzy moi, przyjaciele chcieli go ratować. Pokochałem tego starca, wiedział o tym, więc tyle tylko wymogłem na nim, że przeniósł się z chaty rybaka na Powiślu do mieszkania, które wynalazłem mu na Starym Mieście. Pragnęliśmy go leczyć, był naszym ukochanym nauczycielem duchowym. Tam u niego, na strychu, zbieraliśmy się – koledzy i koleżanki, by go słuchać, by z nim razem wierzyć i kochać... Tak powstało nasze Stowarzyszenie Twórców Przyszłej Polski...

Student umilkł nagle. Spojrzał na Mgławicza. Tamten siedział blady, zmieniony, z oczami wbitymi w dywan na podłodze. Zaciśnięte jego usta wyrażały ból niezmierny. Młot-Staliński, patrząc na złamaną postać Mgławicza, rzekł z siłą wewnętrznego przekonania:

– My, młodzi, pójdziemy śladem jego ducha, pójdziemy tam, dokąd on nam iść rozkazuje...

Zapadło głucho milczenie.

Nagle student wstał i spytał:

– Więc pan nie może mnie objaśnić, gdzie jest pan Jacek i co się z nim dzieje od onegdajszego wieczoru?

Mgławicz drgnął jak zbudzony i spojrzał mętym wzrokiem na studenta. Po chwili rzekł nerwowym głosem:

– Powtarzam, że jutro, może później, będę wiedział na pewno. Dziś nie wiem nic.

Pożegnali się obojętnie, Mgławicz chciał jeszcze o coś pytać, ale zamilkł, student wyszedł szybko. Na schodach natknął się na wyczekującego Ezopa Jerzejskiego.

– Przepraszam pana – rzekł Ezop, uchylając kapelusza – ale mimo woli słyszałem, że był pan u Mgławicza w sprawie pana Jacka.

– Tak – odparł student – pan coś wie o nim?

– Jestem jego przyjacielem z lat dawnych i przyjechałem tu umyślnie, zaniepokojony jego losem.

Przedstawili się sobie, po czym zeszli na ulicę i student zaczął szczegółowo opowiadać Jerzejskiemu o ostatniej działalności pana Jacka po wydaniu broszury i po zawiązaniu Stowarzyszenia Twórców Przyszłej Polski.

Stary szlachcic wysłuchał uważnie relacji studenta już w hotelu, dokąd go zaprowadził, i spytał:

– Więc Jacek z własnej inicjatywy podjął się spełnienia tej misji i poszedł *tam*?...

– Z własnej. Jego zamierzenia nie były nam obce, przeczuwaliśmy, że kiełkuje w nim taka idea, że wziął to sobie za cel święty. Ceniliśmy w nim tę odwagę, aleśmy go powstrzymywali od tak niebezpiecznego kroku, w obawie, by... nie padł. Zbyt drogim stał się dla nas, aby go poświęcać. Pragniemy go ratować, jeśli mu co grozi, i czynimy wszelkie starania.

– A ja wam mówię, że on już padł – rzekł Ezop głosem twardym, ale nie swoim, jakby podszeptanym przez moc jakąś tajemniczą. W oczach miał błysk dziki, wizjonerski.

Student zamilkł w osłupieniu, trwoga go przejęła na wskroś, wzrok pytający, pełen przerażenia, utkwiał w twarzy Ezopa.

– Czyżby za Mgławicza?... On zachwiany wyraźnie. Posądzano Jacka o wpływy na niego... Otrzymywał anonimy.

– Nie wiem, ale z tego, co słyszałem – mówił szlachcic – widzę, że Jacek padł. Zobaczymy, co powie Mgławicz. On będzie wiedział na pewno. Ja tylko przeczuwam. Boję się, by przeczucia moje sprawdziły się. Zresztą powiem wam tak: Jacek padnie, lecz nie zaginie. Ot! Życie będzie wśród was młodych i u nas, w zagrodach szlacheckich. Czy to wśród drobnej szlachty po wsiach, czy w dworach obywatelskich – będziemy pamiętać Jacka. On nasz i jego duch przechowywać się będzie u nas, jak święty, budzący talizman.

Student uściskał gorąco rękę Ezopa.

– Zapamiętam, panie, wasze słowa, a gdy nadejdzie czas, gdy wybije godzina wyzwolenia ducha Polski...

– Przyjdźcie wtedy do naszych zagród szukać poparcia – powiedział Ezop z całym zapalem swej duszy i serca.

Łzy zaszkliły mu w oczach, student był blady, uroczysty.

XX

Mgławicz po wyjściu Jerzejskiego i studenta zatelefonował bezzwłocznie do jednego ze znajomych detektywów. Wezwał go, aby przyszedł natychmiast. W najwyższym zdenerwowaniu ćmił papierosa i oczekiwał, spoglądając co chwila na zegarek i na drzwi. Gdy zadzwieczał w przedpokoju dzwonek, krew mu zakrzepła w żyłach.

Do gabinetu wszedł człowiek niski, szczupły, z głową ostrzyżoną przy skórze. Oczy miał ogromne, czarne jak węgle, patrzył zimno a przenikliwie. Sucha, zwiędła twarz i zaciśnięte wąskie usta wyrażały upór i jakąś zaciekłość natury. Był wygolony. Cechował go spokój i chłód. Z tym chłodem powitał Mgławicza i usiadł na wskazanym krześle.

Mgławicz podsunął mu pudełko z papierosami, ale podziękował sucho i sztywno.

– Nie palę, gdy nie zachodzi potrzeba tego.

– Mam sprawę dla pana – rzekł Mgławicz po krótkim wahaniu. – Raczej robotę. Chodzi mi mianowicie o szybkie odszukanie mego byłego sekretarza. Znał go pan?

– Stary, siwy, pracował potem nad Wisłą.

– Tak. Otóż mieszka on w Warszawie, lecz nie znam jego adresu i nikt mnie nie może poinformować.

– Chodzi o zdobycie adresu tylko? – przerwał detektyw. – Ekscelencjo, załatwi to woźny w biurze adresowym.

Mgławicz zmarszczył brwi.

– Wiem o tym, lecz są powody, dla których nie chcę woźnego wtajemniczać i... za pośrednictwem biura nie chcę szukać.

– Dlaczego on sam nie udzielił ekscelencji swego adresu, gdy był tu osobiście... onegdaj?

Mgławicz stropił się.

– Pan już wie, że on tu był?

– Wiem.

– Kiedyż pan się o tym dowiedział?

– W chwili, gdy był u ekscelencji – odparł spokojnie detektyw.

Patrzyli na siebie długo, uważnie.

– Pan go śledził?...

– Tak, ekscelencjo.

– Więc to pan dzwonił do mnie?

– Nie.

– Więc kto pytał o mnie wtedy?

– Nie wiem. Ja wszakże wiedziałem, że ekscelencja wrócił ze spaceru i był w domu podczas tej wizyty.

Mgławicz zrozumiał już wszystko.

– Wiedział pan nawet o moim spacerze?

– Tak.

W oczach Mgławicza było pytanie, które detektyw błyskawicznie odgadł.

– Tak, wiem, gdzie ekscelencja chodził tego wieczoru.

– Więc pan i mnie śledził?! – wybuchnął Mgławicz.

– Nie, tylko jego. Ekscelencja zapomina, że minął się z nim przy... wartowniku.

W oczach Mgławicza zamigotały błyskawice.

Powiedział, siląc się na spokój:

– Ten człowiek, wyszedłszy ode mnie onegdaj wieczorem, nie wrócił do swego mieszkania dotychczas.

– Wiem. Oznajmił o tym ekscelencji student uniwersytetu i stary szlachcic z Podlasia. Mgławicz zadrżał.

– Co to znaczy?! Mój dom jest pod obserwacją?!

– Jeszcze... nie.

– Ach, mniejsza o to! Chodzi tu nie o mnie, lecz o tamtego. Pan wie, że nie wrócił do mieszkania, więc gdzież on jest?

Zapadła długa, ciężka chwila milczenia.

– Gdzie on jest? – powtórzył Mgławicz dobitnie.

Detektyw zaciął wąskie usta, twarz mu się skurczyła niemile, oczy patrzyły śmiało jak ślepa sępa.

– Gdzie on jest?! – zawołał Mgławicz podniesionym głosem, gorączkowo.

– Nie wiem.

– Jak to? Pan nie wie?

– Nie wiem.

– Odmawia mi pan udzielenia wiadomości!

– Tak.

Mgławicz był wściekły.

– Co to znaczy?

Detektyw milczał.

– Ha! W takim razie będę go sam szukał.

Mgławicz wstał gwałtownie, ale umiejscowiły go zimne słowa detektywa:

– Radzę ekscelencji zaniechać poszukiwań.

– Co?!

– Tak. Radzę.

Mgławicz był blady, wzburzony wewnątrz.

– Musi mi pan to wytłumaczyć! Chcę wiedzieć wszystko... bo w przeciwnym razie...

– Powtarzam, nie radzę go szukać ani się nim interesować. Uwaga na dom ekscelencji zwrócona. Ostrzegam życzliwie.

Mgławicz tracił panowanie nad sobą. Krzyknął:

– O siebie już nie obawiam się! Jego muszę znaleźć! Chyba...

Detektyw chrząknął znacząco i spuścił oczy na ręce. Było w nim coś złowrogiego, jakaś straszna, łatwa do rozwiązania zagadka.

– Chyba?... – powtórzył szeptem głuchym, urywanym.

Mgławicz, śmiertelnie blady, przysunął twarz do twarzy detektywa, wparł przesywające, groźne oczy w źrenice tamtego i wykrztusił:

– Czy -- ?!...

Detektyw podniósł oczy i bezsłownie odpowiedział nimi:

– Tak.

Mgławicz szarpnął się w tył blady, straszny, z zastygłym wyciem na ustach. Oczy zaszyły mu czarną płachtą grozy. Porwał się z fotela i opadł jak kamień. Twarz ukrył w dłoniach. Zmartwił.

Detektyw odszedł już bez słowa.

Mijały godziny, nastąpiła późna noc.

Mgławicz siedział bez ruchu, osnuty gęstą, lepą siecią obleśnych myśli, jak pająk w pajęczynie. Zewnętrznie był spokojny, ale w duszy jego przewalały się wzburzone morza uczuć, błyskały krwawe refleksje. Targał nim obrzydliwy wstręt, piersi rozsadzał mu ból tak silny, że nie mógł już krzyżeć. Ból rósł, ranił, zalewał krwią, zatruwał. Ból, który daje życie lub śmierć. Wszystko, co człowiek jest zdolny przemyśleć, przeboleć, zanalizować, dokonywało się teraz w Mgławiczu.

Wśród długiej jak wiek nocy był moment, że Mglawicz zerwał się z miejsca i zawołał szaleńczym jakimś krzykiem:

– Pójdę tam! Zbadam! Muszę!

Ale opadł na fotel osłabiony. Myślał, myślał.

Nagle uczył, że ktoś przy nim stoi. Bał się spojrzeć. Wiedział, że to Jacek. Wrażenia tego doznawał kilkakrotnie. Nie śmiał oddychać. Czuł Jacka przy sobie. Czuł wyraźnie jego dłoń na swoim ramieniu, dłoń ciężką jak karabin, ciężką jak moc przeznaczenia. Wydawało mu się, że jest w jakimś fortecznym więzieniu, a mury kazamat wałą się na niego, zwały sklepień olbrzymich, potwornych grzebią go pod sobą, miazdzą. Słyszał huk jakiś, szmer usuwającego się ciała. I jęk...

– Ten sam... ten...

Słyszał, jak bastiony i mury, załomy i węgły powtarzały po stokach, pod sklepieniami stokrotnie pomnożony, stokrotnie głośniejszy jęk.

– Ten sam... ten sam...

Mglawicz drętwiał. Czuł na sobie wzrok Jacka. Czuł, że gdy go ujrzy, gdy głos jego usłyszy, wówczas stanie się coś, co go doprowadzi do obłędu.

W pewnej chwili uciekał myślą do Haliny, błagał ją o ratunek. Lecz ona patrzyła na niego z wyrzutem, a z jej oczu płynęły duże, jasne łzy... Więc odwrócił się od niej i – znowu ten Jacek, ten Jacek...

Męka, męka, szaleństwo...

A noc wlecze się długo, nieskończenie.

I znowu wypełzają skłębione węzowiska myśli. Znowu tłocznią przeokropna. Plugawa ślina wyrzutów opluwa zakrwawione sumienie. Tak źle... tak ciężko...

Po co to wszystko? Po co ta męka?

A po co wstyd, żal, po co gorycz i myśl ciężarna ołowiem?... Myśl, która mózg rozwała, od której pęka czaszka...

Po co to wszystko, po co?...

Żyć z takim ołowiem w mózgu i czuć, że gad ohydny wiję się w głębi i toczy plugawą ślinę.

Po co to? Na co?...

Wyrwać się z Umberry i być wolnym! Wyrwać się, ach, wyrwać i nie wracać do tej obmierzłej zaćmi, co tak męczy! Umberry jest straszne. To byt nie do zniesienia... Prawdę mówiła Halina, że kto ugrzęźnie w Umberry, ten ginie, ginie na wieki...

Ale czemu ona tak patrzy na mnie, co mi wyrzuca?...

Ugrzązłem w Umberry, to widzisz dlatego, żeś ty odeszła ode mnie w świat inny, w świat swój, tęsknot i cudów... Zostawiłaś mnie samego – czyż można żyć bez ciebie i cieszyć się promieniami słońca?... Tyś mi słońce zabrała, więc jestem w cieniu, więc ginę...

Ale zlekceważyć wszystko! Odrzucić precz od siebie, jak coś, co dokucza i boli, jak się odrzuca gada, gdy gryzie...

Pozbyć się jadu, jeśli już wszczepiony w żyły, w krew?... Czy tę zarazę ze krwi wydrzeć można?

Nigdy! Nigdy!

Lecz można zabić ją antydotem skutecznym. Zapomnieć. Na to chyba starczy mi sił, bezczelności... Ha, ha, ha! Chcę być właśnie bezczelnym. Jestem nim już od dawna, po cóż więc te wszystkie komedie! Przekazać je takim Jackom...

Jacek?! Gdzie on?... Tyś mi go, Halino, powierzyła, mojej opiece go oddałaś... Ach, po cóż ty mi ufasz, ty i on? Po co?

– Nie radzę go szukać – brzmią w uszach Mglawicza zimne słowa detektywa.

I znowu czuje, że gniotą go jakieś maryl. Piekielny tłok w mózgu.

Po co to? Na co?

I Halina patrzy na niego tak dziwnie. Łzy jej płyną po jasnej twarzy, w oczach ma wyrzut bolesny... Czy to są te same oczy Haliny?... Kiedyś miały w sobie uśmiech i czar dla niego... Jakież są teraz inne, obce... Tam w Borkowie, nad Krzną inaczej te oczy patrzyły... Na ustach nie było gorzkiego wyrzutu. Było uczucie, może pragnienie... A dziś chłodne są dla niego, płoną tam, za morzami...

– Zostałem sam, bez jej uśmiechu – skarży się Mglawicz i ból ostry trawi go jak robak wysysający życie.

Godziny płyną, płyną.

Smutek bezdenny spada na Mglawicza ciężki jak ziemia przytłaczająca grób. Tak czarno dokoła! Umberry rozwinęło potężne skrzydlika, zakrywa nimi wszystko i strząsa z nich gęsty czarny mial sadzy. Jak strasznie... Czy można tak trwać nadal, czy można żyć?... Po co? Na co? Dla bytu samego? Dla zaszczytu... niezaszczytnego?... Hahaha!... Wszystko marność! Umberry!

A Jacek... Gdzie on jest? Czy to możliwe?...

– Tak – odpowiedział detektyw jednym wyrazem oczu.

Nie! Jacek nie zginie. On żyć nie przestanie. On jest ponad Umberry...

– My młodzi pójdziemy śladem jego, dokąd on nam iść rozkazuje – mówił student... To ten sam, który pisał list, z podpisami kolegów.

Oni pójdą, oni zwalczą dzisiejsze mroki, polecą do słońca. Oni się wyrwą z Umberry. – Ja ugrzęznę w niej, zginę...

Polecą do słońca?... W przyszłość słoneczną.

Mglawicza ogarnia gniew, potem rozpacz, potem wyje w nim wszystko naraz, każdy atom.

Załamał ręce w bólu tragicznym.

– Czy już nie ma dla mnie ratunku?!

Odpowiedziała mu cisza grobowa. Żaden dźwięk nie zmałił ciszy w pokoju. Mglawicz słuchał z natężeniem. Chciał słyszeć głos jaki realny ze świata, z życia płynący. I – nic, nic...

– Czy wszystko zamarło? Czy już dla mnie pozostało to nic, to głuche nic?

– Gdzie Jacek? – pyta ona.

– Nie radzę go szukać ani się nim interesować – odpowiada twardo detektyw.

Och, jakaż męka!...

Nagle – jakiś szmer... Może to Jacek się zbliża? – –

– Ten sam... ten sam...

Ach, to jęk murów ciemnych, zwalistych...

Jak strasznie!... Czołga się ku niemu jakaś mara straszliwa... Cisza. Noc głucha i tak pusto dokoła.

– Jestem sam – szepce Mglawicz i boi się własnego szeptu.

Czemuś odeszła, Halino?... Teraz już nie wrócisz nigdy. Gdzie indziej płynie tęsknota twoja, o czym innym śnisz...

Wszystko się skończyło, zapadło w nicość... Gorzej, ugrzęzło w Umberry... Mój czyn ugrzązł jak w topieli czarnej, otchłannej... Jacek ugrzązł... Nie. On padł, lecz nie zginął. On powstanie, w nim jest duch Polski. Przyniósł go tu jako testament tamtych, na zesłaniu zaginionych... Duch powrócił i przyjdzie czas, że z martwych powstanie... I ujrzy słońce... i ożywi serca... i powróci ją – tęsknotę, ideał, piękno, marzenie, cud...

Ale już dla mnie nie powróci – nie, nie...

Wszystko, co moje i dla mnie grzęźnie.

Po co, na co tyle męki, bólu! Dla marnego istnienia? Dla nowych zaszczytów? Chcąc żyć, trzeba wierzyć... W cóż ja wierzę?... Co mi pozostało jeszcze? Gorycz, ból, mętna topiel, wyrzuty własne i wyrzuty Haliny? Plugawa ślina własnego jadu i – wzgarda Haliny? Bankrucstwo własnej wiary i bolesna prawda, która wypełzła z pieczar, by gryźć, truć i wysysać krew? Ach, dosyć, dosyć męki, bólu, co rozdziera trzewia!...

Mgławicz zapadł w długą martwość ducha. Już nie rozumował, już nie miał sił do walki ze sobą. Śnił przeżyty sen życia... z nią... i grzął w otchłannych mrokach Umberry...

...Szaro, duszno, mętny dzień bezsłoneczny... Płaszczyna... Zielona ruń taka niewinna, ak-samitna... Idzie się w nią... Nagle... co to? Nogi zapadają się w bagno lepkie, brudne... grzę-zawisko!... Obskakują jakieś żuki napęczniałe, ohydne... coraz ich więcej, coraz więcej... Czepiają się nóg, łędźwi, idą do rąk, do piersi, do gardła... Słońca brak, szaro... czarno... tchu brak... żuki dławią. Duszno!... Coraz głębiej, głębiej do dna. To koniec! Koniec!

Mgławicz otwiera oczy, pot zimny oblewa mu czoło, wstrętu ma pełną duszę... Czuje na sobie napęczniałe, śliskie, bezczelne, żarłoczne żuki... coraz ich więcej, coraz więcej. Śmierć! Zerwał się z fotela, znowu siadł... brak mu sił, grzęźnie... Nikt go nie wyratuje... idzie w głąb... znowu żuki... znowu czarna lepka grzęź... Wielkim wysiłkiem woli skupił wszystkie władze myślowe.

Tak wyraźnie sobie powiedzieć po co i na co?

Jał myśleć logicznie, wszystko przewidział, przeniknął... na chłodno postanowił...

Gdy mętny dzień zajrzał do gabinetu, Mgławicz już spokojny, trzeźwy siedział przy biurku! Układał papiery, coś pisał, notował. Wyglądał, jakby był w gorączce. Męka duchowa od-cisnęła swe piętno na jego twarzy, którą stratował ból. Ból ten gangrenował w nim życie.

W pewnej chwili Mgławicz zadzwonił. Wręczył lokajowi krótki list.

– Kair, ekspresem.

Lokaj wyszedł.

Mgławicz wydobył coś z biurka i włożył do kieszeni. Wbił oczy w fotografię Sfinksa na biurku. Znowu trwał jak w odurzeniu. Wolnym ruchem wyciągnął rękę, ujął ramkę, odchylił fotografię, wydobył spoza niej podobiznę Haliny. Wyglądził fotografię Sfinksa i postawił na miejsce.

– Umberry... – wyrzekł głośno.

Po chwili mówił świszczącym szeptem do Sfinksa, jak do kogoś, kto słucha.

– Bez niej jesteś już także Umberry... Śmiejesz się?... Wiem, widziałeś tyle, widzisz i to... Wrócił do swoich... Ten sam, ten sam... Niósł im zachowany skarb i... padł. Bo teraz... Ha, ha, ha, takie skarby... gasną w Umberry...

Mgławicz śmiał się długo, strasznie. Śmiał się, patrząc na twarz Sfinksa, na której była ironia. W śmiechu tym jał drzeć fotografię Haliny na drobne strzępy. I śmiał się, śmiał... Trwało to długo, niemiłosiernie długo.

Gwałtownie zadzwonił telefon.

Mgławicz wziął słuchawkę apatycznie.

– Kto mówi?... A! – poznał głos Brusa.

– Górą nasza! Nowe zwycięstwo!

– Tak.

– Cóż jesteście tak lakoniczni?

– Słucham was.

– Dziś o dziesiątej ważne posiedzenie.

– Wiem.

– Czytaliście dzisiejszą prasę?

– Cóż nowego zełgała?

– Coście oszaleli!?

– Nie, tylko pytam.

– Widzieliście tłumy, demonstrację?

– Widziałem. Zwaliliście wszystko na nich. Po co?

– Nie rozumiem was!

– Nie grajmy w ciuciubabkę.

– Co to znaczy?

– Nie łyjmy sobie w oczy.
 – Co to znaczy?! Wiecie, że strajk...
 – Pod groźbą rewolwerów... Niestraszny.
 – Mgławicz! Co wam jest?
 – Nic. Przerwał się elektryczny prąd. Ha, ha, ha!
 – Wyście oszaleli!
 – Nie byłoby nic tak bardzo dziwnego. Na posiedzeniu oznajmicie... komu należy, że wiem, gdzie jest Jacek Sybirak. Nic więcej. Mgławicz wie, gdzie jest Jacek, to wystarczy... i... wam to podaję do wiadomości... przede wszystkim.
 – Co wam... do... diabła?!
 – Znaliście Jacka? No, więc ten sam, ten sam...
 – Mgławicz, wyście chorzy!
 – Ha, ha, ha! Od bardzo dawna! Leczę się radykalnie. Sposób niezawodny.
 – Nic was nie rozumiem. Zaraz tam przyjdę.
 – Bardzo mi miło, ale nie skorzystam z wizyty.
 – Co to jest? Idę do was.
 – Ja odchodzę.
 – Zaczekajcie! Ważne sprawy.
 – Muszę!... Ha, ha, ha! – śmiał się Mgławicz dzikim spazmem głosu.
 – Co wam znowu? Kto to się tak śmieje obco u was, do diabła?
 – Sfinks!
 – Co? Co?
 Mgławicz zatrzasnął słuchawkę.
 – Ha, ha, ha! – śmiał się jak w obłędzie.
 Patrzył na Sfinksa i wołał:
 – Ty zostaniesz! Będziesz się śmiał!
 Nagle jakby skamieniał. Umilkł, ochłódł. Był poważny, surowy. Oparł się ociężale o poręcz fotela. Ręką zdecydowaną sięgnął do kieszeni.
 – Um... ber... ry... – wyszeptał ustami zbielełymi jak kreda.
 W kilka chwil potem zadzwonił telefon powtórnie. Dzwonił długo, uparcie, ale nikt nie podnosił słuchawki.
 Mgławicz siedział wbity ciężko w fotel, bez ruchu, jak posąg. Oczyma ze szkła i lodu patrzył na Sfinksa, wzrok miał zimny... z zaświatów.

*

Ołowianosina noc otuliła zachłannie pustynię. Niebo przybrało tony chmur rozplyniętych w srebrze. Oddech króla nocy darzył srebrem świat cały. Czuby piramid w oddali chwyciły srebrny dar i niosły go niżej, niżej, rzuciły drogocenny pył na kolos Sfinksa, że ustroił się od razu tym klejnotem nocy i stał przepyszny w blasku i patrzył z uśmiechem w dal. Księżyc płynął wysoko po granatowych makatach nocnych, rzucał cienie na pustynię. Cisza zaległa piaski, gdzieś tylko z daleka nieśmiało dolatywał jakiś zew. Czy to zgrzyt kół, czy może skomlenie szakali?

Sfinks zna głosy pustyni od wieków, zawsze są te same. A jednak czasem taki zew z oddali coś nowego niesie... Sfinks przeczuwa nowe zdarzenia.

Zew biegnie teraz po piaskach, jakiś inny, a jakby ten sam...

Ktoś się zbliża... Tam coś majaczy, rzuca długi cień... Kto się zbliża?... Kto?...

W cieniu, rzuconym przez Sfinksa, ukazała się biała postać kobieca. Smukła i lekka, idzie wolno, zapatrzona w wiekową twarz mistyka pustyni. Pod jej stopami chrzęści piasek cichym szelestem sypkiego srebra. Podeszła już blisko, stanęła. Biała jej sylwetka wydała się drobnym, wytwornym kwiatem wobec ogromu Sfinksa. Wiekowe oczy kolosa spojrzały na nią z góry, poznając...

– To ja, myślicielu, to ja enigmo wieków...

Kolos słyszy jej szept i uśmiecha się pobłaźliwie

– Przyszłaś... znowu przyszłaś?...

– Przyszłam ci powiedzieć, żeś ty nieśmiertelny, że jesteś pieczęcią ludzkości, że w uśmiechu swym zamykasz istotną prawdę świata... że ty...

Umilkła nagle.

– Płaczesz?... – płakały kamienne wargi, wyżarte przez wieki. – Tyle razy czytałaś w obliczu moim i płaczesz?... Patrz na mnie, ja widzę wszystko, ja przeczuwam wszystko... Czyżbym łzy ronił?... Gdyby łzy moje kamienne spłynęły na wszystko, co widzę, na to, co przeczuwam, to z łez moich kamiennych urosłyby podniebne gmachy, wyższe nad piramidy faraonów, to by urosły gmachy, dla których nie starczyłoby miejsca, a które przytłoczyłyby świat cały swoim ogromem... Czyż mogę płakać?... Świat stać musi... i ludzkość trwać musi, choć śmiech mój ma w sobie tyle ironii...

Strzemska łkała cicho.

– Nie płacz... Śmieję się!... Gdy słońce świeci i wiatr niesie cudną woń kwiecia z El-Medine, gdy pachną święte wody Nilu, a świat widzę jasny i słyszę jego głosy wesołe – śmieję się! Gdy tak jak teraz migoce księżyc i straszy cieniem, i tworzy nowe, coraz potworniejsze zagadki – ja się śmieję! Śmieję się, bo już mnie nic nie dziwi, nic nie przeraża... Wiem wszystko, a w świecie nic się nowego nie dzieje...

Szept Sfinksa Halina wchłania w siebie i pod jego wpływem uspokaja się. Bolało ją serce, ciężar jakiś dławiał ją.

Wyjęła zza gorsu zmięte arkusze listów, rozwinęła je. W świetle księżyca odczytała słowa, znane już na pamięć:

„Wybacz, rozkazu Twego spełnić nie zdołałem. Jacka już nie odnajdę. Nie w mojej to mocy. Odszedł... Odnajdziesz go w wizjach swoich... może i mnie odnajdziesz również...

Aleksy

Umberry, godzina 8 rano”

Strzemska złożyła list.

– Tak, to jasne, on odszedł tego rana, a Jacek wówczas, w nocy, gdy w Kairze widziałam go przy sobie... Pokazywał jakieś mury wielkie, jakieś sklepienia szare, ponure i mówił do mnie: „Tu, gdzie ongi...” Ten głos, ten głos niesamowity!... Pamiętać go będę do zgonu...

Wyjęła list Mglawicza poprzedni i list Ezopa, wyjaśniający fakty bez dat i szczegółów.

Podniosła te trzy arkusze przed oczy Sfinksa i syknęła:

– Czy i z tego się śmiejesz?...

Usta Sfinksa układały się wolno w wyraz okrutnej jak zbrodnia ironii.

– Śmieję się, myślicielu, enigmo wieków!... Pamiętasz go, znasz go?... Byłam tu z nim u stóp twoich, on mi wyczarowywał wizję Polski, wysnutą z uroczej utopii... Milczałam, musiałam milczeć... Tyś się śmiał... strasznie! I wówczas szakale... Och, ileż on razy słyszał takie skomlenie szakali tam... wśród swoich, do których powrócił...

Twarz kolosa nabierała coraz więcej satyry. Kamienne, zimne rysy i uśmiech stawały się już teraz potworne. Milczał i przerażał. Był groźny ze swą obojętną, zimną ironią.

– Tak samo śmiałeś się wtedy, enigmo straszliwa! – zawołała Halina z dreszczem trwogi w żyłach. Nie odrywała oczu od Sfinksa.

Nagle przypomniała sobie słowa Mglawicza z pierwszego listu:

„Sfinksem jest mój czyn obecny, Sfinksem teraźniejszość i cała Polska. Sfinksem jesteś ty i... jest Jacek... On się odrodzi w przyszłości... ty pójdziesz w słońce... ja w mroki Umberry...”

Srebrne ametysty księżycy gasły na kolosie Sfinksa, cienie siniały, pogłębiając się, płachta granatu i ołowiu kładła się na piaski coraz niżej, coraz ciężej. W pustyni ciemniało.

Halina podeszła tuż blisko pod sam kolos, podniosła oczy w górę.

Twarz Sfinksa śmiała się ciągle swą okropną a subtelną ironią.

Nagle Halina pochyliła się i jęła pisać coś na głazie u podstawy. Po czym wyprostowana, biała i wiotka, odeszła wolno w głąb pustyni...

– W słońce... w słońce... – wołały za nią potężne głosy.

– Idź w Suryę!... Surya przed tobą – słyszała w sobie przemożny nakaz ducha.

U podstawy Sfinksa czerniało jak świeżo wycięta rana, ponure, złowrogie słowo: Umberry.

Halina szła naprzód, wpatrzona w swoją świetlistą Suryę.